

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, PRZEMYSŁOWI I SPRAWOM SPOŁECZNYM

ROK PIĘCDZIESIĄTY.

SERYA V.

SIERPIEŃ.

1890.

TOM 3.—ZESZYT 2.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-SWIAT Nr. 41.

1890.

T R E Ś Ć.

strona

I. Spuścizna literacko-pedagogiczna po Stanisławie Jachowiczu. Przez Floryana Łagowskiego.	163
II. Kronika przyrodnicza. Kilka słów wstępnych.—Z astronomii: Zaludnienie gwiazd i tegoż warunki. — Księżyc.—Mieszkańcy Uranusa.—Hipoteza Ehrlicha. — Z meteorologii: Wpływ zaćmień słonecznych na atmosferę ziemską. — Z geografii: Etnograficzna definicya narodowości.—Ilość stowarzyszeń geograficznych na kuli ziemskiej. — Ze statystyki: Stosunek suu do marzeń sennych. — Z fizjologii: Wpływ ciałek krwi jednego zmysłu na wrażliwość zmysłów innych.—Z biologii: Walka ciałek krwi z mikroorganizmami.—Odkrycia Mecznikowa.—Rola śledziony w życiu ustroju organicznego. Zestawił Maryan Dimmel.	183
III. Gwara Warszawska w społecznym języku literackim. Przez L. W. Szczerbowicza.	202
IV. Kwestya reformy gimnazyalnej w Niemczech (dok.). Napisał Prof. Ant. Okolski.	221
V. Próbkki niefortunne socjalizmu-kunizmu. (Szkic powieściowy). Przez Wielisława.	248
VI. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. „Życie artysty“, przez Juliusza Breton.—Ustępy z pamiętników Talleyranda. ogłoszone w angielskim dzienniku „Times“: protestacya księcia Broglie.—Zapowiedziane reformy w uniwersytetach francuzkich.—Mowa Renana w imieniu collegium francuzkiego, przy wydobyciu zwłok Mickiewicza w Montmorency.—„Wystawa rzeźb i obrazów na polach elizejskich.—„Odrodzenie we Włoszech“, Munkaczego. — „Sufit do ratusza“ Henryka Levy.—„Lady Godiva“ Juliusza Lefebre. — „Wyścigi w cyrku rzymskim“ p. Checa. — „Sonata przy świetle księżycy“ p. Benjamin-Constant.—„Niewiasty u Grobu Zbawiciela“ p. Bouguereau. — „Praczką i Ostatnie kwiaty“ Juliusza Breton.—Portrety Bonata i Wenkora.—Artyści nasi na wystawie: Pani Biłńska, panna Emilia Dukszyńska; pp. Rejzner, Ciesielski, Kowalski, Przepiórski, Wojciech Kossak. Rzeźbiarze nasi pp. Marcinkowski, Bogdański, Boryszewski, Zawilski. Pani Andriolli i panna Aniela Wisłocka. — Salon na polu Marsowém. — „Bitwa pod Jeną“ Meissoniera. — „Sztuka i natura“, Puvisa de Chavannes. — Wykład Chemii, obraz dekoracyjny do Sorbony l'Hermit'a.—„Święty Marcin“, Lerolla. — Portrety Carolusa Duran. — Góralki Wacława Szymanowskiego. — Opera Berlioza: „Beatrice i Benedykt“.—Stuletni obchód Lamartina. — „Pamiętniki marszałka Mac-Mahon“.—„Paryż i wybrzeża Normandyi“ p. Chmielońskiego.	260
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa: 1) Jak się uczyć i jak uczyć innych. Napisał A. Dygasiński. Warsz. 1889 str. 239. 2) Jak mówić po polsku? Gramatyka popularna. Napisał A. G. Bem. Warsz. 1889. Str. XI+342. 3) Jak pisać po polsku czyli Stylistyka języka polskiego. Przez Wład. Korotyńskiego. Ocenit L. W. Szczerbowicz. 286



De. II 1

SPUŚCIZNA LITERACKO-PEDAGOGICZNA
STANISŁAWA JACHOWICZA.

Przez
Floryana Łagowskiego.

I.

W pracy mojej, pomieszczonej w „Przeglądzie Pedagogicznym“ roku zeszłego pod tytułem: „Młodsze lata Stanisława Jachowicza“ doprowadziłem bibliografię tego pedagoga-filantropa do r. 1818, czyli do 22 roku jego życia. Z dość licznych dokumentów, przeważnie rękopiśmiennych, przechowywanych starannie przez rodzinę—można było zasięgnąć wiadomości pewnych o wychowaniu, wykształceniu i charakterze Jachowicza. To też w chwili, kiedy przybywa z Galicyi, stron swoich rodzinnych, do Warszawy, gdzie całe życie już spędził na pracy około dobra młodzieży, (a było to właśnie w roku 1818) maluje się nam ta postać jasnymi rysami. Przybywa on do Warszawy po skończeniu kursu gimnazjalnego w Stanisławowie gdzie do najpierwszych uczniów był zaliczany i po paroletniej sumiennej pracy na wydziale filozoficznym uniwersytetu Lwowskiego. Szkołom tym aczkolwiek bardzo wiele do życia pozostawało—zawdzięczał Jachowicz, co najmniej niemale obznajmienie się z literaturą klasyczną i niemiecką; wpływy zaś domowe i przyjazne okoliczności uboczne—chroniły go od germanizacyjnych dążeń szkoły i pomagały do kształcenia się w języku, literaturze i historii ojczystej. Należał też we Lwowie do grona młodzieży nie tylko najświetlejszej, ale przewodniczącej młodszej braci w kształceniu się w przedmiotach do poznania życia narodu prowadzących. Autorowie, których ze szczególnym upodobaniem studyował—byli: Krasicki, Książnin i Karpiński. Przechowały się dość liczne jego oryginalne, naśladowane lub tłómaczone z języka łacińskiego i niemieckiego wierszyki, poczynawszy od r. 1813, a więc gdy miał lat 17. Świadczą one i o zamiłowaniu jego do pióra i o zdolnościach literackich.

Umysł Jachowicza odznaczał się pewną trzeźwością, jasnością; cechami charakteru stałymi były: nieskazitelna sumienność w spełnianiu obowiązków, stałość zasad, surowość względem siebie, pobla-

żliwość względem drugich, dochodząca aż do słabości. Kochał on ludzi — (że użyję jego ulubionego wyrażenia) tkliwie: nie tylko cierpienie drugich, ale przykrość zasłużona czy niezasłużona — budziła w nim współczucie, popychała go do natychmiastowego niesienia pomocy. Ta myśl o drugich, o przyczynianiu się do ich szczęścia stanowi najcharakterystyczniejszą jego cechę. Wzajemność odczuwał bardzo gorąco, ale brakiem jej nie zrażał się, niewdzięczność smuciła go, ale nie wytwarzała w nim goryczy; szedł dalej swoją drogą; same jego czyny zdawały mu się wystarczać; robił drugim dobrze nie tylko z zasady, ale i dlatego, że taka była jego natura. Miał kilku serdecznych przyjaciół, powiedzmy raczej wielbicieli: im się też zwierzał z każdą myślą i uczuciem; w oddaleniu za nimi tęsknił; dokąd mógł, utrzymywał z nimi stosunki.

Z najbliższej rodziny, po wczesnej śmierci ojca, miał tylko matkę i starszego brata; dalsza rodzina była dość liczna. Losy atoli trzymały go, począwszy od 6 roku życia prawie ciągle między obcymi; święta tylko szkolne i to niezawsze zbliżały go do krewnych. Równie z najbliższą jak i dalszą rodziną korespondował często: brata Józefa, początego, chociaż wykształceniem daleko niżej stojącego, kochał bardzo; moralnie i materyalnie, tak jemu, jak i innym krewnym, przychodził, o ile mógł, z pomocą; matkę — ubóstwiał. Szczytem marzeń (o osobistém szczęściu) było tak stanąć materyalnie, aby matkę mieć przy sobie, aby swemi koło niej staraniami ślodzić jej życie. Głęboko był religijnym.

Jak wielu z ówczesnej młodzieży galicyjskiej, tak i Jachewicz pragnął się dostać do Królestwa, gdzie życie narodowe tętnęło daleko większą swobodą, niż w gwałtownie germanizowanych wówczas krajach, pozostających pod berłem Austrii. To też radośnie przyjął propozycją radcy Prokuratorji Strzeleckiego, — (bliższe szczegóły stosunku tego protektora rodziny Jachewiców nie są mi znane), aby przyjął urząd kancelisty w biurze Prokuratorji w Warszawie. Przybył też tutaj w r. 1818, jak wskazuje list Franciszka Kowalskiego, przyjaciela jego lat dziecinnych.

W początkach swego pobytu czuł się szczęśliwym. Jednocześnie atoli — brak otoczenia, do którego przywykł, przejmował go tęsknotą, a mechaniczna praca biurowa gnębiła jego duszę, rwącą się do działalności w świecie duchowym. Ujemne wpływy wzięły górę — i wkrótce zdrowie jego poczęło szwankować: żali się na częste bóle głowy, osłabienie, znużenie. Tak niechęć do pracy mechanicznej, jak i może szkodliwe oddziaływanie pracy biurowej na zdrowie — były powodem, że mimo, iż za „usilność“ w pracy był posunięty na wyższą posadę (3 czerwca 1819 r.) porzucił biuro i oddał się zawodowi nauczycielskiemu. Lekcyo prywatno, zwłaszcza — gdy się już dał poznać ze swego talentu pedagogicznego, musiały być korzystniejsze pod względem materyalnym, pozwalały też na większą swobodę ruchów, oraz zajmowały mniej czasu, niż kilkogodzinne śle-

czenie w biurze (za 1200 złp. rocznego wynagrodzenia), a nadewszystko dawały mu więcej zadowolenia moralnego. Wprawdzie i to zajęcie w początkach budziło w nim zwątpienie w skuteczność jego działalności, męczyło go. Było to bardzo naturalnem: owoce pracy nauczycielskiej zależą nietylko od usposobienia i uzdolnienia uczniów, ale i nauczyciela; owoce te nie zaraz widoczne bywają. Uznanie też niezawsze się narazie spotyka, — a i metoda, zwłaszcza dla samouków w pedagogii, z czasem dopiero się wyrabia, ustala. Przykrości jednak, nieodłącznie towarzyszące w początkach zawodowi nauczycielskiemu, nie mogły długo trapić Jachowicza: miał on takie właśnie przymioty, które w tym zawodzie są najpożądane: miłą powierzchowność, ujmujące obejście, a nadewszystko nastrój poetyczny. Dar ten poetycki zamykał się w granicach wieku dzieciennego i młodzieńczego, ale o takie obecnie nam chodzi. Dzięki temu darowi umiał uzmysłowić i w powabnej formie przedstawić każdą myśl, każde uczucie, które chciał szczeplić. To też szczeplił je łatwo, a to mu i zadowolenie i uznanie wkrótce zjednało. Z prac jego literacko-pedagogicznych widzimy, że śledził starannie za postęпами pedagogii i metody wykładów. Najnowsze zdobycze pedagogii niemieckiej, francuskiej były mu dobrze znane. Nic więc dziwnego, że te wszystkie warunki zjednywały mu coraz większy rozgłos, że go wszędzie pożądanu, rad jego zasięgano.

Życie jego nie miało jednak płynąć po różach. W 1822 r. utracił matkę. Wiadomość o tém czerpiemy z wiersza, pisanego do przyjaciela Romuła Suchodolskiego pod datą 10 kwietnia 1822 r. Zbolały syn pociesza się głęboką wiarą, że matka jego szczęśliwa wśród wybranych grona, bo któż tak umiał znosić cierpienia, a życie pędzić bez skazy, z troską o dobro drugich? Listy starszego brata Józefa — pełne prostoty, wzywające w imię obowiązków względem społeczeństwa i rodziny do mężnego znoszenia ciosu — są dowodem, jak silnie odczuł Stanisław ten cios niespodziewany. Modlitwa tylko i praca łagodziły jego ból serdeczny, zwolna do uspokojenia przywoziły.

Jachowicz głównie pracował jako nauczyciel języka polskiego w początkowym i średnim zakresie. Zamiłowanie do przedmiotu, wiara w ważność zadania, — podnosiły jego zalety. Bardzo zaś naturalna, że budził zachwyt we współczesnych jako nauczyciel na pensjach żeńskich, bo odpowiadał on nietylko przekonaniami, dążnościami, ale naturą swoją ówczesnym ideałom pedagogicznym. Oto — jaki stawia ideał wychowania kobiet Komisya Rządowa Wyznań i Oświecenia we wstępie do „Programu kursu nauk, wykładanych w instytucie rządowym wychowania płci żeńskiej“; „Bogobojne wychowanie rodu ludzkiego, przez rozsądną matkę zaszczerpione w dzieciennem sercu pierwsze zasady religii i moralności bujnie się rozkrzewią ani ich późniejsze burze świata wykorzenieć zdołają. To mając na baczeniu, Komisya

oddawna już największą zwróciła troskliwość na wychowanie płci żeńskiej. Zachwiana bogobojność napływem płochych, z o b c e j z i e m i p r z e n i e s i o n y c h p o m y s ł ó w, obojętność religijna, przez złośliwe, a pospolicie nieudolne osoby w niewinnych zaszczerpiona sercach, postępnym staropolskich cnót upadek i znikczemnienie obyczajów wiodąc za sobą, tém dzielniejszą stawały się pobudką do podwojenia usiłowań Komisji w celu wczesnego zaradzenia złemu". Jachowicz pojmował zawsze swoje zadanie nauczycielskie: uczyć — umoralniać, podstawa moralności — wiara, bogobojność. Zaprawiony za młodu do walki z pływami germanizacyjnymi, mężny zawsze stawiał opór wszelkim „z obcej ziemi“ przenoszonym pomysłom. I nikt też skuteczniej chyba nie mógł przeciwdziałać prądom ogólnie panującej wówczas francuzomanii, bo nikt z ówczesnych pedagogów gorliwiej i z większym talentem nie mógł szczepić miłości do rzeczy swojskich.

Ustalająca się opinia, a z nią zapewnienie środków materialnych pozwoliły Jachowiczowi pomyśleć o założeniu ogniska domowego. Niebawem poznał przy łożu chorego przyjaciela jego siostrzenicę, pannę Salomeję Jabłońską, która z siostrą starszą i matką wdową — często odwiedzała wuja. Współczucie dla cierpień chorego, troskliwość o niego obudziły w nim sympatyę, która wzrastała w miarę bliższego poznania. Wkrótce też po zabranii znajomości — stanęła młoda para na ślubnym kobiercu. Ślub odbył się w dniu 9 lipca 1823 r.

W następnym roku 1824 — Jachowicz wstępuje na pole literatury pedagogicznej; ukazuje się pierwsza edycja jego „Bajek i Powiastek“, zadedykowana „Cieniom najdroższej Matki“. Życie jego przecież nie miało być nigdy wolne od trosk i cierpień: wkrótce (1825) utracił ukochaną żonę i synka Dobrosława. Z pod ciosu tego nie prędko się podniósł. Z listu jego przyjaciela, Jacka Wielgorskiego — dowiadujemy się o jego rozpacz i długotrwałem przygnębieniu; największą jego pociechą było przebywanie na grobie żony i dziecięcia.

Od dnia 1-o kwietnia 1832 Jachowicz wstępuje na nowe pole działalności, pole, któremu najwięcej trudów w życiu a raczej całą swoją istotę poświęcił, — zostaje członkiem Towarzystwa Dobroczynności. Przytaczamy tu wyjątek z dokumentu urzędowego ¹⁾, w którym przez ówczesnego wice-prezesa Towarzystwa mamy skreślone usługi jakie niósł tej instytucji nasz pedagog:

„Stanisław Jachowicz, nauczyciel prywatny języka polskiego w Warszawie, zostawszy w r. 1832 Członkiem Towarzystwa, poświęcił się z nadzwyczajną gorliwością rozwinięciu szkółki sierot chłopców, pod opieką Towarzystwa zostając“.

Wkrótce, bo w r. 1833 Towarzystwo, oceniając poświęcenie się członka Jachowicza dla dobra tej Instytucji z wszelką bezinteresownością a nawet z uszczerbkiem własnego dobra, mianowało go opiekunem tejże szkółki.

Następnie w r. 1839 Jachowicz, jako znakomity pedagog, był jednym z najczynniejszych założycieli sal ochrony w Warszawie.

Wr. 1844 po utworzeniu oddzielnego „Zakładu sierot dziewcząt” i zamienieniu szkółki sierot chłopców na „Zakład sierot płci męskiej, mianowało Towarzystwo Jachowicza naczelnikiem sekcji sierot, której głównym obowiązkiem jest czuwanie nad dobrem obudwu zakładów, jużto starając się o moralne wychowanie znajdujących w nich przytułek sierot, pozbawionych rodziców i rodziny, już też obmyślając źródła dochodów na pokrycie wydatków, z utrzymania tych instytucji wynikających, a dochodzących rocznie 9000 rs.

Dzięki bezprzykładowemu poświęceniu się i troskliwości Jachowicza o dobro powierzonych jego opiece instytucji, zakłady sierot w krótkim czasie olbrzymi zrobiły postęp, bo z liczby 12 sierot, pierwotnie utrzymywanych w gmachu Towarzystwa, rozwinięte zostały do tego stopnia, na jakim się dziś znajdują, to jest, że dają przytułek 170 dzieciom, opieki rodzicielskiej i rodziny pozbawionym, które ucząc się rzemiosł i nauk, przyszłemu ich stanowi właściwych, kształcą się na pożytecznych członków społeczeństwa. Przy takim rozwoju instytucji, trzeba było obmyślać nietylko środki zebrania funduszy na zaspokojenie potrzeb bieżących, lecz również zebrać kapitał na wybudowanie domu dla Zakładu sierot chłopców, którego tak ze względów moralnych, jako też dla braku odpowiedniego lokalu w głównym gmachu Towarzystwa, nie można było dłużej z Zakładem sierot dziewcząt w połączeniu utrzymywać.

Wówczas Jachowicz pierwszy podał myśl nabycia placu przy ulicy Nowy-Swiat i wybudowania odpowiedniego domu. Myśl ta jednozgodnie przyjęta została; lecz zachodziła trudność w zebraniu odpowiedniego kapitału, który według anszlagów budowniczego, przynosił sumę 20,000 rs. Jachowicz nie zraził się tą trudnością, a stawszy się odtań prawdziwym jałmużnikiem, większą połowę tej sumy, bo do 12,000 rs. zebrał staraniem swoim i tym sposobem postawił Towarzystwo w możności przywiedzenia do skutku tego ważnego i tak pożytecznego projektu. Jachowiczowi zatem należy się wdzięczność za doprowadzenie Instytucji sierot do stanu, w jakim się dziś znajduje.

Nieustający w zabiegach o dobro i pomyślność Instytucji sierot, Jachowicz, dopóki ostatka sił nie wyczerpał, zawsze był gorliwym opiekunem osierociałych wychowanców Towarzystwa i skrzętnie obmyślał i zbierał fundusze na zaspokojenie bieżących potrzeb instytucji sierot. Jego to stosunkom i pracy zawdzięcza Towarzystwo znaczną część zapisów i ofiar, stanowiących obecne fundusze wieczyste, kapitalne Zakładów sierot, a które według sprawozdania na rok 1854 wynoszą sumę ogólną rs. 23,385, k. 98½.“

Tak w prostych słowach maluje urzędowy sprawozdawca za-

1) Przedruk z „Gazety Warsz.” z r. 1858. Nr. 31.

sługi Jachowicza, jako opiekuna sierot. Jeżeli zechcemy zwrócić uwagę, że był on tylko nauczycielem prywatnym, a więc na stanowisku nader skromnym, że wraz z rodziną liczną (o czem niżej) żył z ciężkiej pracy, wymagającej siły i czasu, — to zdumiewać się musimy nad wysiłkami tego człowieka, kiedy w tak krótkim czasie — zdobył takie sumy. Ileż mozołu w obmyśleniu środków, ileż trudu w staraniach, ileż przykrości przy urzeczywistnianiu zamiarów. Jakież były ku temu jego pobudki? Sława, rozgłos — nie, bo istotnie tego unikał, pozostanie jedna tylko odpowiedź — serce. Po nieszczeniach ogólnych 1831 r. potrzeba opieki nad sierotami była koniecznością moralną; odczuł ją ale nie było innych środków zamienienia w czyn gorących chęci, jak tylko rozbudzenie ofiarności w społeczeństwie. Chwycił więc sztandar z wiarą w sprawę i tą wiarą własnym przykładem — porwał innych za sobą. Powiedziałem: „przykładem własnym“. Tak jest — oddawał wszystko co miał, więcej, niż był obowiązany, niż może powinien, bo robił to z uszczerbkiem swojego zdrowia i bytu rodziny. Ale — od wodza wymaga się więcej niż od szeregowców, on był wodzem w wielkiej sprawie, w wielkiej potrzebie społecznej.

Do faktów z życia publicznego — dopisujemy tu jeszcze fakty z życia prywatnego: niech one same mówią o sercu Jachowicza.

W r. 1833 wstąpił on w powtórne związki małżeńskie z p. Antoniną Ośmiałowską, niegdyś jego uczennicą, osobą tak pod względem charakteru, jak rozumu i wykształcenia powszechnie wysoko cenioną. Jachowiczowie przez lat 9 nie mieli własnych dzieci, ale od r. 1840 wychowywali czworo sierot, pozostałych posiostrze Jachowiczowej, Wolskiej. W r. 1842 urodził im się syn Eryk, a w 1846 Rudolf. Grono to powiększała wychowanka Seweryna Stompf — o sierocią uczennicą Jachowicza. Wyszła ona następnie za Józefa Edmunda Paszkowskiego, ciotecznego brata Jachowiczowej, znanego tłumacza dzieł Szekspira. Na zaspokojenie potrzeb tej drogiej jego sercu rzeszy — praca nauczycielska i literacka starczyć musiała. Ileż trzeba było znowu wysiłków na tę pracę obok licznych trudów i trosk życia publicznego! Ale gdybyż się na tém kończyło.., Opowiadają nam np. biografowie Jachowicza ¹⁾ a wiarogodni, że po pensyach — niemal dziewcząt pobierało edukację dzięki temu, że honoraryami należnymi mu za lekcye pokrywał koszta ich kształcenia; to znowu uczył darmo w szkołkach założonych przez swoje uczennice. Opowiadają np. że nie mogąc przyjść w pomoc inaczej jakiejś staruszce, dawał jej taką ilość egzemplarzy swoich prac literackich, że to po sprzedaniu przez nią starczyły na jej utrzymanie. Opowiada jeden z ks. kapucynów w mowie pogrzebowej ²⁾, że jedynie ciepło okrycie oddał przeziębłemu starcowi, a nawet koszulę zdjął ze siebie, aby okryć nią biedaka, którego w chorobie odwiedzał.

1) „Wtencic“ pismo zbiorowe — praca Skimbrowicza.

2) Jachowicz umarł w r. 1857.

Nie będę ja wyliczał, faktów podobnych, udowodnionych, ani się starał o wydobywanie nowych, bo nie piszę biografii tego wielkiego filantropa, biografii, która zdumiewałaby niezwykłością i umogomością czynów. Ja tu tylko zanotowałem kilka charakterystycznych rysów z jego życia, bo one wyjaśniają, że prace jego na polu literacko-pedagogicznem są w związku z jego życiem, obowiązkami, bo one wyjaśniają ducha prac jego.

II.

Rozejrzyjmy się najprzód w jego utworach poetycznych, one bowiem na polu piśmiennictwa pedagogicznego największą sławę i zasługę Jachowicza stanowią. Ze społeczeństwo przyjęło je wdzięcznie, o tém świadczy kilkanaście ich wydań. To powodzenie jest dowodem zapewne talentu autora, ale również i z potrzeby, którą odgadł i której zadosyć uczynił. Istotnie — niwa literatury dla dzieci była dotąd nader ubogo uprawiana w ogóle, a poezya dla tego wieku nie miała swego przedstawiciela. Komisya Rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego — zalecała dla szkół średnich — Bajki Krasickiego i Niemcewicza. (Porówn. zbiór przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego tom II i III). Oczywiście niewiele między temi bajkami znaleźć można dla młodocianego wieku pod względem popularności i dlatego też wierszyki Jachowicza były prawdziwą rosą, co orzeźwiała spragnione latorośle. A z niezwykłą obfitością spływał ten pokarm duchowy na działwę: wszystkich wierszyków, licząc i te, które znajdują się w śpiewnikach, liczba dojdzie do 800, z których na oryginalne przypadnie 600, na tłumaczone zaś lub naśladowane z obcych literatur 200.

Utwory te niewszystkie pisane są dla dzieci: znaczna ich liczba ma na względzie nawet ludzi dojrzałych. Autor, wychowaniec początku XIX wieku inaczej patrzył na bajkę, jako formę literacką, niż my obecnie: forma ta utraciła dawniejsze znaczenie i pozostała prawie wyłącznie na usługach pedagogii, gdy w XVIII wieku najpierwsze siły literackie ubiegały się o sławę bajkopisarzy. To też nie dziw, że Jachowicz uważa ją za godną umysłów dojrzałych nie tylko dziecięcych i chętnie składa w niej przestrogi dla wszystkich. Zauważyć też należy, iż tytuł wierszyków „Bajki“ nie zupełnie odpowiada treści książki. Jest bowiem między owymi wierszykami więcej — powiastek, obrazków — niż istotnych — bajek.

Nastrój wszystkich prawie wierszyków Jachowicza, pisanych w różnych chwilach życia, odbija nastrój duszy autora. Są też one, jak jego życie, po większej części poważne; częściej smutne, niż wesołe. Dążność ich stała: umoralnienie; największa liczba ma za cel budzenie współczucia dla cierpiących i szczepienie pobożności. Inne poszczególne tematy: posłuszeństwo, cierpliwość, prawdomówność, oszczędność, łagodność, uprzejmość, przezorność, odwaga, męstwo,

poszanowanie cudzej własności, miłość ku rodzicom i rodzinie, zgoda, szlachetność, skromność, grzeczność, przebaczenie uraz, panowanie nad sobą, spełnianie obowiązków, szanowanie starszych, porządek, staranie się o dobre towarzystwo, rządność, wytrwałość, oszczędzanie czasu, rachowanie na siebie, a nie spuszczenie się na łaskę drugich, bezinteresowność, przyjaźń, gościnność, pokora, dobre użycie pieniędzy, wdzięczność, pocieszanie smutnych, nagradzanie za usługi, nieodkładanie dobrych uczynków, szlachetny stosunek do sług. Na następujące wady uderza nasz pedagog: napieranie się u dzieci, na skąpstwo, chępliwosć, opieranie się na pozorach, próżność, zbytek, niewdzięczność, złość, obłuda, zbyteczna ciekawość, łakomstwo, krzywda, swawola, grymasy, pycha, zazdrość, nierozsądne pragnienia, mazgajstwo, oszczerstwo, zarozumiałość, strojenie się w cudze piórka, upór, przesady, kłótniwość, gderanie. Są też tematy takie, jak: o sile przekonania, nadziei, czyn a nie słowa, marność świata, słuchaj rad, piękność natury, szczęście w nas samych, miłość do ludu, każdy według siebie sądzi, poszanowanie starego dobrego obyczaju, nie dbaj na sąd złych i głupich, festina lente, przez naukę poznajemy co złe a co dobre, o pięknych rzeczach w książeczkach, gwiazdka, dzieci na letniem mieszkaniu, złe następstwa z ciągłych zabaw, czem się skorupka zamłodu napoi, tém na starość trąci. Są też obrazki i piosenki mające za przedmiot—pory roku, daty dnia, zatrudnienia dzieci, święta religijne i dni uroczyste obchodzone w rodzinie, zabawki dziecinne i t. d. i t. d.

Powstrzymujemy się od dalszego wyliczania tematów; przytoczone wystarczą do udowodnienia, że wielka ich obfitość i różnaitość że objęły one cały świat fizyczny i duchowy dziecka. Dodajmy jeszcze, że na jeden temat bywa kilka, kilkanaście a nawet kilkadziesiąt utworków, np. na temat uczuć religijnych i współczucia dla bliźnich naliczyliśmy do 50. Przedstawiają się tu różnorodne sytuacje, i różnorodne odcienia uczucia lub myśli, które autor chce szczepić lub wykorzeniać. Tak np. w powiastce „Bezimienny“ przedstawiony chłopczyk dający wsparcie biednemu; w powiastce „Sieroty“ odmalowana obojętność ludzi, raczej żal po niewczasie nad losem sierot; w „To nasze“ dzieci wychowujące się z sierotami razem a wymawiające im swoje dobrodziejstwa i t. d.

Wiele z tych poemacików da się stosować ogólnie do dzieci starszych, młodszych, bogatych, ubogich, dawniejszych, dzisiejszych. Ale wiele jest takich, które specjalne mają znaczenie: powiastki np. Człowiek i gniazdo ptasie, Dąb umierający, Róża biała i tyle innych—właściwsze są dla starszej młodzieży, albo nawet dojrzałych. Przeciwnie Stefcia o jednym trzewiczku, Telesforek, Kto najlepszy? Emilka i t. d. właściwe dla dzieci małych. Takie znowu, jak: Dwa kotki—właściwsze dla dzieci ludu, Dwa jaszczurki dla młodzieży rzemieślniczej, a Rybak syn dziedzica, dla paniców. Szymbek znowu dotyka życia synów ludu, którzy pobierają wyższe wykształcenie:

Szymek nie wstydzi się prostaczych rodziców, nie gardzi ich chatką. Powiastka *Dzieci na wsi*, opisuje zachowanie się dzieci na letniem mieszkaniu. Jest też wiele wierszyków okolicznościowych, np. *Źródełko w Saskim ogrodzie*, gdzie zachęca się do składania ofiar na dobroczynność w puszkę stojącą przy studni w Saskim ogrodzie. Opisana tu historia podawania wody spragnionym przechodniom przez chłopców, którzy sobie z tego przemysł robili, a dochody obracali nie zawsze na prawdziwy użytek. Za radą Jachowicza roznoszenie wody powierzono sierotom zostającym pod opieką Towarzystwa Dobroczynności, wynagrodzenie zaś za usługę zostawiono dobrej woli korzystających z tej usługi. Zwyczaj ten do dzisiaj się praktykuje. Powiastka *Szewca* opisuje, w jaki sposób zbierały się fundusze na szkołkę Towarzystwa Dobroczynności i szczególne usługi dla niej pewnego szewca (zapewne Nolla, wyżej wspomnianego). Powiastka powyższa, jak i wiele innych ma za cel nie tylko już ogólnie budzić dobroczynność, ale nakłaniać specjalnie do ofiar na sieroty Towarzystwa Dobroczynności Warszawskiego, których tak serdecznym opiekunem był nasz pedagog. Mamy też kilkanaście poemacików i pieśni, poświęconych wyłącznie ochronkom sierot. Jest także parę opowiadań o znanych pisarzach lub innych osobistościach np. *Krasicki pośród dzieci*, lub *Książdz Falkowski na przechadzce*. Jest znowu parę powiastek o partych na zwyczajach pewnych miejscowości np. *Jubiler z Rzeszowa*, *Wojnickie kokiełki*, lub wspominających popularne między dźwiatwą osobistości, jak *Różia z ciasteczkami*. Inne opowiadają o dobroczynności rzeczywistych znanych autorowi osób, np. *Dziewica z Dobrowlan* i t. p.

O wszystkich prawie tych utworach, któreśmy pod nazwą *specjalnych* zaznaczyli — powiedzieć wypada, że jakkolwiek większe zainteresowanie budzić mogą, jeśli są czytane lub innych osobistościach, dla której specjalnie były pisane, to przecież nie są one pozbawione interesu i dla ogółu, gdyż autor stara się zawsze zajmując fakty przedstawić i wyprowadzić wnioski ogólnoludzkie. Tak np. *Różia z ciasteczkami*, znana roznosicielka ciastek, wywołuje radość między dziećmi i wszystkie śpieszą, aby kupić sobie przysmaczków. Autor przypomina im wtedy, że są dzieci ubogie, sierotki, dla których warto dać grosz od każdego kupionego ciasteczka. Dzieci chętnie ofiarę złożyły.

Po rozpatrzeniu się w tém bogactwie treści, oraz zastosowaniu jej do różnorodności osób, dla których Jachowicz pracował — uznamy trafność jego uwagi we wstępie do 6-o wydania. „Macie tu, odzywa się do matek, jako towar w sklepie, jako lekarstwo w aptece; wszak nie odrazu cały sklep zakupicie, wszak nie odrazu wszystkie lekarstwa zakupicie z apteki? Ze sklepu bierzecie, co wam pierwój potrzebna, bierzecie według miary, wagi, bierzecie, jak dla kogo. Co innego kupuje właściciel, co innego rzemieślnik, co innego ko-

bieta, co innego mężczyzna, co innego dla starszych, co innego dla małych dzieci. I lekarz z apteki stosownie do siły, wieku, płci zapisuje: tak i wy czyńcie“.

Trafnie więc osądził autor użyteczność swoich pomocników i konieczność stosownego ich do potrzeb doboru; tylko słowo sklep lub apteka należałoby może zastąpić wyrazem: skarbniça, bo są tam prawdziwe klejnoty. A jeżeli formie niejednemu z tych poemacików zarzucano coś, jeżeli i my bez zarzutów jej nie zostawimy, — to co do treści — każdy musi przyznać — że niepodobna, aby wyższe ideały mogły przyświecać poecie-pedagogowi. Podaliśmy znaczną liczbę tematów tych bajeczek i powiastek; można z tego sądzić, jakie przymioty nasz pedagog szczepił, jakie wady tępił; ale spis tematów nie odsłania jeszcze ducha utworów: aby więc choćby słaby dać obraz duszy pisarza dla tych, co nie czytali pism jego. — postaramy się naszkicować pojęcia, które stanowią cechy indywidualne autora.

Otóż cechą tak tu wybitną, a tak rzadką w pisarzach-moralistach jest to, że wszystko, co się znajduje w dziełach Jachowicza, wypływa z najgłębszego jego przekonania, wiary, a nadewszystko, że wszystkie jego słowa są zgodne z jego własnymi czynami. To — tym słowom nadawało i nadaje tę powagę, tę cześć, z jaką się je czyta, tę siłę, że staje się ona kodeksem moralnym. Drugą cechą jest to, że czuje się, wierzy, iż płyną one z serca, które istotnie kochało tych, dla których ręka kreśliła przestrogi. A kochał nasz pedagog nie tylko tych, którzy zbliżali się do jego ideałów, ale i tych, których trzeba było karcić za złe. Może nawet więcej kochał tych drugich, bo nad nimi cierpiał, bo dla nich głównie pracował. Ta też cecha — miłości — sprawia, że każde jego słowo jest serdeczne, nawet gdy karci, gdy się żali.

Rzućmy okiem na niektóre poszczególne jego pojęcia, na stronę, z której przedmioty przedstawiać lubi.

Wspomnieliśmy, że autor był głęboko religijny zawsze, naturalnie więc, że uczucie to pragnął wlać każdemu. Największą też liczbę swoich powiastek, nawet bajek poświęca temu uczuciu. Ale religia jego, istoty religijne, o których wspomina, — są zawsze niosące pociechę, wlewające siłę do czynu, wspomagające, miłujące, przebaczące. Groźnej, karzącej strony religii nie dotyka. Weźmy jako przykład jedną z wielu jego na ten temat powiastek — pod tyt: *Kościółek*, w której maluje wpływ szczerzej pobożności.

„Samotnie stał kościółek skromny i ubogi;
Okna poprzepalane, wydeptano progi,
Dach miejscami zapadły, mchem okryty cały,
Ściany, jak ogorzale, zdaleka czerniały.
Ale skoroś wszedł wewnątrz tej świątyni Pana,
Niopojęta w twém sercu nastąpiła zmiana:
Przyszedłeś z chmurném czołem, wyszedłeś z wesołym,

Nie jakbyś był człowiekiem, ale był aniołem.
 Nikła wszelka uraza do ludzi na ziemi,
 Serce się przepełniło czuciami świętymi,
 Cnota wdziękiem jaśniała, miłość własna brzydła,
 Każda rozkosz zmysłowa była bańką z mydła.
 Tym kościółkiem jest każde samotne ustronie... i t. d.

Religijność jego jest wolna od fanatyzmu: w powiastce „Żydek“ powiada przez usta pani do powstrzymującej się służącej od ofiary:

„On bliźni, nie nie znaczy w wyznaniu różnica;
 Wszak jednakowo słońce nam wszystkim przyświeca“.

Rozpatrując tematy bajek i powiastek trudno nie przyznać, że Jachowicz chciał wszystkie wady z ludzi wykorzenić, a w przymioty ich ozdobić. A jednak, gdy się weźmie pod uwagę ilość utworów na jeden temat, oraz szczególne upodobanie, z jakim temat opracowuje, to się dojdzie do wniosku, że są tematy, na które pisał z obowiązku, lub może dlatego, że krytyka wyrzucała mu jednostronność. Do tych tematów należą, prócz współczucia dla cierpiących i pobożności, — takie, jak: pracowitość, cierpliwość, poszanowanie starszych, słuchanie rad, łagodność i w ogóle przymioty płynące z dobrego serca, potulności; o innych np: energii, męstwie, o przymiotach woli, skąpo mówi, lubo—mówi. To też ideałem jego jest człowiek: pobożny, miłujący bliźniego, przebaczący urazy, cichy, pracowity, przestający na swoim. Więcej mu idzie o serce, niż o rozum i wolę.

Reformować społeczeństwa pod względem socyalnym nie myśli wcale: pragnie tylko, aby ludzie byli jak najlepsi i aby się zadawali niemi swoim położeniem socyalnym. Pan niech myśli o dobro swoich poddanych, sług; słudzy—niech służą panu wiernie nie dla pieniędzy, lecz przez miłość dla niego lub poczucie obowiązku. Rzemieślnik niechaj akuratnością i dobrą robotą zjednywa sobie wzięcie.

Na życie w ogóle radzi patrzeć pogodnie, to też nietylko do wychowawców przemawia, aby nie szczydzili dzieciom chwilek przyjemnych, ale i starszych zachęca, aby „unikali cierni, a szukali pociech w życiu“. Rozumie się, że Jachowicz mówił o tém, mając na myśli uciechy w granicach ścisłej moralności.

Kobietę uważa za istotę może więcej uprzywilejowaną, niż mężczyznę; pragnie ją ozdobić najpiękniejszymi przymiotami; ale naznacza jej inne zadanie, niż mężczyźnie. Kto wie, jak bardzo cenił Jachowicz serce w człowieku, ten zrozumie, dlaczego kobietę tak wysoko stawiał: wierzył, iż natura jej jest więcej skłonna do współczucia z cierpiącymi. Matkę przedstawia zawsze jako anioła opiekuńczego.

Do wdzięczności za dobrodziejstwa zachęca, ale w nią nie wierzy, jak również w to, aby zasługa otrzymywała od ludzi nagrodę. Współczuje z dobrymi a zapoznanymi lub krzywdzonymi, ale niemniej obowiązuje ich do wytrwania w dobrém dla samej idei: „ten dobry: kto wytrwał w dobrém“; „nie dla korzyści pracuj, lecz dla pracy samej“. Powiastka „Jacuś“ opiewa takiego, co nie przestaje poświęcać się dla ludzi, mimo to, że nie nagrodzony a często wyśmiany.

Na dzieci spogląda zawsze nasz pedagog przez pryzmat poezyi: porównywa je z aniołami, kwiatkami. Wierzy w dobroć natury dziecięcej; wierzy, iż dzieci niepsute będą dobrymi, że poprawiane—poprawią się. Kocha je w ogólności, ale sieroty, dzieci zaniedbane pod względem moralnym i materyalnym—są przedmiotem szczególnej jego troskliwości, miłości. Piękno natury odczuwa gorąco i często na nie wskazuje młodzieży.

Zanotujemy tu jeszcze kilka tematów, które dadzą nam poznać niektóre poglądy autora, jako wyniki jego obserwacji nad życiem. Tematy te znajdujemy tak w jego oryginalnych, jak i przyswojonych utworach literaturze naszej. Tak np: szczęśliwe życie, gdy serce czuć umie; gdy widzimy nieszczęśliwego, zapomnijmy o jego wadach; uciecha dobrego czynu trwa długo; prawdziwa pobożność—modlić się i być dobrym; ten szczęśliwszy, kto mniej potrzebuje; jeśli ci kto co złego uczynił, przypomnij sobie, czy ci też co dobrego nie zrobił; chcesz mieć zaufanie, musisz dać tego dowody, żeś go wart; gdy ci kto dokucza, zejdź mu z drogi; nieszczęśliwy rozpaczać nie powinien; nie trzeba się spuszczać na nikogo, ale samemu zabrać się do dzieła, które chcemy uskutecznić; nikt nie powinien dla niepewnej przyszłości, pewną teraźniejszość opuszczać; można być szczęśliwym i w najniższym stanie; niechaj młodzież wybiera taką zabawkę, która jej pożytek przynosi; uczymy się nie tylko z książek, ale i otoczenie, życie uczy nas; lepsze pożyteczne niż ładne; lepszy grosz zapracowany niż krocie wygrane; „lepsza sprawiedliwość, dobroczynność potem“; piękną jest dobroczynność, ale piękniejszą jest rzetelność; piękna cnota w sztuce (poezyi, malarstwie), piękniejsza w naturze; gdyby nie było nieszczęścia, szczęścieby się tak przyjemnem nie wydało; prawdziwie dobroczynny nie żąda wdzięczności; pracuj dla miłości pracy; nie żałuj życia, jeśli pożytecznie spędzone; miłsza łza cicha, niż głośne pochwały, (odnosi się to do wrażenia wywołanego przez artystę); nieszczęśliwy, kto z nikim serca i losu nie dzieli; nienawiść łatwo się wyradza z powodu emulacji; „nie skarż się przed nielitościwym: on nie tylko serca twego nie zrozumie, ale ci jeszcze zaszkodzi“; nikczemny — wtedy tylko żal okazuje nieszczęśliwemu, gdy w jego nieszczęściu własną upatruje szkodę; pięknie — czynić dobrze, —ale piękniej — dobre czyny ukrywać; szczęśliwy —kto umie smutnym pociechę przynosić; najszkaradniejszy człowiek jest ten, który cudzą sławę—dobre imię kradnie; pieniędzmi robić, to znaczy pieniędzmi

pięknych czynów sobie przysparzać; prawdziwa nędza-nieśmiała, ukrywa się przed okiem ludzkim, wyszukać jej trzeba; szczęście jest w nas samych. od naszego usposobienia zależy; każdy według swojego pojmowania lub interesów rzeczy—sądzi.

Zwróćmy uwagę na formę tych poemacików.

Znajdujemy tu: bajki, powiastki, obrazki, przypowieści, legendy, dyalogi, piosenki, a nawet formę sonetu. Rozmaitość wiersza—wielka—stosownie do treści i nastroju ducha poety. Mimo to, że znaczna liczba tych wierszy—przeznaczonych nie dla dzieci—język, rym w ogóle prosty, łatwy, zwykły, unikający wysokich przenośni. Okoliczność ta—nie zawsze pożądana w utworach poetyckich, pisanych dla starszych, wychodzi na korzyść w literaturze dla wieku młodocianego. W wierszykach, przeznaczonych dla dziatwy—sytuacje i wyrażenia—ogólnie biorąc—nie przekraczają zakresu pojęć czytelników. Jeżeli do tych przymiotów dodamy—sztukę zaciekawiania, jasność, często wdzięk nieopisany, nieskalaność moralną, miłość wiejącą z każdego słowa, i zawsze podniosłość myśli, która nigdy być nie przestanie najpiękniejszą zaletą poezji: to zrozumiemy łatwo, że wierszyki jego odznaczają się najpiękniejszymi cechami bellestryki dla młodzieży.

Częstokroć porównania utworów literackich pomagają do oznaczenia ich wartości. Gdybyśmy też tutaj zastosowali ten sposób i porównali Jachowicza utwory z utworami używających najwyższego uznania w literaturach francuzkiej i niemieckiej np: Ratisbonne'a ¹⁾ i Hey'a, to nasz pisarz przewyższyłby ich obfitością. Kiedy bowiem „La comedie enfantine“ Ratisbonne'a zawiera 147 a Hey'a dwa zbiorki—100 utworów, to Jachowicza wierszyków mamy około 800. Ratisbonne'a wierszyki odznaczają się dowcipem, pewną wytwornością często wielkim wdziękiem, Hey'a znów plastyką, przystępnością dla umysłów dziecięcych: ale i u Jachowicza, chociaż nie we wszystkich wierszykach, to przecież w wielu—te same przymioty widzimy. Tylko żaden pewnie poeta piszący dla dzieci—nie miał téj serdecznej, rzewnej nuty, którą tak często napotykamy u naszego poety. Żaden nie wyrówna mu w tém gorącym współczuciu doli sierocój, bo któryż całe życie poświęcał na to, aby nieść pomoc i pociechę cierpiącym?

Mając tak wysokie wyobrażenie o dodatnich stronach wierszyków Jachowicza—nie zamykamy oczu i na ich strony ujemne, a raczej ceniąc wysoko większą część jego poemacików—widzimy w wielu z nich wady.

Na dzisiejsze czasy, mianowicie panowania „trzeźwości“, nie-mało znaleźlibyśmy wierszy tchnących sentymentalizmem. Tak np: w powiastce „Kazio“, ojciec synkowi zakazuje bić konika drewnianego, aby nie nabrał dzikości, albo „Dwa gołąbki“, z których jeden

1) Ratisbonne'a zbiorek uwieczony został nagrodą Akad. francuzkiej.

po śmierci drugiego—, tu na ziemi łączy gorące leje; Z nim się przecież połączyć ma jeszcze nadzieję“. W bajce „Kurczątka“ mamy takie wiersze: Tu spojrziała się Matka (stara kura) łączy w emi oczyma, Wydała wiestchnienie tkliwe“.— Ta łączy, łączy — tak często a tak bez koniecznej potrzeby występuje, że zamiast rozrzewniać, czego autor pragnął, uśmiech wywołuje. Podobnym nastrojem odznaczają się: Listek, Natalcia i lalka, Łza matki, Pogrzeb ptaszyny, Jałmużna dziecięcia, Waclawek, Chłopczyk i pszczołka, Alfredo, Skowronek i t. d. Sumiennosc jednak wyznacza, iż między tymi wierszami są i prawdziwie poetyczne i piękne tém więcej, jeśli tę łączy weźmie się w znaczeniu przenośnym, jak nieraz autor tego pragnie, a przytém należy uwzględnić i to, że—co dla jednych sentymentalnym się wydaje, to dla drugich takim się nie zawsze przedstawia.

Dodać tu wypada, że między tłómaczonymi i naśladowanymi wierszami z obcych literatur bardzo wiele znajduje się wielką egzaltacją nacechowanych: ztąd wyprowadzamy wniosek, że autor w takich się lubował, że pierwszorzędni bajkopisarze ówczesni, piszący dla dzieci, jak np: niemiecki Hay, nie stronili od sentymentalizmu.

Są wierszyki u Jachowicza dla dzieci zatrudne, dla starszych za dziecinne np: Adolfek, Oleś, Ludwinia i Braciszek, Ojciec i syn, Walerek, Dobruś i t. d. W wierszykach takich mówi autor o pojęciach niedostępnych dla dzieci małych, a sytuacje dobiera takie z otoczenia dziecinnego, że dla starszych interesującymi być nie mogą. Są i takie, których myśli przewodniej czyli t. zw. sensu moralnego zbyt trudno się doszukać; to też nagradzając tę niejasność sytuacji, autor morał dowołada.

Mimo tych stron ujemnych—przyznać musimy, że większość wierszyków Jachowicza jest obfitą skarbnicą poezji. Jachowicz stworzył nietylko szkołę poezji w swoim rodzaju, ale dał tyle pokarmu duchowego, że gdyby nawet nikt nie był poszedł jego śladem, gdyby tylko jego wierszyki nam pozostały, literatura poetyczna naszych dzieci — za bogatą uważaćby się mogła: gdybyśmy bowiem z jego 800 poemacików odrzucili paręset jako mniej udatnych lub niestosownych dla dzieci, to pozostałe jeszcze setki—mogą iść śmiało w zawód o lepsze z najpierwszemi nietylko w naszym piśmiennictwie.

Wymienimy przynajmniej niektóre: Antos i Henryś, Bozia świeci, Józio, Leos i Helenka, Drzewka i kwiatki, Dziecię i staruszek, Zgodny podział, Stefcia o jednym trzewiczku, Telesforek, Kto najlepszy? Emilka, Pierścionek, Gałeczki, Cicho dzieci! Andzia, Kasia, Antosia, Opieka boska, Bronisia, Tomuś i Anielka, Juliś, Klódeczka na usta, Zemsta dobrej dziecinki, Anioł i dziecię, Chłopczyk wchodzi sam w siebie, Kominek, Adaś i konik drewniany, Dobry chłopczyk, Dobry braciszek, Dwa chłopczyki, Walerek, Chleb, Nie płacz ptaszyno, Szkoda, Kotek, Druciarz, Nieposłuszeń-

stwo, Lorcja w Potoczku, Zła żyłka, Gwiazdeczka, Pomóż, czém mo-
żesz, Czém się skorupka za młodu napoi, tém na starość trąci, Pię-
kne ubóstwo, To nasz! Ciemny dziadek i piesek, Chatka pochylona,
Ludka, Dziecię i kasztany, Gdzie nagroda, Praca, Schłudność nie
tak rzecz mała, Niespodzianka, Dużo robić, mało spać, Dobra rada,
Sierota przy źródelku, Stary piastun, Poznanie Boga, Siostra, Iгла
złamana, Cztery pory roku, Stróż nocny, Pożegnanie jesienne, Do
Ludwisi, Zając, Tadeuszek, Sabinka i Franusia, Gołabek,
Kruk z dzwonkiem, Karolinka, Narcyzylek, Mateuszek, Zwierciadło
Rózi, Pszczółka, Kotka i suczka, Bławatek, Skutki lekkomyślności,
Dwa pieski, Waluś, Przechadzka, Wieśniak, Brat i siostra, Alinka,
Wieczór pod drzewkami, Ptaszek w gościnie, Tkliwa prośba, Pudel,
Lucynka, Prośba do młocków, Kruk żebraczek, Strumyk i kwiateczki,
Chory kotek, Piesek kruczek, Kwoczka, Litośna dziecinka, Chłop-
czyk i gołabek, Lis i gęś, Dziecię i gołabek, Jaskółeczka i dziew-
czynka, Jabłoń i chłopczyk, Przepiórka, Śpiew słowika, Ok o
Boskie, Babunia i Celinka, Ziarno zboża, Ludka, Lorcja, Niwiny
żarcik, Dziebiełko, Kwiatek podniesiony, Staruszek przy pracy,
Ojciec i dziecię, Leoś i Rudolfek, Jacuś i t. d. ¹⁾

Śród tych bajeczek, powiastek ileż jest najczystszej wody bry-
lantów! Charakterystyką wielu z nich jest to przedewszystkiem, że
są prawdziwie poetyczne, a tego właśnie najczęściej brak w litera-
turze dla dzieci, śród nawet najlepszych pod względem umysłowym
utworów. Bo je też pisał prawdziwy poeta. Cel, jaki sam
poeta naznaczał swoim wierszykom — był jak to wspomnieli-
śmy — umoralnianie. Sposób zaś ich użycia zaleca na-
stępujący: „Najprzód przestrzegam, żeby tej książeczki nie oddano
wprost do ręki, bo wtenczas w jednej chwili wszystko bywa zużyte
i cała korzyść straconą. Troskliwa matka i ojciec pozwolą dziecku
jedną powiastkę przy sobie przeczytać, pozwolą mu ją przepisać, do-
pilnują nawet, aby ją dziecko porządnie przepisało, każą się jej na
pamięć wyuczyć, wyjaśnią, rozmówią się o niej, wywiodą naukę mo-
ralną, pozwolą nad nią dziecku dłużej pomyśleć, pozwolą mu ją prze-
robić na prozę i różne przejdą ćwiczenia, które uważać będą za ko-
rzystne dla dziecka: schowają książkę i po jakimś czasie, jak się
już z jednej powiastki korzyść pokazuje, w nagrodę niejako pozwolą
odczytać drugą“.

Jak należy wyjaśniać, porozmawiać o bajeczce lub powiastce,
jak morał wydobyć — podaje autor wzory na trzech bajeczkach, od-
rębnych co do treści. Wzory te są, bardzo trafne i wystarczające, —
tylko, czy życzenia autora przytoczone przez nas w cudzysłowie — są

¹⁾ Pominąłem tu wierszyki, pomieszczone w „Śpiewnikach“ a wiele z nich
może nawet więcej nadaje się do czytania, niż do śpiewu: należą one bezwątpienia
do najpiękniejszych w całej literaturze pedagogicznej. Ilość też ich znaczna, bo do
200 dochodzi.

konieczne? Niezaprzeczenie — większyby wynikł pożytek, gdyby tyle czasu i sił można było poświęcić każdej bajeczce, ile autor żąda. Sądzi-
my jednak, że przy dzisiejszych wymaganiach edukacji, przy wielości przedmiotów, przy metodycznym sposobie prowadzenia nauki języka, zwłaszcza gdyby się ona opierała na czytance — byłoby to przepisywanie i uczenie się na pamięć — zbyt obciążającym warunkiem, a czekanie na skutki poprawy np: z pewnej wady — zbyt oddalającym częstokroć czytanie drugiej bajeczki. Objaśnianie atoli stosowne każdej myśli w bajeczce, wydobycie myśli przewodniej, gawęda o niej — są warunkami zbawiennymi, koniecznymi. Ze zaś po dobruaniu odpowiedniem do wieku i rozwoju umysłu dziecka bajeczki, czy wierszyka, odczytanie z dzieckiem wierszyka o wadzie, którą ono ma, lub o przymocie, który zaszczerpić chcemy — jest nader skutecznem najczęściej, o tém praktyka pedagogiczna dobitnie nas przekonywa — i dla tego gorąco polecamy wychowawcom ten nie nowy, ale zawsze zbawienny środek.

W książeczkach przeznaczonych dla dzieci spotykamy zwykle jedne i teżsame wierszyki, natomiast są powiastki i bajeczki bardzo ładne, których nigdzie nie znajdujemy. Przytoczmy tu parę na dowód, że krzywdzimy się przez skazywanie ich na zapomnienie. Bajeczka „Oko Boskie“ do takich pełnych wdzięku należy. Nie wiem wprawdzie czy jest ona oryginalną, czy nie. Ale — nie mogą się też liczyć z takimi szczegółami, rozpatruję bowiem tu kwestyę, nie tyle ze względu na talent pisarski, ile ze względu na talent pedagogiczny Jachowicza. Zresztą sam wybór z obcych literatur i przyoblekanie obcych utworów w polską szatę — świadczy także i o zdolnościach literackich. Oto wierszyk ów niezaprzeczenie godny uwagi:

„W wieczornej dobie
Chciał listeczek spocząć sobie.
Tu i owdzie na przemiany
Lekkim wiatrem kołysany,
Jak dziatki wśród kolebeczek,
Zasnął listeczek.
Biały motylek usiada,
Skrzydółka składa,
Sen go znuża,
Oczka zmrzuła
I na gałązce spoczywa.
Miły księżyc promyk nadpływa,
Na powietrzu się unosi,
Słodką w kółko woń roznosi,
I budzi ze snu listek i motyla,
Jeden i drugi oczka odchyła,
Odchyła znowu i zmrzuła,
Bo ich sen znuża.
Czuwaj ty za nas, promyku, mówili,

Skończyliśmy dzionek miło,
 Nic złegośmy nie czynili,
 Dobrze się czasem zrobiło,
 I chcemy spocząć w kąciuku:
 Czuwaj ty za nas promyku!
 I promyk czuwał nad niemi.
 Bądźcie, dzieciatki dobrimi,
 Biegnijcie w zawód ochoczy,
 A gdy zechcecie w wieczór skleić oczy
 Jak ten promyk księżycy, tak zawsze i wszędzie
 Oko Boskie nad wami we śnie czuwać będzie“.

Albo ten wierszyk, czyż pozbawiony wdzięku?

Zemsta dobrej dziecinki.

Kazio, maleńka dziecinka,
 Raz w paluszek ugryzł Tyńka,
 Nie wiem, czy z pieszczot, czyli zeswawoli,
 Czy tak, czy siak—zawsze boli.
 Tynieku, jak anioł dobroci,
 Idzie do cioci
 I żali jej się do uszka,
 Że o mała mu Kazio nie odgryzł paluszka.
 Przymięt dodał z uśmiechem, choć łza w oku stała,
 Nie mów, ciociu, mamie, boby się gniewała,
 O! ja mu nie darowałem:
 No, no—Kaziu! powiedziałem“.

Albo ten:

Dobry braciszek.

Brat: Siostrzyczko: na dwoje
 Jabłuszko rozkroję,
 Połowę ci dam.

Siostra: Znam twoje serduszko,
 Lecz małe jabłuszko;
 Zjedz, braciszku sam.

Brat: O—tego nie zrobię;
 Ja muszę dać tobie:
 Piękny byłby brat!
 Cóżby powiedziano,
 Gdyby też wiedziano,
 Żem sam jabłko zjadł?

Albo ze „Śpiewnika“: *Piosnka o małym braciszku.*

Mam ja małego braciszka,
 Rok mu nie skończył się jeszcze:

Pieszczą go Mama i Tata,
I ja się często z nim pieszczę.

Nieraz na rączce mu kreślę:
„Tu sroczka kaszkę warzyła...“
Wszyscy obstąpią do koła,
Dziecinka śmieje się miła.

Czasem z kart pałac wystawię,
I dmuchną, gmach się obali:
Znowu się śmieje dziecinka
Aż się rozlega po sali.

Czasem mu świeczkę podsunę.
On rączką za świeczkę chwyta,
Błyszczący hawi go płomyk,
Co będzie dalej—nie pyta.

Jednak on rączki nie sparzył;
Braciszek chroni dziecinę,
A ochronioną troskliwie
Stokroć całuje rączynę,

W innym znowu rodzaju zobaczymy obrazek: „*Sieroty*“.

Raz około północy, dnia nowego roku
Niejeden wracał z uczty i przyśpieszał kroku:
Tam słychać gwar wesoły, tam wozu turkoty,
Wino nie wyszumiało dodaje ochoty,
A na progu kaplicy, co przy drodze stała,
Siedzi mała chłopczynka i dziewczynka mała.
Ciało w półobnażone i od zimna drżące.
Bez litości mijają tłumy przechodzące.
Księżyć bladawy promień przesyłał ku ziemi,
Zdało się, że z litością przemawiał za niemi;
Jedno z bladawém okiem wyciągało rękę,
Drugie drżącemi usty nuciło piosenkę:

„Wszak wy—ludzie! patrzcie z bliska,
Zostaliśmy tylko sami,

Mróz dokucza; głód przyciska,

Ah! zmiłujcie się nad nami.

Kiedy żyła nasza matka,

Chętnie chleb dzieliła z nami,

Dzieliła się do ostatka;

Dziś już w grobie, a my sami!

„Tam może nas usłyszą“, wyrzekła dziecina,
I pukać w drzwi kapliczki nieśmiało poczyna.
Smutna się tylko skarga o ściany odbiła,

I śmierć łagodna przybyła.
 Księżyc jeszcze przyświecał nad kościołkiem z góry,
 Uderzył północ zegar w swym dźwięku ponury.
 Godowa jeszcze wrzawa brzmiała gdzieś zdaleka,
 Ale u drzwi kościołka już nikt nie narzeka.
 Szedł kapłan do świątyni, gdy świt błysnął złoty,
 I widzi martwe, śniegiem przykryte sieroty;
 Mniema, że jeszcze iskra życia w nich zatleje,
 Ale—już próżne nadzieje!
 Młodsze z rączką otwartą w błagalnej postawie,
 Jakby jeszcze o wsparcie błagało współbraci,
 Starsze na martwe pochylone ciało,
 Rączką usta zatyka, jakby mówić chciało:
 I płacz i narzekanie litości nir wzbudzi,
 Bo jój nie ma wśród ludzi.
 Zasnęli więc na zawsze; zewsząd tłum się zbiega,
 Każdy w oku drugiego smutną łzę spostrzega...
 Bo łatwiej pożałować, niż wesprzeć biednego...
 Co tu ludzi! a wczoraj nie było jednego“.

Pozwolę sobie przytoczyć również wierszyk, który nam odsłoni może najplej duszę poety. Zdradził on tu własną dolę może jedyny raz w życiu. Tytuł jój: „Gdzie nagroda?“

„Było raz chłopak, jakich dziś mało:
 Serduszko jego wszystkich kochało;
 Cichy, posłuszny, cierpliwy, zgodny,
 Uśmiech na ustach i wzrok łagodny
 Dla wszystkich grzeczny, wszystkim życzliwy,
 Jakże być musiał szczęśliwy!
 Jeżeli szczęściem nazwać zechcecie,
 Że w sercu błogo, choć źle na świecie;
 Jeżeli cichych łez nie liczycie;
 Było to bardzo szczęśliwe dziecię.
 W sumieniu szukał cierpień osłody.
 Unikał pochwał, nie chciał nagrody,
 Co dobre—dobre, nie pytał dalej:
 Rodzice mówił tak nauczali,
 Dostyć to dla mnie, szczęśliwym sobie;
 Tak Bóg przykazał, tak ja też robię“.

A oto przykład uroczystego nastroju hymnu, nie przechodzącego przecież zakresu pojęć dzieci. Rytmiczność od początku do końca utrzymana:

Błyszczą gwiazdeczki na błękitcie,
 Jakaż wielka boska moc!

Spojrzyj Panie na Twe dziecię,
Daj nam, Panie, dobrą noc.

Świećcie gwiazdki jak świecicie,
O cudowna boska moc!
Sporzyj Boże na Tve dziecię,
Daj nam, Boże dobrą noc.

Strzeż nas dziatki utrudzone,
Ufające w Twoją moc,
Obróć oko w naszą stronę,
Daj nam Boże dobrą noc.

Świećcie gwiazdki, jak na straży,
Objawiajcie boską moc!
Niech się nic złego nie zdarzy,
O gwiazdeczki — dobra noc...“

Jachowicz tłumaczył lub naśladował następujących pisarzów:
Hoffmana, Heya, Pfeffa, Willamowa, Hagedorna, Lessinga, Schmid
ta, Schuppego, Langbeina, Gaja, Popa, Floriana, Swobodę, Ezopa.

(Dok. nastąpi).

Kronika przyrodnicza.

Zestawił

Maryan Dimmel.

IV.

Z astronomii: Zaludnienie gwiazd.. Księżyc. Mieszkańcy Uranusa. Hipoteza Ehrlicha. — *Z meteorologii:* Wpływ zaćmień słonecznych na atmosferę ziemską. — *Z geografii:* Etnograficzna definicya narodowości. — Ilość stowarzyszeń geograficznych na kuli ziemskiej. — *Ze statystyki:* Stosunek snu do marzeń sennych. — *Z fizyologii:* Wpływ wrażeń jednego zmysłu na wrażliwość zmysłów innych. — *Z biologii:* Walka ciałek krwi z mikroorganizmami. — Odkrycia Mecznikowa. — Rola śledziony w życiu ustroju organicznego.

Zdobytcze, poczynione w ostatnich czasach na polu wiedzy przyrodniczej, wywarły wpływ na życie ludzkie w dwojakim kierunku: przekształciły zupełnie stosunki pracy i komunikacyi, oraz obznajomiły nas z wielu nowemi zjawiskami. Trzeba przyznać, że mimo wszechwładnych dziś utylitarnych prądów życiowych, coraz liczniejsze sfery społeczne witają każdą nową zdobycz wiedzy nie tylko jako nowe źródło materyalnej korzyści, ale także jako nowy nabytek wiedzy powszechniej o wszechświecie, i że nawet te dziedziny umiejętności przyrodniczej, które i dziś jeszcze uważa się za czysto idealny dobytek rodu ludzkiego, budzą ciekawość coraz szerszych warstw ludzkości. Do takich dyscyplin należy z pomiędzy nauk przyrodniczych przedewszystkiem astronomia, której cele i zdobycze są co do istoty swojej czysto idealne, gdyż celem astronomii było, jest, i będzie zawsze odsuwanie tajemniczych zasłon, kryjących te dziwy i zagadki wszechbytu, których poznaniu zmysły człowieka sprostać nie mogą. Uznając ten idealny charakter badań astronomicznych, przyznać każdy musi, że wzniosła ta dziedzina wiedzy o wszechświecie coraz powszechniejsze budzi zaciekawienie, a rozpowszechnienia jej domagają się coraz natarczywiej szersze sfery społeczne. Powodem tego jest częścią wzrastające po-

znanie wartości nauki, częścią także prosta ciekawość ludzka, szczególnie gdy chodzi o sprawy, dotyczące zagadek bytu człowieka, co z wrodzonego popędu radby siebie odnaleźć zawsze i wszędzie...

A jeżeli które z zagadnień wiedzy astronomicznej w tej ostatniej właściwości charakteru ludzkiego odbiło się szerszym odgłosem, to z pewnością omawiane dziś powszechnie zagadnienie: ażali prócz ziemi i inne ciała niebieskie posiadają istoty organiczne, stworzone na podobieństwo nasze?... Skora do bujania w świecie przypuszczeń, porównań i przenośni wyobraźnia człowieka, znalazła w tém zagadnieniu pobudkę i do dalszych rozmaitych pytań, a pomijając w swój skwapliwości krytyczną cenę stwierdzonych w tej mierze przez naukę faktów, chciałaby wiedzieć odrazu, ażali te istoty organiczne, co zamieszkują nieznanne nam słońca, są z jestestwa i powierzchowności do nas podobne?... ażali i one cieszą się i cierpią, kochają i nienawidzą, pracują i modlą do Stwórcy wszechbytu, jak my, ażali i one przechodzą cały ten czyściec prac, trosk, uczuć i pragnień, z jakich się składa życie codzienne nasze?...

Hamowana wszakże w domysłach brakiem punktu oparcia, tém natrętniej domaga się powszechna ciekawość zaspokojenia tych pytań od — umiejętności, wychodząc z tej uwagi: „Skoro ziemia jest zaludnioną, dla czegoż nie miałyby być zaludnione inne ciała niebieskie?...” — zapominając atoli o tém, że nawet najmocniejszymi i najzmyslniejszymi przyrządami niemożnaby dostrzedz bezpośrednio mieszkańców gwiazd lub choćby tylko niewątpliwych śladów ich istnienia.

Z astronomów dzisiejszych zapewne ani jeden nie zaprzeczy wprost prawdopodobieństwu istnienia istot organicznych na pewnych gwiazdach. Znakomity duński fizyk i filozof, H. C. Oerstedt, z uwagi na wspaniałą harmonią ustroju wszechświatowego i na analogie właściwe pojedyńczym jego działom, wyrzekł pełen przeświadczenia o tém, iż wszystko w przyrodzie zmierza i służy tylko jednemu wielkiemu celowi, — to zdanie: iż gwiazdy są zaludnione nie tylko istotami organicznymi, ale i istotami rozumnymi, powołanymi do rozumienia ustroju uniwersum. W innej formie, ale z równie głębokim przeświadczeniem, wypowiada to samo słynny astronom francuzki Flammarion. — Są to jednak tylko przeświadczenia osobiste ludzi nauki, ale nie dowody umiejętne.

Nauka ścisła, jaką jest astronomia, nie mogąc w sprawie zaludnienia gwiazd zdobyć danych zasadniczych, z powodu niemożności obserwacji bezpośredniej, może udać się tylko na drogę rozumowego wniosku, zastanawiając się przede wszystkim nad warunkami mieszkalności gwiazd dla istot żyjących uorganizowanych, podobnych do nas, i tylko takich dla tego, gdyż moc

poznania naszego tylko o warunkach bytu takich właśnie istot mówić wogóle coś może.

Owoż umiejętność nasza, z uwagi na istoty żyjące i uorganizowane, podobne do nas, rozumuje w ten sposób:

Ciało istot organicznych, zaludniających naszą ziemię, składa się z niezliczonej ilości połączeń kilku tylko pierwiastków chemicznych (tlen, wodór, węgiel, azot). Szkielety, ukształtujące ciało organiczne, składają się wprawdzie ze znacznie więcej pierwiastków, ale one nie stanowią masy ustroju organicznego. Z pośród zaś wszystkich tych połączeń jest niezbędną dla wszystkich organizmów jako dominująca ciecz — woda. Ustroju organicznego bez wody wyobrazić sobie nie umiemy. W tej okoliczności znajdujemy pierwszy warunek zasadniczy istnienia ustroju organicznego, nam podobnego. Albowiem, skoro o wodę chodzi, to chodzi także o pewną granicę jej temperatury, poniżej której staje się woda dla życia ustroju organicznego nieprzydatną, czyli, że jest wprost uniemożliwiająca życie. Granicą tą jest jak wiadomo, punkt marznięcia wody, który w bardziej na północ wysuniętych działach strefy umiarkowanej i w strefach biegunowych na ziemi naszej uniemożliwiałby także życie organiczne wówczas, gdyby te okolice ziemi pozbawione zostały związku z krainami podrównikowymi, ponieważ wówczas istoty organiczne zamieszkujące te strefy nie mogłyby żywić się wprost lub pośrednio zwierzętami przebywającymi w morzu niezamarzniętem, a niezamarzniętem właśnie tylko wskutek wpływu ocieplających morskich prądów równikowych. A z drugiej strony, tak jak istnieje granica istnienia organizmów idąc na dół po skali ciepłoty, tak samo też istnieje jakaś granica, idąc po tej skali ku górze. Granica ta, przyjmując ją już bardzo wysoko, może wynosić 200° C; w tej ciepłocie bowiem nie tworzy się żadna materya organiczna. Rzecz zaś znana, że ustroje o krwi czerwonej, ciepłej jak ludzka, nie mogą istnieć już w temperaturze 80—100° C.

Trzecim zasadniczym warunkiem życia, istot nawet najprostszyc, jest wymiana pewnych gazów, a więc obecność tych gazów, czy to tlenu, czy azotu, kwasu węglowego i t. p. w formie wolnej, czyli innymi słowy, obecność jakiejś atmosfery. Warunek to według dzisiejszego pojmowania nauki niezbędny.

Zbierając przeto wszystko razem, dochodzimy do wniosku, że warunkami podobnych do naszych, sine qua non istnienia ustrojów organicznych, na jakiejś są gwiazdzie: obecność wody w stanie płynnym, obecność atmosfery, i panująca przeciętna temperatura pomiędzy 0° C, a 200° C.—Są to warunki tak ważne i ciężkie, że pierwotne pytanie co do zamieszkania gwiazd staje się prawie wątpliwem, zwłaszcza gdy zarazem zważymy, że np. Merkur otrzymuje od słońca 6.65 razy tyle ciepła i światła, co ziemia, a Saturn tylko $\frac{1}{100}$, Neptun zaś nawet tylko $\frac{1}{1000}$ cząstkę tej

ilości ciepła i światła słonecznego, jaką otrzymuje glob ziemski... To też i zawilość tego pytania dało i daje pochop do budowania mnóstwa hipotez, które dla uniknięcia trudności w pogodzeniu tak ciężkich i różnorodnych warunków, starają się zaprzeczyć niezbędności tych warunków.

I tak przypuszczono, że obecność wody nie jest dla bytu istot organicznych na innych gwiazdach potrzebną, gdyż mogą ją tam zastępywać jakieś inne ciecze, marznące w temperaturze niższej 0° C. naszego termometru. Tak, ale takiej cieczy dotąd w przyrodzie wcale nie było i nie ma,—przypuszczenie więc, jakoby na innych gwiazdach dopiero tworzyły się jakieś, do wody podobne połączenia chemiczne z pierwiastków tych samych co nasze, idzie nieco za daleko. Tak samo za daleko wybujała hipoteza o możliwości tworzenia się w temperaturze wyższej 200° C. jakichś nieznanych nam połączeń węgla wodoru i azotu, czyli połączeń organicznych. Laboratorium chemiczne, które dziś stoi wyżej niż kiedykolwiek, niewykazało dotąd jeszcze ani jednego takiego połączenia, a zabytki dawnych gorętszych okresów rozwojowych ziemi nie wskazują ani śladu na zastosowanej do takich wysokich temperatur organizacyi, lecz owszem wskazują najwyraźniej na ten sam tryb odżywiania się, jaki dziś istnieje, i na to, że chemiczny skład zwierząt i roślin był zawsze jednakim, chociaż rodzaje istot organicznych były inne. Więc i to przypuszczenie nie wytrzymuje ścisłej krytyki. Podobnych, całkiem dowolnych przypuszczeń, istnieje bardzo wiele; żadne z nich jednak nie zasługuje jeszcze na rozbiór głębszy, dlatego pomijamy je zupełnie.

Aby jednak chociaż w części odpowiedzieć na pytanie o mieszkalności gwiazd, za przykładem nowszych badaczy zwróćmy naszą uwagę na księżyc, gwiazdę nam najbliższą, której powierzchnia jest nam stosunkowo najdokładniej znana. To zaś, co o księżycu wywnioskować zdołamy, tyczyć się będzie gwiazd wszystkich w większej lub mniejszej mierze, gdyż właśnie dla tego, że ta gwiazda najwięcej nam jest znana, wnioskowanie na jej podstawie, będzie może najbliższem prawdy.

Owoż faktem jest co do księżyca, iż masa jego wynosi zaledwie 0.013 część masy ziemskiej, że dalej jego średnica wynosi 0.273 średnicy ziemskiej, że więc siła ciężkości na powierzchni księżyca jest tylko $\frac{1}{6}$ częścią siły ciężenia ziemi. Przypuściwszy tedy, że księżyc ma atmosferę, i że masa atmosfery na jednostce jego powierzchni jest taką samą jak na ziemi, to w bezpośredniem następstwie wyżej przytoczonego faktu, ciężar tej atmosfery księżycowej ważyłby tylko $\frac{1}{6}$ część ciężaru atmosfery ziemskiej. Cisnienie jej na metr kwadratowy powierzchni nie wynosiłoby (jak na ziemi) 10333 kilogramów, lecz tylko 1722 kg., a gęstość jej zamiast 1.2932 k. wynosiłaby tylko 0.2155 k. Ażeby zaś ciśnienie przypuszczonej przez nas atmosfery księżycowej, doprowadzić do

równości z ciśnieniem atmosfery ziemskiej, trzebaby, aby cała masa atmosfery księżycowej była sześć razy większą, niż jest w istocie.

Skoro przypuścimy, iż atmosfera księżyca posiadała niegdys gęstość sześćkrotnie większą niż obecnie, i że temperatura powierzchni księżycowej była taką, jaką dzisiaj ziemia posiada, to w takim razie atmosfera księżyca byłaby dla planety, podobnie jak dziś dla nas atmosfera ziemska, ochronnym i izolującym płaszczem, a wówczas mogła też była nastąpić pewna stała równowaga temperatury na skutek otrzymywanych od słońca ilości ciepła i tych ilości ciepła, jakie powierzchnia księżyca byłaby w przestrzeni światową wypromieniowała ¹⁾.

Różne okoliczności wskazują jednak, iż tak nigdy być nie mogło, a przedewszystkiem wskazuje na to prosta logika, iż każde ciało niebieskie w okresie pierwotnego tworzenia się z kłębow nebularnych, zatrzymało siłą ciężenia tylko tyle materiału atmosferycznego, na ile właśnie jego siła ciężenia wystarczała, że więc ciało o wielkości ziemi musiało mieć już wówczas więcej materiału atmosferycznego aniżeli księżyc o tyle mniejszy. Jeżeli przeto księżyc posiadał w ogóle kiedy atmosferę, to była ona znacznie a znacznie rzadszą od ziemskiej. Jako taka zaś, nie mogła być nigdy płaszczem ochronnym czyli czynnikiem wyrównania temperatury, lecz przeciwnie, ta część księżyca, którą słońce nieoświetcało, traciła w swojej nocy znacznie więcej ciepła przez wypromieniowanie w przestworze, niż otrzymywała go w czasie swego zwrócenia ku słońcu. Następstwem tego byłoby było, gdyby księżyc był posiadał wodę w formie rzek lub oceanów, powolne ale trwałe zamarzanie wszelkich wód, i równie trwałe, nieustanne oziębianie się atmosfery poniżej absolutnego punktu zerowego skali termometrowej. Taki zaś stan rzeczy, wedle tego cośmy rzekli powyżej, nie nadawał się i nienadaje się wcale do rozwoju istot organicznych nam podobnych. I brak płynnej wody, i obecność temperatury niższej od bezwzględnego punktu zerowego, byłyby wystarczyły same do zniszczenia wszelkiego życia jakichkolwiek istot organicznych nam podobnych.

Ponieważ zaś to samo, cośmy rzekli o księżycu, tyczy się wszystkich planet naszego systematu solarne — mniejszych od ziemi, przeto wniosek dalszy, że na wszystkich planetach mniejszych od ziemi a należących do naszego systematu solarne, nie ma i nie było warunków życia dla istot organicznych nam podobnych. Co do planet większych od ziemi, każe nam logika wnosić, że stosunki atmosfery i temperatury na nich panujące, nie nadają się do rozwoju podobnych nam istot. Jeżeli istnieją jakie

¹⁾ Pouillet i inni fizycy doszli na podstawie badań do wniosku, że temperatura przestworza jest o 40 — 50° (skutkiem oscylacji, wywoływanych oświetleniem słonecznym) wyższą od bezwzględnego punktu zerowego termometru t. j. — 237° C.

istoty organiczne na gwiazdach naszego systematu solarnego, na mniejszych i większych od ziemskiego globu, to są to istoty nie na nasze podobieństwo uorganizowane, lecz przystosowane do tych odrębnych warunków rozkładu i ustroju atmosfery, wody i temperatury, jakie każdej gwiazdzie z osobna są właściwe.

Co do gwiazd nienależących do naszego systematu solarnego, to brak nam wszelkiej istotnej podstawy do jakiegokolwiek wnioskania. Jedynie jednolitość praw rządzących całym wszechświatem pozwala nam wnosić, że i w innych systematach gwiazd przyczynowość i wzajemna zawisłość zjawisk bytu są takie same jak na ziemi, że więc istoty uorganizowane, nam podobne, istnieć mogą tylko na tych gwiazdach, które podają ziemskie warunki bytu t. j.

1) obecność wody w stanie płynnym.

2) temperaturę wyższą jak 0° C. (przeciętnie).

3) i obecność atmosfery na tyle gęstej, aby chroniła powierzchnię gwiazdy od trwałego oziębienia się poniżej absolutnego 0° .

Nagwiazdach nie posiadających tych warunków, mogą wprawdzie istnieć jakieś istoty uorganizowane, ale nieuorganizowane w pojęciu naszym, ani też do naszych podobne. Do prawdy zbliżonem jest tylko jedno jeszcze przypuszczenie: że, jeżeli gdzie na jakiejś gwiazdzie wszechstworza, istnieją jakieś istoty organiczne, to gwiazda ta otrzymuje dotąd niechybnie ciepło i światło od swego centralnego słońca, albowiem życia jakiegokolwiek bez tych dwóch źródeł życia — nawet wyobrazić sobie nieumiemy.

Dla prostej kronikarskiej dokładności jednak, przytaczamy jedną z piękniejszych i śmielszych hipotez o zamieszkanu gwiazd przez istoty organiczne do naszych niepodobne. Twórcą tej hipotezy jest astronom Ehrlich, a gwiazda której dotyczy: *Uranus*.

Astronomia stwierdziła, iż *Uranus* jest 91.9 razy większy co do rozmiarów od ziemi, ale tylko 15 razy większy od ziemi co do masy. Materiał, z którego wielki ten planeta jest zbudowany, jest tak rzadkim, iż stosunek jego gęstości do gęstości naszej wody wynosi zaledwie 0.9. Od naszego słońca, które i *Uranusowi* użycza światła i ciepła, oddalony jest *Uranus* na 20 krotną odległość ziemską t. j. na 28,513,000,000 kilometrów. Wskutek tego oddalenia wygląda tarcza słońca na *Uranusie* ledwo dwa razy tak wielka jak dla nas tarcza *Wenusy* w chwili największego blasku, czyli że dzień na *Uranusie* jest 368 razy ciemniejszym od dnia naszego. Z tej drobnej siły świetlnej wypromienia jeszcze *Uranus* 64% w przestworze świata. Mimo to jednak, mimo nadzwyczajnej drobności zasobu świetlnego otrzymywanego od słońca, przedstawia się *Uranus* gołemu nieuzbrojonemu oku ziemskiego badacza z oddali, w której dla nas ginie ślad najjaśniejszych komet, jako punkt silnie sięjący blaski!... I dalej. Promień blasku *Uranuso-*

wego uchwycony pryzmatem przyrządu spektralnego, daje całkiem wyraźne widmo wykazujące niezbicie, iż na powierzchni tego potężnego planety istnieje jakaś atmosfera, iż odbywają się na niej jakieś zjawiska ulatniania się gazów. Secchi stwierdził, że widmo Uranusa jest całkiem odrębnej natury, niż widma planet świecących wyłącznie światłem odbitem słońca. Widmo tego planety ma bowiem w zielono-niebieskim dziale, ciemny pasek, który jednak nie wpada w linię F, a dalej ma ciemny w dziale zielonym widma, który jednak nie jest tym samym co linia E. Od tego paska aż po za linię D istnieje w widmie Uranusa przerwa, t. zn. widmo Uranusa nie ma barwy żółtej, a dział czerwony widma jest bardzo słabym. Ta nadzwyczajna zdolność chronienia promieni żółtych światła słonecznego każe wnosić, że światło Uranusa nie jest tylko światłem odbitem słońca, ale czemś więcej jeszcze. Oto materiał, z którego składa się Uranus, i wszystko co na nim istnieje, na mocy swój stosunkowo wielkiej rzadkości, musi być tak wrażliwym na działanie promieni słonecznych, że za wpływem tych promieni samo wytwarza światło i w miarę swój chemicznej jakości, jakiś czas samo świecić zdoła. Na ziemi naszej wytwarza jakaś materia tylko wówczas światło, gdy pewnym stopniem temperatury wzbudzony w niej zostanie proces spalania, czyli gdy utajone w niej światło gwałtownie uwolnionem zostanie. Stosownie jednak do rzadkości ustroju materiału Uranusowego wrażliwość tego materiału musi być taką, iż samo muśnięcie promienia słonecznego wyswobadza zeń utajone światło, i to światło właśnie wraz z odbitem światłem słońca, nadaje Uranusowi tę siłę blasku, jaką my gołym okiem dostrzegamy.

Skoro zaś materiał Uranusa posiada ze względu na światło tę wykazaną przez analizę widmową własność, to mocą logiki musimy wnioskować, że materiał Uranusowy i ze względu na wiele innych własności wewnętrznych posiada siłę rozwojową inną, doskonalszą niż ziemia—mówi Ehrlich. I jeżeli Uranus ma na swój powierzchni jakieś istoty świadome siebie i myślące, to inteligencja tych istot jest na stopniu rozwoju o tyle wyższym od naszego przy naszych tępych zmysłach, o ile właśnie ustrój materiału Uranusowego jest wrażliwszym, delikatniejszym od naszego ziemskiego. Z drugiej strony zaś, rzecz prosta, że te istoty Uranusowe właśnie z powodu swego wyższego ustroju, niemogłyby znieść tej pełni światła słonecznego, jaką my przy tępej wrażliwości naszej łatwo znosimy.

Na powierzchni Uranusa cięża przedmioty nie tak silnie, jak na powierzchni ziemi. Jakkolwiek bowiem masa tego planety jest 15 razy większą od masy kuli ziemskiej, to ciężkość na niej jest od ziemskiej 14 razy słabszą. Na Uranusie przeto padają przedmioty o $\frac{1}{14}$ część mniej chyżo, niż na powierzchni ziemi. Houzeau obliczył, iż czas obrotu Uranusa około osi własnej, wy-

nosi $7\frac{1}{4}$ do $12\frac{1}{4}$ godzin czyli średnio 9 godzin 39 minut. Tak dzień jak i noc trwają przeto w czasie porównania po 4 godzin i 49 minut. Zaledwo zatem słońce ukaże się na wschodzie, za $1\frac{1}{2}$ godziny stoi już u zenitu, a za dalsze $1\frac{1}{2}$ godziny chyli się już znowu do zachodu. Dla nas mieszkańców ziemi, przywykłych do życia w pełni światła słonecznego przynajmniej przez 8 godzin na dobę, wydaje się ten podział pór dziennych na Uranusie, nie bardzo sprzyjającym rozwojowi istot żyjących. Skoro jednak — powiada dalej Ehrlich,—będziemy oceniać ten fakt rozumem a nie miarą przyzwyczajęń naszych, skoro zważymy, że materiał Uranusa a więc istoty zamieszkujące go posiadają wrażliwość na promienie słoneczne taką, o jakiej my pojęcia nie mamy, to zrozumimy może, że wpływ chwilowy światła słonecznego wywierać może na Uranusie ten sam skutek, jaki u nas wywiera słońce dopiero po kilkunastu minutach, i dalej, że skutek jednej chwili nieobecności słońca (w nocy) służący skupieniu się sił i pokrzepieniu, jest na Uranusie taki sam, jak u nas dopiero po kilkunastu minutach spoczynku nocnego, czyli że gwałtownie szybkie wschodzenie i zachodzenie słońca na Uranusie, wywiera na życie tego planety taki sam skutek, jaki wywiera na życie ziemi sześć razy powolniejszy bieg słoneczny. Wreszcie trzeba zważyć także i tę okoliczność, iż nagle na Uranusie przejścia z dnia do nocy i naodwrot, nie stanowią tak wielkiego kontrastu, jak my go sobie wyobrażamy, dlatego, iż Uranus zatrzymuje podczas swęj nocy część otrzymanego w dzień światła słonecznego i wypromienia go wraz z oswobodzonym własnego ustroju światłem napowrót w przestworze w formie właściwej t. j. w barwie własnego blasku. Noc Uranusowa niema więc charakteru ciemności nocy naszych. Uranus ma jednak czasy, w których słońce całe tygodnie, miesiące i lata całe stoi na horyzoncie, i równie lata całe, w których nie ukazuje się wcale.—jedno i drugie skutkiem właściwości kolei obiegowej oraz położenia osi Uranusowej.

Uranus krąży około słońca jak każdy inny planeta z zachodu na wschód i dokonuje jednego obiegu siderycznego w 84 latach 7 dniach i 10 godzinach ziemskich. Jedna kolej pór roku trwa przeto na Uranusie 84 lat, wszakże w znaczeniu astronomicznem jest zawisłość kolei pór rocznych od położenia osi Uranusowej całkiem innego rodzaju, aniżeli zawisłość naszych pór roku od położenia osi ziemskiej. Oś ziemi tworzy z płaszczyzną ekliptyki kąt $66\frac{1}{2}$ stopniowy, skutkiem czego słońce nie wznosi ani się w lecie nad $23\frac{1}{2}^{\circ}$ nad równik, ani w zimie nie spuszcza się niżej jak $23\frac{1}{2}^{\circ}$ pod równik. Strefa gorąca leży przeto między dwoma zwrotnikami i mierzy szerokości $66\frac{1}{2}^{\circ}$. Gdyby zaś oś ziemską tworzyła z płaszczyzną ekliptyki kąt o rozwarciu tylko $\frac{1}{4}^{\circ}$, to położenie zwrotników byłoby na biegunach, położenie kół biegunowych prawie na równiku, strefa gorąca sięgałaby od bieguna do bieguna, a strefy

zimnej nie byłoby wcale. Taki astronomiczny stan rzeczy jest właśnie na Uranusie. W czasie Uranusowego aequinoctium, zajmuje słońce dla wszystkich punktów krążącego równika stanowisko zenitowe, a łuk dzienny opisywany przez słońce w ciągu $4\frac{1}{2}$ godziny dzieli sklepienie nieba na dwie równe połowy, tak, że północna i południowa półkula Uranusa od równika aż do biegunów mają całkiem jednakowe dni i noc. Skoro Uranus posunie się w swem krążeniu n. p. o $45''$ dalej (wymaga to 10 lat czasu) to stanowisko słońca zmieni się tak, iż dzień na równiku Uranusa będzie trwał o połowę krócej niż noc, w środku północnej półkuli będzie dzień trwał cztery razy tak długo jak noc, w 69° szer. geogr. półn. ośm razy tak długo, a na samym biegunie północnym będzie słońce krążyć ciągle dokoła horyzontu. Podczas tego, półkula południowa Uranusa ma naturalnie ciągłą noc. Ten dzień północnej półkuli a noc południowej, trwa po 40 lat z górą, poczem gdy Uranus osiągnie solstitium, zwraca się słońce tak, iż stosunek oświetlenia dla obu półkul Uranusowych staje się wręcz odwrotnym.

Takich stosunków oświetlenia na ziemi naszej znieścibyśmy nie mogli, gdyż skutkiem niezmiernej potęgi wpływu słońca na ziemię, a ściślej zawisłości istot ziemskich od tego wpływu, przy obecnym ustroju naszym zginąćbyśmy musieli. Ale na Uranusie działa słońce z promienistością 368 razy słabszą, a z siłą przyciągania 676 razy słabszą, niż na ziemię naszą. Istoty zamieszkujące Uranusa, są przeto o tyle samodzielniejsze od nas, kontrasty wywoływane obecnością i nieobecnością słońca niewywierają na nich tak nieprzyjemnego wpływu, jak na mieszkańców ziemi, na której potęga przeciwnieństw psuje wszelkie utrwalenia się harmonii zjawisk. Taksamo jak w zjawiskach ziemskich dają się wysledzić pewne stopnie samodzielności polegające na tem, iż przyroda tem mniej pomaga z zewnątrz, im więcej w czemś tkwi siły wewnętrznej rozwoju, tak samo i w całej budowie gwiazdzistych systematów, dadzą się wysledzić pewne stopnie samodzielności kosmicznej. Zwierzę rodzi się okryte włosem lub łuską i uzbrojone do walki, a człowiek rodzi się nagi i bezbronny. To też zwierzę, gdyby mogło, dziwiłoby się, jak człowiek z takimi brakami istnieć może... Podobnie więc i nam (mówi Ehrlich) ograniczonym mieszkańcom ziemi, trudno jest pojąć, jak na Uranusie, przy następstwach położenia jego osi i jego odległości od słońca, które zniszczyłyby wszystko co żyje na ziemi naszej, jak przy tych warunkach może tam istnieć jakiś świat jestestw żyjących i pierwiastków, które zdołają wytworzyć ze siebie to, czego im pomocna matka natura nie daje, a co nam daje niemal na każdym kroku. Myśli téj, jakoby w ustroju systemu planetarnego wyjawiała się idea postępu pewnego, nie dowiedzie wprawdzie drogą dedukcyi, ale pewnikiem rozumu praktycznego być ona

zawsze może. Trudno bowiem przypuścić, by Stwórca wypowiedział swe ostatnie: „Stań się!“ właśnie tylko ze względu na ziemię naszą drobną, trudno przyjąć, aby przyroda zebrała i skupiła na naszej ziemi wszystko to, co każdemu planecie z osobna w całym szeregu poczynającym się na Merkurze, a kończącym się na Neptunie jest właściwem i co go w jakiejś mierze wyodrębniła. Wolny rozum, co przenikliwością swoją sięga poza granice ziemi, a w której to przenikliwości tkwi właśnie podstawa naszej prawdziwej, nieziemskiej istoty, stwarza ideały, których ziemia sama z siebie nie daje i dać nie może. Gwałtowna zaś przepaść między dziedziną ideałów a dziedziną zmysłów naszych, ma swą przyczynę właśnie w ustroju naszego planety, który jest tylko jednym, trzecim z rzędu planetą w całym ich szeregu, i w tem także, że rozumem naszym umiemy się wdzierzgnąć w głębię przyrody, umiemy wyrazić to, czego ona wyrazić nie może, ale co przyroda na planetach niezawisłych tak bardzo jak ziemia od grawitacyi słońca, wyraża najprawdopodobniej w formie doskonalszego rozwoju. Toż na planecie najwyższym: albo świat zmysłowy zlewa się ze światem ideałów, albo świat zmysłowy jednoczy się z nim bardzo ściśle, — najbliższym zaś Neptunowi jest właśnie leżący tylko o jeden stopień niżej — Uranus..

Tak kończy swą piękną ale i kruchą hipotezę Ehrlich. Nie zastanawiamy się jednak dłużej nad nią, lecz przechodzmy do bardziej uchwytnych przedmiotów badania ostatnich czasów.

W wywodzie naszym wspomnieliśmy kilkakrotnie o potędze wpływu słońca na ziemię naszą. Potęga ta objawia się na każdym kroku w sposób rozmaity, a jednym z niedawno dopiero poznanych jej objawów, jest wpływ, jaki zaćmienia słoneczne wywierają na stan atmosfery ziemskiej. Kwestyę tę badał dłuży czas meteorolog amerykański Winhlow Upton, i wyniki swych prac przedstawił w jednym z ostatnich zeszytów czasopiśma: „Meteorologische Zeitschrift“. Owóż według spostrzeżeń tego badacza, wpływ zaćmienia słonecznego na atmosferę naszą objawia się przedewszystkiem obniżeniem temperatury atmosferycznej. Obniżenie to zawisło naturalnie od stosunków miejsca, pory roku, i wysokości w jakiej słońce znajduje się w chwili zaćmienia. W r. 1869 stwierdził Upton w Des choines i Jowa, iż obniżenie temperatury atmosferycznej wywołane zaćmieniem słońca, wyniosło w cieniu 13°, w r. 1878 spadł w Pike Peak termometr o 23°, a w r. 1883 na wyspach Karolińskich spadł termometr w cieniu tylko o 2,2°. To ostatnie drobne stosunkowo obniżenie przypisuje Upton insularnemu położeniu miejsca badania. Ciekawem jest, iż maximum obniżenia przypada dopiero w jakiś czas po całkowitem zaćmieniu, co Upton przypisuje powolności, z jaką atmosfera odpowiada zmianom wpływu ciepła słonecznego.

Daléj stwierdził Upton, że zaćmienie słońca wywołuje wzrost wilgoci w atmosferze. Na wyspach Karolińskich wynosił 5%. W wielu innych przypadkach stwierdził nawet Upton tworzenie się rosy.

Co do zmian wywołanych zaćmieniem słońca, w sile kierunku wiatrów, nie udało się dotąd stwierdzić nic stanowczego, gdyż w niektórych razach siła wiatru podczas zaćmienia wzmagala się, kiedyindziej zaś słabła, a często nawet zjawiała się podczas zaćmienia zupełna cisza.

Wpływ zaćmienia słońca na barometr bywa rozmaity.

W r. 1880 w Agosta (Sycylia) spadł barometr bardzo gwałtownie, natomiast w innym przypadku w początkach zjawiska opadł barometr dość szybko, następnie podczas maximum zaćmienia począł się wznosić, aż znowu powrócił do stanu normalnego.

Spodziewać się należy, że po pierwszy raz dotknięta przez Uptona kwestya pobudzi innych badaczy, a między nimi i naszymi, do zajęcia się w stosownym czasie badaniami nad rozświetleniem téj nie dość jeszcze poznanej potęgi wpływu słonecznego na ziemię naszą.

W dziedzinie geografii należy się wzmianka odczytowi, jaki niedawno miał w Halli słynny profesor Kirchhoff na temat, definicyi narodowości.

Usiłowania nad ściśłem zdefiniowaniem tego pojęcia należą dopiero do 19 wieku. Na skutek tych usiłowań nauczyciele prawa państwowego orzekli, iż narodem jest część ludzkości przynależącej do siebie na podstawie równości pochodzenia, języka i obyczajów. Inni, a na ich czele Böckh i Henne am Rhyu, poszli daléj, mówiąc, że jedyną podstawą narodowości, jest jeden wspólny język macierzysty.

Definicje te niewytrzymały jednak ściślej krytyki. Znanych jest bowiem mnóstwo faktów, przemawiających wręcz przeciw takiemu określeniu pojęcia narodowości. Francuzi, którzy przed stu laty lub za Napoleona I-go osiedli z Niemczech, przyswoili sobie zupełnie język niemiecki i zwyczaje niemieckie, ale mimo to nie przestali być w duszy francuzami do dzisiaj. Neger służący u niemieckiego plantatora w południowej Brazylii, po kilku latach nauczy się biegle nawet saskiego dyalektu, ale mimo to Negrem być wcale nie przestanie. Także i wspólność krwi czyli wspólne pochodzenie nie stanowią wcale narodowości. Dowodem tego Wielka Brytania, gdzie pierwotnie jednorodny naród rozszczepił się z biegiem czasu na całkiem wyodrębnione a nawet wrogie sobie narodowości: Irlandczyków i Anglików. Południowi Wendowie, otoczeni zewsząd Niemcami i uciskani przez długie lata przez nieprzychylny Słowianom rząd austriacki, przyswoili sobie zupełnie język niemiecki i żyli się z jego wcale nie słowiańskim duchem, ale mimo to nie przestali być do dzisiaj

Wendami dla tego, gdyż nie zmieszali swój krwi z niemiecką i prawdopodobnie nie przyjdzie tam nigdy do tego, co piszą kronikarze o roku 1404 na wyspie Rugii, iż w tym roku zmarła ostatnia staruszka na wyspie, która władała starym macierzystym językiem słowiańskim...

Do zdefiniowania narodowości nie wystarcza więc ani wspólność pochodzenia, ani religii, ani języka. Już sama odrębność ustroju państwowego i geograficznego wytwarza z czasem narodowość jak np. Portugalczycy. Wspólnego pochodzenia a pierwotnie języka i religii wspólnych z Hiszpanami, Portugalczycy przez to, że wybili się do odrębnego własnego ustroju państwowego, że kraj przez nich zamieszkały ogranicza ich geograficznie klimatem, florą i innymi właściwościami od reszty Iberyjskiego półwyspu, zmienili z czasem język i zwyczaje, i stali się narodem osobnym, który też bardzo często zajmuje wrogie i nienawistne odrębne stanowisko względem dawnych swych współplemieńców Hiszpanów. Podobnie Holendrzy są według antropologii fizycznej Niemcami, a nawet geograficznie kraj przez nich zamieszkały przynależnym jest do Niemiec. Mimo to wszakże, od 16-wieku począwszy, wytworzyła się tam całkiem odrębna narodowość, która dialekt niemiecki t. zw. plattdeutsch, uczyniła ucywilizowanym językiem holenderskim, i żadnemu Holendrowi dzisiaj ani się śni, liczyć się do jakichkolwiek Niemców. Z drugiej strony znowuż, czysto polityczny element nie może także jeszcze stanowić o narodowości. Przykładem tego starożytni Helleni, którzy mimo to, iż byli wszyscy jednej krwi i języka jednego, wszyscy zarówno dzielni na polu nauki i sztuki, wszyscy pełni dumy narodowej i gotowi jak jeden mąż ruszyć do walki przeciw nieprzyjacielowi ojczyzny,—nie zdołali wytworzyć nigdy jednego państwa. Utworzyli je natomiast Rzymianie, którzy znowuż mimo całej swój politycznej potęgi nie zdołali nigdy ze zlepku podobnych narodów, wytworzyć jedną narodowość.

Także najściślejsze połączenie się narodowościowe nie doprowadza samo nigdy do utworzenia narodu wówczas, gdy ustrój geograficzny zamieszkanego kraju—nie jest zwarty i jednolity. Tak mimo wspólności pochodzenia i pierwocin języka Szwedów, Norwegów i Duńczyków, słynna unia kalmarska przysła nieodprowadzając do niczego.

Nieco bliżej prawdy w zdefiniowaniu narodowości są najnowsi badacze francuzcy. Renan mówi, iż narodem jest zjednoczenie pewnego rodzaju ludzi takich, którzy do siebie wzajem chcą należeć. Hovelaque uważa zaś naród za związek socyalny oparty na wspólności interesów i wspólności dawnych i świeżych cierpień, oraz sławy. Przykładem najcharakterystyczniejszym tej właśnie definicyi są Szwajcarzy, którzy różni między sobą językiem macierzystym jedynie na podstawie wspólności cierpień i sławy

oraz wspólności interesów zawarowanych geograficznymi właściwościami kraju, związali się razem, a pracując spolem dla dobra wszystkiej społeczności, stali się już dzisiaj narodem odrębnym. Hovelague przewidział jednak, że tu nie wola sama wytworzyła naród, ale to właśnie, czemu on przypisuje znaczenie drugorzędne t. j. geografia zamieszkanego przez Szwajcarów kraju.

Reasumując tedy to, cośmy powiedzieli przykładowo, dochodzi nowoczesna etnografia do wniosku, że narodem jest związek socyalny ludzi chcących naród tworzyć na zasadzie wspólności interesów, ale wspólności interesów takiej, która opiera się zarówno na przyczynach historycznych, jak geograficznych i fizycznych. W ten sposób wciągniętą została do definicyi narodowości, pomijana dotąd w badaniu historii rozwoju społeczeństw—biologia. ¹⁾

Przedostatni zeszyt czasopisma „Deutsche Rundschau für Geographie und Statistik“ podaje liczbę obecnie istniejących Towarzystw geograficznych na całej kuli ziemskiej. Ogólna ich liczba wynosi obecnie 145, a mianowicie: Francya liczy 29 stowarzyszeń o 19,800 członkach a 250,000 fr. rocznego dochodu,—Niemcy 22 stowarzyszeń o 9,200 członkach a 100,000 fr. dochodu,—Wielka Brytania ma tylko 9 stowarzyszeń o 5,000 członkach i 250,000 fr. dochodu,—Rossya posiada ich 5 o 1,330 członkach a 120,000 fr. dochodu,—Włochy 4 o 2,550 członkach a 70,000 fr. dochodu,—Austria 2 o 1,950 członkach a 30,000 fr. dochodu. Na czele wszystkich Towarzystw stoi bezsprzecznie Royal Geographical Society w Londynie, liczące 3,400 członków, 200,000 fr. rocznego dochodu a posiada majątku 500,000 fr. Następują po nióm Sociétés de Géographie w Paryżu, Gesellschaft für Erdkunde w Berlinie, K. K. geograph. Gesellschaft w Wiedniu, i c. ross. Geograf. Stowarzyszenie w Petersburgu. W Ameryce są najznamiensze American Geographical Society w Nowym Yorku i Institutio Geografico Argentino w Buenos-Ayres.

W dziedzinie statystyki prac wykonano w ostatnich czasach sporo. Wiele z nich problematycznej bardzo wartości, wiele innych wymaga jeszcze dalszego i ścisłego badania. Z pomiędzy tychże zasługują na nieco szerszą uwagę wnioski oparte na statystycznych zestawieniach: o stosunku marzeń sennych do snu. Do zestawień tych doszedł psycholog niemiecki Heerwagen tym sposobom, iż 500 osobom rozesłał arkusze do wypełnienia stosownego zamieszczonych na nich rubryk z pytaniami. W przeciągu dwóch miesięcy otrzymał w odpowiedzi

¹⁾ Pogląd Redakcyi „Bibl. Warsz.“ na tę kwestyą zob. „Bibl. Warsz.“ 1886. T. II. str. 282—285.

406 wypełnionych arkuszy i to wypełnionych tak dokładnie, iż rezultat prześcignął wszelkie oczekiwania badacza. Pytania miały za treść: mnogość marzeń sennych, ich rodzaj, nastrój, moc snu i tegoż długość, rodzaj i wielkość pracy, a wreszcie nastrój temperamentu osoby. Otrzymane odpowiedzi uporządkował Heerwagen w 3 grupy: mężczyzn, kobiet i młodzieńców; i na podstawie zestawień statystycznych i otrzymanych z nich przeciętnych doszedł do następujących wniosków.

Marzenia senne tém częstsze, im lżejszym jest sam sen. Co do mnogości marzeń sennych i twardości snu istnieje między ośmiu płci męskiej a żeńskiej wielka i zasadnicza różnica. Na 100 kobiet bowiem miewa co noc wielokrotnie marzenia senne aż 78 osobników, na 100 młodzieńców tylko 50 osobników, a na 100 mężczyzn tylko 47 osobników. Sen lekki miewa 63% kobiet, 42% młodzieńców i 44% mężczyzn. Kobiety mają przeto daleko lżejszy sen aniżeli mężczyźni, i śnią wiele i często. Dalej wywnioskował Heerwagen, że w miarę postępu wieku marzenia senne zdarzają się coraz rzadziej, chociaż sen staje się coraz lżejszym. Wiek dziecięcy nie zna marzeń sennych, sny zjawiają się dopiero w latach chłopięcych, osiągają w wieku lat 20—35 swe maximum, poczem znowu powoli ustają. Także i żywość marzeń sennych jest u kobiet największą. Zaś co do łatwości w przypominaniu sobie treści marzeń sennych, wywnioskował Heerwagen tylko tyle, iż te osoby, które śnią często, przypominają sobie treść snów łatwiej, aniżeli osoby śniące rzadko. Również pamiętają dobrze treść snów osoby śpiące lekko.

Długość trwania snu nie wywiera u mężczyzn żadnego znaczenia na obfitość marzeń. U kobiet natomiast, te osobniki które śnią często, śpią zwykle o godzinę lub więcej dłużej od osobników śniących rzadko.

Zdolność popadania w sen, o którejkolwiek porze dzienniej, właściwą jest tylko małej liczbie ludzi i zdarza się częściej w wieku młodszym niż w latach późniejszych. Z otrzymanych przez Heerwagena odpowiedzi wynikało, iż po południu śpią na 100 osobników przeciętnie: 28 mężczyzn, 19 młodzieńców i 20 kobiet.

Nastrój duchowy jest dalej według Heerwagena zawisłym o tyle od marzeń sennych, iż osoby śniące rzadko i śpiące twardo, są rano i przed południem weseliej usposobione, aniżeli osoby śniące często i śpiające długo a lekko.

Z pomiędzy temperamentów cieszą się najtwardszym snem i najrzadziej zdarzającą się zmorą marzeń sennych, szczęśliwi i w wielu innych względach — flegmatycy.

Są to najważniejsze wyniki badań Heerwagena. Ciekawe są one głównie ze względu na zastosowanie statystycznej metody do badania zjawisk psychicznych, a to tém więcej, iż metoda ta może zresztą bardzo trudno dostępną dziedzinę zjawisk przyjąć z rzeczywistą i wielką pomocą.

W zakresie fizjologii uczynił bardzo ciekawe odkrycie Dr. Urbanowicz. Stwierdził on, co każdy zresztą na sobie łatwo spróbować może, iż gdy się patrzy na drobne obok siebie umieszczone różnobarwne pola, ale tak oddalone, iż nie można dokładnie rozpoznać granic pomiędzy barwami, a równocześnie przytknie się do ucha widełki stroikowe drgające pewnym tonem przez kilkanaście sekund, to wrażenie wywarłe na zmysle słuchu wpływa dziwnym sposobem na wrażenie barw w zmysle wzroku. Wszystkie tony widełek stroikowych wywołują w nas wrażenie rozjaśnienia się barw, zaś tony niskie czynią na nas wrażenie takie, jakby barwy na które patrzymy, były pełniejsze i silniejsze niż wprzód, a szczególnie wszelkie odcienie barwy czerwonej. Także i bystrość wzroku wzmagą się przy równoczesnym podrażnieniu nerwów słuchu i stąd to pochodzi, że jakąś osobę widzimy dokładniej wówczas gdy mówi. Podrażnienia nerwu słuchowego działają także na zmysł powonienia, smaku i czucia. Znane są powszechnie wypadki wywołania bólu pewnych zębów przez wydobywanie pewnych dźwięków.

Tak samo, jak ucho działa na oko, oddziaływa także wrażenie wzroku na inne zmysły. Znamy z życia codziennego fakt, iż słyszymy lepiej, gdy równocześnie ulega wrażeniu oko nasze. Przymknięcie powiek osłabia wrażenie słuchu, a ten co podsłuchuje, rozwiera zwykle szeroko oczy. Że na wrażenie smaku oddziaływa bardzo światło i barwy, znanym jest także powszechnie. Smak słodczy podwyższa kolor czerwony, a jeszcze więcej zielony, zaś barwa żółta i niebieska osłabiają wrażenie smaku słodkiego. Podobna zawisłość istnieje między barwami a wrażeniami kwasu, goryczy i smaku słonego. Dowodem zawisłości wrażenia zmysłu czucia od wrażenia zmysłów innych, jest fakt, iż gdy nas ktoś łaskocze, to nieprzyjemne uczucie znacznie słabnie przez przymknięcie powiek. Podobnie gdy włożymy rękę w ciepłą wodę a popatrzymy potem na coś czerwonego lub zielonego, to uczucie ciepła w ręce wzmoże się, przeciwnie osłabnie wrażenie ciepłoty, gdy popatrzymy na przedmiot barwy zielonej lub fioletowej.

Z wszystkich tych doświadczeń wynika, iż pomiędzy wrażeniem jednego zmysłu a mocą wrażliwości zmysłów innych zachodzi ścisły związek, że wrażenia pewnego rodzaju na ten lub ów zmysł wywarłe, wpływają podniecająco lub przytłumiająco na moc wrażliwości zmysłów innych. Jak daleko ten wpływ sięga nie docieczono dotychczas. Urbanowicz stwierdził tylko co do barw, że czerwona i zielona działają na wrażliwość wszystkich innych zmysłów podniecająco, zaś żółta i fioletowa działają przytłumiająco.

Zakończając obecne nasze sprawozdanie z ruchu naukowego w dziedzinie wiedzy przyrodniczej, poświęcamy kilka słów bardzo

ciekawej kwestyi biologicznej, już lekko w poprzedniej „Kronice“ dotkniętej, a której pierwotnym inicjatorem jest znakomity petersburski zoolog prof. MeczNIKOW.

Jak powszechnie wiadomo, najnowsze badania przyczyn chorób bardzo niebezpiecznych, wykryły jako bezpośrednie ich źródło: wtargnięcie do ustroju człowieka drobniotkich istot żyjących, zajmujących w hierachii stworzeń pośrednie miejsce między zwierzętami a roślinami t. zw. bakteryi, bakcyli, kokków i t. p. mikroorganizmów. Nasunęło się jednak równocześnie pytanie, czem właściwie jest ten wpływ szkodliwy drobnych ustrojów na organizm człowieka?... Co się w organizmie takiego staje?.. dlaczego jeden człowiek przychodzi do zdrowia a drugi ulega temu napadowi nikłych stworzonek?..

Na ważne to pytanie zasadnicze rzucił właśnie światło wspomniany prof. MeczNIKOW, który przedewszystkiem wykazał, że każda choroba wywołana wtargnięciem mikroorganizmów do ustroju ludzkiego jest niczém inném, jak następstwem zaciętej walki dwóch typów osobników organicznych.

MeczNIKOW zauważył raz, iż znajdujące się w wielkim aquarium, a do rzędu raków należące pchły wodne t. zw. Daphniae, drobne przezroczyste stworzonka o bardzo prostej organizacyi, uległy dziwnej chorobie grzybkowej. Badając je stwierdził, iż całe ciało stworzenia wypełnione było wewnątrz aż do ostatnich kończyn odnóży, zbitą masą komórek jednego i tego samego grzybka, znajdujących się tylko w różnych okresach rozwoju. Grzybek ten dostawał się do wnętrza Daphnii przez poknięcie rozsadnika (Spore) grzybkowego, długiego nitkowatego bezbarwnego tworu, który za pomocą odruchów jelitowych (peristalt.) dostawał się do ścian kanału pokarmowego. Dociekając dalej, stwierdził MeczNIKOFF, — i to rzecz najciekawsza i najważniejsza; — iż skoro tylko rozsadnik wtargnął do wnętrza jelit, otoczyły go do koła i pouczeptały się na nim ciała krwi zwierzęcej i — rozpoczęły z nim walkę... Otaczały go coraz liczniej, okryły go zupełnie sobą i niewypuszczały z więzów. Rozsadnik grzybkowy zamknięty tak zupełnie komórkami krwi, począł się przeistaczać, zmieniać i zgrubiał, zżółciał, przybrał ostre zarysy formy, gdziegdzie spłynął w bezkształtną brunatną masę, a wreszcie rozpadł się na czarne ziarniste okruchy. Przeistoczenie to zniweczyło żywotność rozsadnika i uczyniło go dla ustroju zwierzęcia nieszkodliwym. A że tak rzeczywiście jest, przekonał się MeczNIKOW po tem, iż u rozsadnika takiego, którego tylko połowa wystawała na zewnątrz ściany jelita, a druga w niej tkwiła, tylko ta pierwsza połowa uległa rozprysnięciu się, zaś połowa nienaruszona przez komórki krwi dla braku dostępu, pozostała nadal niezmienną i żywotną.

Wszelako nie zawsze wynik walki jest tak pomyślnym dla

Daphnii. Skoro bowiem do wnętrza ich ustroju dostanie się naraż nazbyt wielka ilość rozsadników grzybkowych, wówczas komórki krwi nie mogą im podolać, rozsadniki odnoszą zwycięstwo i żywotnością swoją wywołują wybuch choroby u zwierzęcia. Rozsadnik zwycięski wypuszcza boczne pęcze, które się odeń odzielają, przedstawiając właściwe komórki grzybkowe t. zw. konidie, a te dostawszy się do obiegu krwi, roznoszone bywają do wszystkich części ustroju zwierzęcego. Wprawdzie i w tym wypadku komórki krwi nie są biernymi, lecz wcielają w siebie czyli pożerają wiele konidii, ale ostatecznie wychodzą konidie skutkiem swej zbytnej mnogości zwycięsko. Z wzrostem rozwoju konidii ubywa coraz więcej ciałek krwi, choroba zwierzęcia postępuje, zwierzę jej wreszcie ulega. Prócz ciałek krwi biorą udział czynny w walce także wolne komórki tkanek wiązadłowych.

Choroba Daphnii jest więc walką dwóch żyjących drobnych ustrojów: grzybków jednokomórkowych i komórek zwierzęcych. Wynik walki bywa różnym: jeżeli chodzi o zniszczenie samych rozsadników, zwyciężają zazwyczaj komórki zwierzęce: ciała krwi i komórki tkanek wiązadłowych, objęte przez Mecznikowa jednym mianem *Phagocyty* w. Z walki z konidiami natomiast wychodzą zwykle zwycięsko te ostatnie. Jak wielką jest jednak ta prophylaktyczna rola Phagocytów wynika stąd, iż według Mecznikowa, na 73 Daphnii napadniętych przez rozsadniki grzybka, tylko u 14-tu przyszło do wybuchu choroby t. j. do rozwoju konidii.

Zjawisko tej walki obserwowane i stwierdzone z wszelkimi szczegółami przez Mecznikowa, nasunęło naturalnie pytanie, ażali i choroby infekcyjne zwierząt i człowieka nie są także co do istoty właściwej walką jakichś drobnych mikroorganizmów z komórkami ciała?.. Wiadomem bowiem było już skądinąd, że w ciele zwierząt wyższego ustroju istnieją pewne komórki zdolne do samodzielnych poruszeń i do wchłaniania w siebie ciał obcych. Komórkami takimi są przedewszystkiem białe ciała krwi (Leukocyty) będące jak wiadomo obok czerwonych ciałek morfologicznym składnikiem krwi, a znachodzące się także i w innych częściach ustroju zwierzęcego, a zwane właśnie dla ich ciągłego zmieniania miejsca pobytu, kosmopolitami. Gromadzą się one najliczniej tam, gdzie ciało ulega jakiemś chorobliwemu procesowi np. zapaleniu tkanki, i z reguły, co bardzo ciekawe acz niewytłumaczone.—na zewnętrznej warstwie tylniej ściany jamy ustnej. Jak wielką jest u nich moc pochłaniania wszelkich ciał obcych, można się przekonać w ten sposób, gdy wstrzykniemy w krew trochę tuszu chińskiego: w kilka godzin po wstrzyknięciu ujrzemy ziarenka tuszu w wnętrzu białych ciałek krwi, które ten tusz pochłoneły, pożarły.

Celem tedy znalezienia ścisłej podstawy do odpowiedzi na

powyższe pytanie, jał się MeczNIKOW badania przebiegów różnych chorób infekcyjnych, a przede wszystkim wąglika. Wszczepiwszy żabom pod skórę nieco miazgi płucnej wziętej z myszy a przenikniętej bakcylami wąglikowymi, stwierdził po kilku godzinach pojawienie się białych ciałek krwi wokół miejsca zaszczonego jadem, z których każde zawierało w sobie jednego lub więcej bakcyli wąglikowych. Podobnie stwierdził, gdy na czystą lymfę żabią, zawierającą tylko białe ciała krwi puścił kroplę jadu wąglikowego, iż każde białe ciało krwi wchłaniało w siebie bakcyllę wąglikowego zupełnie tak samo, jak amoeba chłonie oscylaryę lub inną algę.

Wchłonięte przez leukocyty mikroorganizmy tracą podstawę do rozwoju, zmieniają się całkowicie, rozpadają się i co najważniejsza, przestają być zaraźliwymi, więc giną zupełnie. Że tak jest, przekonał się MeczNIKOW w ten sposób, iż wszczepiał te rozprysnięte bakcylle rozmaitym zwierzętom bez najmniejszych skutków szkodliwych.

Podobną zupełnie walkę białych ciałek krwi z mikroorganizmami zaraźliwymi stwierdził MeczNIKOW, a później Fehleisen w cierpieniu zwanem powszechnie różą (*Erysipel*) a powstającą stąd, iż przez jakiś trudny do wykrycia otworek w skórze wtargną właściwe jadownicze bakcyle t. zw. streptokokki. I tu odbywa się walka zacięta jakiś czas, ale zwycięzko wychodzą z niej z reguły białe ciała krwi, a tylko u bardzo starych bezsilnych już osób zwyciężają streptokokki. Stwierdzono przytem jeszcze rzecz inną bardzo ciekawą. Oto podczas walki białych ciałek krwi z bakcylami róży, komórki tkanki wiązadłowej podskórnej (*Tela subcutanea*) rozmnażają się bardzo chyżo przez dzielenie się i wchłaniają w siebie uległe w walce białe ciała krwi, ich szczątki i inne ciała obce krom bakcyli. MeczNIKOW nazwał je z powodu stosunkowej ich wielkości *makrophagami*, zaś białe ciała krwi *mikrophagami*. Te ostatnie toczą właściwą walkę, pierwsze zaś oczyszczają i uprzątają pole walki przez wchłanianie w siebie szczątek poległych i ciał osłabionych bojowników.

Taką samą walkę ustrojów komórkowych stwierdził wreszcie MeczNIKOW w gorączce tyfoidalnej (*febris recurrens*). Choroba ta objawia się jak wiadomo, dreszczami i gorączką wyżej 40°, które trwają 4—5 dni, poczem następuje przerwa kilkudniowa z pozornymi symptomatami powrotu do zdrowia. Objawy choroby zjawiają się jednak znowu po kilku dniach i znowu ustają, poczem jeszcze 2—3 razy powtórzyć się mogą. Prof. Obermeyer w Berlinie stwierdził, iż przyczyną choroby są właściwe wężowate ustroje t. zw. *Spirochaetae* które podczas napadu choroby wypełniają masami krw, w przerwach choroby natomiast znikają z krwi bez śladu. MeczNIKOW zaś stwier-

dził dalej, że białe ciała krwi nie chłoną wcale tych mikroorganizmów, że więc ustroje te poruszają się w krwi całkiem swobodnie. Dociekając, co by się z mikroorganizmami stać mogło podczas przerwy chorobliwej, tem więcej, iż wraz z nowym napadem choroby zjawiają się masami w krwi napowrót, wszczepiał MeczNIKOW JAD tyfoidalny małpom i stwierdził przy sekcjonowaniu, iż wszystkie chore w ten sposób zwierzęta, mają bardzo (5—6 krotnie) powiększoną śledzionę, i że to powiększanie pochodzi właśnie stąd, iż bakcylle tyfoidalne podczas przerwy chorobowej kryją się do wnętrza śledziony. W śledzionie jednak wre walka. Phagocyty śledziony wchłaniają w siebie bakcylle tyfoidalne i gubią je, ale ponieważ nie podolają wszystkim odrazu, pozostała część spirillów z ustaniem gorączki wędruje napowrót do krwi, mnoży się i wywołuje tem nowy napad choroby, poczem za osiągnięciem nieznośnego dla nich wysokiego stopnia wzmagającej się ciepłoty gorączkowej, wracają do śledziony, gdzie na uprzątniętem przez makrophagi polu walka rozpoczyna się na nowo, mikrophagi porażają bakcylle dopóty, póki wszystkiego nie wytepią.

Owóż skoro zbierzemy to, co pokrótce przytoczyliśmy o walce drobnych ustrojów, skoro zważymy, że w tak różnych co do istoty chorobach i wywołanych tak różnorodnymi ustroju jadowitymi, powtarzają się te same zjawiska walki, to musimy bez żadnego zastrzeżenia uznać istnienie w tej mierze jakiegoś powszechnego prawa. Prawem tém zaś jest nieubłagana walka o byt dwojga rodzajów najprostszych ustrojów organicznych: komórek cielesnych i drobnych jednokomórkowych tworów.

Przy sposobności odkrycia istoty tej walki trafiono przypadkowo na rozwiązanie innej zagadkowej długie czasy kwestyi: roli śledziony w organizmie człowieka. Stwierdzono mianowicie, iż we wszystkich prawie chorobach zakaźnych objawia się powiększenie objętości śledziony, która jest jednym z organów pędzących krew. W wnętrzu jej istnieje mnóstwo leukocytów czyli białych ciałek krwi, które się w tym oganie prawdopodobnie wytwarzają, a wytwarzają nietylko w tym celu, aby sobą zasilać krew organizmu, ale przedewszystkiem prawdopodobnie na to: aby w razie wtargnięcia do ustroju nieprzyjaznych jadowitych mikroorganizmów, móżd odrazu stawić im czoło w jakiegokolwiek części organizmu przez nie napadniętej.

GWARA WARSZAWSKA

w spólczesnym języku literackim,

PRZEZ

L. W. Szczerbowicza.

I.

Nieprawidłowości, o których mam mówić, są to albo nowotwory, w dotychczasowym języku wykształconym i literackim nieznanne, albo formy i zwroty, odmienne od uświęconych w literaturze. Może znajdzie się ktoś taki, co zechce bronić tych nabytków, opierając się na téj zasadzie, że język żyjący wciąż bogaci się i rozwija. Wszelako, według naszego zdania, wzrost i pomnażanie się nie zawsze jest bogaceniem się i rozwojem, a mianowicie w tym wypadku, gdy mnożenie się nowotworów językowych, najczęściej zupełnie zbytecznych, idzie w parze z zaniedbaniem bogatego słownika, dostatecznie urobionego i oglądanego na podstawie odwiecznej mowy ludu, przez Kochanowskich, Skargę, Sniadeckich i wzorowych pisarzy naszego stulecia, a spaczenie form językowych sprzeciwia się zasadom gramatyki polskiej, wszechsłowiańskiej i porównawczej. Cóżby to było np. gdybyśmy przyznali prawo obywatelstwa w języku takim formom jak *mogie, rozumie, trzymajom, kobietów* i wielu innym tego gatunku, na téj zasadzie, że tysiące, a może nawet krocie ludu tak mówią? Nie tak dawno jeden ze zbyt może wolnomyślnych pracowników na polu lingwistyki ubocznie stanął nawet w obronie pewnej części podobnych solecyzmów, wyrokując pobłażliwie, że nie jest jeszcze rzeczą ustaloną, które rzeczowniki mają mieć w przy. 2 liczby mnogie zakończenie *ów*, a które *i* lub *y* i że z tego powodu należy tu *pozostawić swobodę*. A więc może wolno mówić: rodzina *Wysz* zam. *Wyszów*, skoro np. mówi się *towarzyszy* zam. *towarzyszów* („przysłowiem było *hojów towarzyszy*“ u Niemcewicza), aczkolwiek i tu taka forma przyczynia się do możliwego pomięszania rzeczownika z czasownikiem *towarzyszyć*? Albo ktoby, korzystając z owęj łaskawej indulgencji, chciał pisać *Pacy, owocy, talerzów, pacierzów*, za-

miast form utartych: *Paców, owoców, talerzy, pacierzy?* My nie radziłyśmy posuwać tak daleko wyrozumiałej pobłażliwości i skoro zwyczaj tu niezawsze wystarcza, opieramy się przeważnie na dobrych wzorach. Nie są rozwojem ani zbogaceniem mowy jej wzrost i pomnażanie się nad miarę i potrzebę, wbrew logice i wymaganiom dobrego smaku, wreszcie niezgodnie z najlepszymi wzorami, a ze źródeł i wskutek napływów rozmaitych, zbyt licznych a częstokroć wątpliwiej użyteczności.

Solecymy warszawskie, które poniżej będą wymienione, są bardzo świeżej daty: dawni mieszkańcy Warszawy przyznają mi bez trudności, że dopiero od lat kilku, kilkunastu, najwyżej dwudziestu, zaczęły wciskać się do słowa drukowanego i mowy klas wykształconych nieznane dawniej wyrażenia i zwroty, które przedtém pozostawały w ukryciu, wśród żywiołów najbardziej demokratycznych. Niedawno jedno z pism skarżyło się słusznie, że w Warszawie wszędzie coraz to bardziej rozpiera się „motłoch“, zasługujący na tę nazwę nie z pochodzenia, ani z powodu ubóstwa, ale z dzikiego zachowania się i gwałtownych obyczajów. Czyżby wciskanie się gwary owego motłochu do języka wykształconego było objawem odpowiednim powyższemu, a jeżeli tak jest, to czy nie należy wypierać z dziedziny mowy tego żywiołu niesfornego i nieestetycznego? Wprawdzie w wieku naszym panują prądy demokratyczne, ale chętnie przyznajemy się do miana arystokratów w tém znaczeniu, że wolimy piękne niż brzydkie, przekładamy to co jest zdrowe, nad wrzody chorobliwe i lubimy to, co jest czyste oraz szlachetne, nie zaś to, co brudne i niskie. Od tych zasad arystokratycznych ustępstwo ani odstępstwo na korzyść demokracji niemożliwe: niech raczej warstwy demokratyczne, pod wpływem postępu i oświaty, przejmą się powoli tym arystokratyzmem, gdyż jest to jedyna droga do usunięcia w przyszłości różnic pomiędzy arystokracją i demokracją. Zwracając w dziedzinę mowy, muszę dodać, dla uniknięcia zarzutu zbytniej surowości, że niewykształconą gwarę warszawską można tolerować, ale do czasu i we właściwych jej granicach. Ma lud w różnych okolicach kraju swoje gwary, niech więc ma ją także lud warszawski, oczywiście do czasu, gdy wyższe wykształcenie oczyści i uszlachetni tę mowę, co i zdarza się codziennie z pojedynczemi osobnikami warstw demokratycznych, które wskutek czytania oraz ocierania się o ludzi, mówiących po polsku poprawnie, szybko pozbywają się niepoprawnego swego języka. Już z tego względu, jak pilnie dbać należy, aby gazety i książki używały mowy czystej i wzorowej, aby warstwy wykształcniejsze mówiły językiem ojczystym bez zarzutu! Tymczasem zaś, powtarzam, niepodobna o tyle hołdować prądom demokratycznym, aby niepoprawną mowę ludową przekładać nad wykształconą wiekami mowę literacką, albo nie bronić tej ostatniej od zanieczyszczenia przez pierwszą, jak niepodobna przekładać odzieży poplamionej, łataniej, nieumiejętnie skrojonej, licho uszytej i źle przypadają-

cěj nad strój czysty, cały, dostatni, dobrze zrobiony, a nawet wytworny.

Przystępując teraz do solecyzmów w pojedynczych wyrażeniach i zwrotach, wytknę te z nich, które są najpospolitsze i najbardziej rażące.

Któż nie wie np., że u nas w Warszawie wszystko *szykuje się* i *przyszykowuje*?

W polszczyźnie dawniej był *szyk* bojowy, *szykowano* zbrojne hufce i zastępy, słyszeliśmy także o *szyku* i *szykowaniu* wyrazów w gramatyce. Gdy tamto już przeminęło, możemy dziś jeszcze *szykować* pionki na szachownicy, ba nawet butelki lub kieliszki na bufecie, albo stole biesiadnym. *Szyk* oznacza więc pewny porządek, ustawienie wielu przedmiotów w rzędy czyli szeregi, podług pewnych zasad lub prawideł, a czasownik *szykować* oznacza tę czynność porządkowania i ustawiania. Zdawałoby się więc, że niepodobna *szykować* czyli *ustawiać* w szeregi jednego, pojedynczego przedmiotu, a jednak słyszymy i czytamy często, jak nauczyciel każe uczniowi *szykować* książkę lub pióro, że lokaj lub krawiec *szykuje* ci palto, że szklanka herbaty dla ciebie już *przyszykowana*, słyszysz nawet, że twój przyjaciel *szykuje się* na bal. Co do wyrazu *przyszykować* ten, jak mniemam, zgoła istnieć nie może, a gdyby istniał, to biorąc rzecz logicznie, znaczyłby jedynie *dodać* coś do pewnego szeregu lub *szyku*, *dołączyć*, *przystawić* i t. p. zamiast zaś niewłaściwego używania czasownika *szykować*, nie widzę, dla czego nie mielibyśmy używać powszechnie uświęconych a licznych słów innych jak *przyrzędzić*, *przygotować*, *przysposobić* i t. d. Ten solecyzm wciska się już i do druku i jest w Warszawie powszechnym. W ustnej tylko mowie służby zakładów publicznych rozpiera się inny dziwoląg — *stałować* zam. *obstałować*, a lepiej po polsku *zamówić*. *Obstałować* jest zmienione niemieckie *bestellen*, ale coby mogło znaczyć *stałować* — trudno zrozumieć, chyba w metalurgii, gdy mowa o powlekanii żelaza *stałą*. Oto znowu czytam skargę jakiegoś obywatela, że *nałazią go żebracy*. Rozumiałbym, gdyby powiedział, że żebracy *do niego* *nałazią*, ale trudno mi zgodzić się, aby czasownik *nałazić* mógł być używany, jako przechodni z przyp. 4-m podobnie jak nie można używać tak samo (z pytaniem kogo?) co? prostego czasownika *łazić*: są to bowiem słowa nieprzechodnie, nijakie. Czytam w jednej z gazet, że jakiś minister „*przeptacił* swą notę utratą popularności“, a w jednej z powieści ktoś się odzywa: „*przewidziało się* pani!“ Widzę tu dążność do niewłaściwej zamiany przyimka *przy* innym przyimkiem *prze*, podobnie brzmiącym, ale wcale innego znaczenia, gdyż w obu przykładach powyższych powinno być powiedziane: *przyptacił* i *przewidziało się*. Wiadomo bowiem, że *przeptacić* znaczy zupełnie co innego, a mianowicie *zapłacić za wiele, za drogo*, zgodnie ze znaczeniem przyimka *prze* czyli *przez*, który w złożeniu = *nad, powyżej*, jak np. w *przezaczny; przewidzieć* zaś znaczy *przejrzeć przyszłość* (to co *przed* nami, zam.

przewidzieć). Co innego w czasownikach złożonych *przyplacić i przywidzieć się*: tu przyimek *przy* oznacza *dodatek*, dołączenie. Tak więc *przyplacić życiem* znaczy właściwie dodać do czegoś, do jakiegoś postępkę, swoje życie, jako jego cenę lub zapłatę, a *przywidzieć się* znaczy ukazać się, jako dodatek (nieprawdziwy, urojony, jako *przywidzenie*) do rzeczy, widzianych istotnie. Słyszę też ciągle i czytam niekiedy, że ktoś *wykosztował się* bardzo zam. *poniósł kosztą, wydatki* i t. p. Zdaje mi się, że nie mamy wcale słowa zwrotnego *kosztować się*, a więc i złożone *wykosztować się* nie może być uznane.

W szpaltach wszystkich prawie czasopism, że nie mówię już o powszechnem używaniu w mowie ustnej, choćby nawet i w szkołach, kwitną po dawnemu, w najlepsze czasowniki: *znosić się i znieść się, zgłosić się i zauważyć*. Jednakże, czytając taki np. frazes „pana X., który *zauważył* pewne błędy we wczorajszym naszym artykule, prosimy aby raczył *znieść się* z naszą redakcją albo *zgłosić się* do niej osobiście“ nie mogę opędzić się myśli, że to całkiem nie po polsku i że tego frazesu nie zrozumieliby, bez pomocy tłumacza, nie tylko Kochanowski lub Skarga, ale nawet Krasicki, Trembecki i Mickiewicz. Po polsku to chyba tak brzmiałoby: „pana X., który *dostrzegł* i t. d. prosimy aby raczył *porozumieć się* i t. d. albo *przybyć (stawić się osobiście)*“. O wyrazach *znosić się* i *znoszenie się*, które w polszczyźnie, nawet dawniej, istnieją, ale znaczą co innego (*łączyć się, zlewać się* u Górnickiego), mówiłem już dawniej obszernie; wyrazy *zgłosić się* i *zgłoszenie się*, jako obce dobrym pisarzom i słownikom, uważam za nie mające prawa bytu; czasownik zaś *zauważyć* jest to nowotwór zupełnie zbyteczny, wobec dostatecznej ilości jednoznacznych: *dojrzeć, dostrzedz, spostrzedz, zwrócić uwagę* i t. d. Dodam jeszcze, że owo *zgłaszanie się* pozyskało tak wielkie względy u dziennikarzy naszych, iż przerodziło się nawet w formy przechodnie czynne: *zgłaszać i zgłaszanie*. Tak znajduję w jednej z gazet błąd zaprawdę osobliwszy i ciekawy, chociaż jeszcze, dzięki Bogu, rzadki: czytam mianowicie, że „jako nieodszukanych pomiędzy ofiarami katastrofy wiedeńskiej *zgłoszono* dotąd 986-u (ma być: *podano do wiadomości, ogłoszono, wykazano* i t. p.) Co do nowotworu *zauważyć*, bywa on, oprócz zamiast *dostrzedz*, używany jeszcze w znaczeniu *wrócić uwagę* albo poprostu *odezwać się* jak np. „późno wrócimy do domu, *zauważył* Paweł“. Tak używają francuzi czasownika *observer*, a niemcy swego *bemerken*, po polsku to jednak nowość niepotrzebna, wprowadzona zapewne przez tłumaczy romansów francuskich i niemieckich. jeżeli nie z jęz. rosyjskiego, gdzie *zamietil* używa się również w tém znaczeniu. Powszechne w mowie i w druku *kiedyindziej* uważam za niepotrzebny nowotwór, z powodu, że słówko *indziej* (np. w *gdzieindziej*) oznacza jedynie *miejsce*, nie zaś *czas*; nie wiem tedy, dla czego mamy gardzić dotychczasowymi wyrażeniami: *później, kiedykolwiek, kiedybądź, innego czasu, w innym czasie* i t. d. *Każden* zamiast *każdy* w mowie powszechniejsze jest niż

w druku, znaleźliśmy jednak ten błąd w jednym z czasopism poważniejszych.

W artykułach niektórych literatów i powieściopisarzy, uważających się *par excellence* za postępowych, czytam często, że temu lub owemu „robi się *nieswojo*“. Zaprawdę *robi mi się przykro* czyli raczej *uczuiam pewną kłiwłość* na widok takiego dziwoląga, który podobno ma wyrażać właśnie owo nieprzyjemne uczucie. Co bo to zacz? Przysłówek uformowany od zaimka dzierżawczego? Rzecz niesłychana w żadnym języku, nawet „kolebkowym“ według wyrażenia jednego z lingwistów najświeższej daty. Wszak jeśli może mi *robić się nieswojo*, to mogłoby chyba także robić się *swojo*, *mojo* lub *twojo*? W szkole również wyrażenie to nie jest rzadkością.

Nikt już prawie „w grodzie syrenim“ nie mówi inaczej jak *stąpnać*, *udepnąć* i *nadepnąć* zam. *stąpić*, *udeptać* i *nadepnąć*—błędnie, gdyż niepodobna wytłómaczyć zkądby się tu *n* wziąć mogło, bo nie należy ani do źródłosłowu, ani żadnym przyrostkiem urabiania lub końcówką być nie może. Nowotwory te, wynikłe z dążenia do nowych form dokonanych, zupełnie zbytecznych obok przytoczonych, ukształtowały się widocznie na wzór czasowników *palnąć*, *tknąć* i t. d. ale tu zupełnie co innego, gdyż *n* należy do źródłosłowu (*palnę*, *palnąłem*, *tknę*, *tknąłem* porówn. z *stąpnę*, *stąpnię*, *depnę*, *udepnę*, *udepnę* i t. d. gdzie *n* ani śladu). Błędne owe formy można już znaleźć i w prasie, zwłaszcza codzienną. Nowotworem zbytecznym jest także słowo *wartało*, które znajduję w jednej z gazet zam. *było warto*.

Słyszymy codziennie, że ten lub ów *załapał się*, a i w gazetach czytamy np., że ten lub ów rzezimieszek, oszust lub szuler długo broił bezkarnie, aż nakoniec *załapał się*. Opowiadając zaś o tem, nikt prawie nie użyje innego wyrażenia jak np. *dał się schwytać* lub *ująć*, *wpadł w pułapkę*, w *zasadzkę* i t. p. Zdaje mi się jednak, że wyraz *załapać się* w jęz. polskim nie istnieje, jak niema też czasown. *załapać*; jest tylko *łapać*=chwycić (dziś trywialne, za często może w mowie wykształconej ustnej i drukowanej używane), właści. rękami (łapami) objąć; jest *złapać*, ale nie ma *załapać z się* lub bez niego. Mówią też wszyscy i piszą niektórzy *polapać się* w znaczeniu *obejrzeć się*, *opatrzyć się*.

Oddawna już, niestety dotychczas daremnie, usiłuję wykazać, że *biedny* (nieszczęśliwy) i *ubogi* (nędzarz) to wcale niejedno—że można wprawdzie być jednocześnie *ubogim* i *biednym*, ale są także ludzie *ubodzy*, którzy są względnie *szczęśliwi*, a więc *biednymi* nazwać ich nie można, jak z drugiej strony są *bogacze* bardzo *biedni*. Nie ma już co dłużej pisać o tej rozpaczonej szał kwesty: my wciąż wolimy pisać i mówić *biedny* zam. *ubogi*, naśladowując uporzyciwe języki od naszego *uboższe* (ale bynajmniej nie *biedniejsze!*), gdzie wyróżnienie podobne nie istnieje. Wolę tu więc jeszcze powiedzieć słówko o wzniosłym napisie, zdobiącym front gmachu Tow. Dobroczynności w Warszawie. „Res sacra miser“ znaczy „biedny jest

czémś świętém“, właśnie biedny, czyli każdy nieszczęśliwy, nie zaś tylko *ubogi*, gdyż język łaciński posiada także wyróżnienia, co i polski i gdyby w owym napisie tylko o nędzarzach czyli o ubogich była mowa. powinniśmy być *pauper* (=ubogi) zamiast *miser* (biedny, nieszczęśliwy).

Naciągać i dzielić—wyrażenia to bardzo używane między dźwięcą, a nawet czytam w jednej z gazet, że X. *naciągnął* pana N. na *tysiąc rubli* i, że pan A., zazdrosny o swą żonę czy córkę, porządnie *zdziałil* kijem jakiegoś adonisa. Obydwa wyrażenia wydają mi się niesmacznymi, a pochodzą niewątpliwie z gwary sfer ultra-demokratycznych, zajmujących się specjalnie i z zamięłowaniem będącymi w mowie czynnościami. Wpływy to tego „motłochu“, o którym wspominałem powyżej—tego samego, który swoje oddziaływanie na dziedzinę mowy stwierdził także wytworzeniem rozmaitych nazw odrębnych dla różnych gałęzi fachu złodziejskiego, jak *koniokrady* i t. p. Zdaje się, że wystarczyłoby powiedzieć: *oszukał* na tysiąc rubli, a co się tyczy bardzo upowszechniającej się operacji, przy pomocy kija dokonywanej, dosyć dosadnym, jak mi nie mam byłoby wyrażenie *ściągnął* lub *wygrzmocił* kijem.

Z gwary tych samych bardzo wątpliwych sfer pochodzą również wyrazy: *kpiarz* (żartowniś, błazen, trefniś, szyderca), *wykpwać* (wyśmiewać, drwić, szydzić), *dziadówka* (baba, żebraczka), *zderzyć się* i *zderzenie* (np. „zderzenie komety z ziemią“ w jednej z gazet) zam. *spotkać się*, *zetrzeć się*, *spotkanie*, *starcie*; dalej powszechne w mowie i w druku częste *nieomal* zamiast *niemal* (nie wiem zkądby się tu o wziąć mogło, gdyż *niemal* powstało z *nie-mało*, w znaczeniu *blisko*, *prawie*) i wiele innych. (1).

Ciekawym objawem niewłaściwej zamiany *ł* na *l* i odwrotnej—*l* na *ł*, są powszechnie używane w mowie ustnej warszawskiej formy *pomału* zam. *pomału* i *stałe* zam. *stałe*, jako przysłówek; ten ostatni błąd powstał zapewne z niewłaściwego opuszczenia przyimka *na*, który koniecznie potrzebny jest w wyrażeniu przysłówkowym *na stałe*, podobnie jak owo pospolite, a błędne wyrażenie przysłówkowe *wieczór* (np. dziś *wieczór*) zawdzięcza swój początek opuszczeniu przyimka *w* (dziś *w wieczór*).

Nieprzebranęj ilości nowotworów i solecyzmów gminnych dostarcza dyalekt humorystyczny, którego panowanie wobec znaną wesołości ludu nadwiślańskiego i jego pogoni za śmiechem i dowcipkami, wykraczając poza sferę pism specjalnych, gwoli śmiechowi istniejących, rozpościera się już nawet w mowie potocznej i w języku

(1) Ostatniemi czasy jeden z Kuryerków wprowadził zwyczaj umieszczania całych artykułów w gwarze owych „andrusów“ ulicznych (czytaliśmy takie sprawozdanie z wyścigów). Czy ma to być koncept bardzo dowcipny, czy objaw ultra-demokratyczny—nie wiemy, ale wątpimy, żeby obudził co innego oprócz niesmaku.

literackim czasopism poważnych. Oto np. *cyferblat* w znaczeniu *twarzy*; *iksisko* (zapewne od X.—*ktos*, osoba niewiadoma); *kawał* w znaczeniu *psoty*, *figla* i *brać na kawał* (ulubione i powszechne wyrażenie warszawskie) zam. *oszukiwać*, niekiedy zaś *drwić*, *wyśmiewać*; dalej *dżęg* zam. *brzęk*; *chodzić bosika* (*boso*, w mowie ludowej *na bosaka*); *rozładaczyć się* i *rozłajdaczyć się* (*zepsuć się*, *rozpuścić się*, *oddać się rozpucie*, *puścić się na rozpustę*); *podjudzać* zam. *podburzać*; *sprawić wały* zam. *obić*; *łapciuch* w znac. *oszarpaniec*, *żebrak*; *ululać się* i *ululany* zam. *upić się* i *pijany*, *łobuzować się* i *lampartować się* w znaczeniu *psocić*, *dokazywać*, *trzpiotać się*, *wylać się na rozpustę*; *gapa* zam. *gap* i wiele innych. Wszystkie te niesmaczne i trywialne wytwory gwary brukowej warszawskiej przyjęły do swęj mowy dzieci i niedorostki szkolne.

Cechę zbyt zoologiczną, przypominającą zanadto dosadnie o naszém pokrewieństwie ze zwierzętami gruboskórnymi, posiada wyrażenie *zryć się* w znaczeniu *upić się*—już to pijatyka i pijaństwo wytworzyły w czasach obecnych, śnać nie bez powodu, mnóstwo synonimów...

Na zakończenie wspomnę, że znaczna część solecyzmów pochodzi od wyrazów cudzoziemskich, dziwacznie i niewłaściwie przekreconych w gwarze warszawskiej. Tak np. niejeden mówi i pisze *segara* zam. *cygara* (trafia się to i na niektórych szyldach), obok i na wzór *łaciny* trafia się jakaś *greka* (zam. jęz. grecki), pochodząca pono z poznańskiego ¹⁾, a nikt bodaj w Warszawie nie mówi inaczej jak *kwandrans* i *zaambonować* (pierwsze i w druku pospolite), chociaż niewiadomo co tu robią *n* i *m*, zkąd ten dziwny pociąg do dźwięków nosowych, gdyż ani *łacińś. quadrans* ani franc. *abonner* takowych nie mają. Mamy też garstkę hybrydów—mułów językowych, które wytwarzamy, krzyżując pierwiastki polskie z zakończeniami i osobliwszy zaprawdę wytwór—*pielegnacya* (!). Powszechnie używana forma *chrześciancezm* należy, jak mniemam, do tęg samej kategorii błędów, gdyż pierwsza połowa wyrazu została spolszczoną, a końcówka pozostała obcą: niech będzie już raczėj *chrześciancestwo* w formie całkiem spolszczonej albo *chrystyancizm*—w formie pierwotnej, obcej. Odwrotnie, zakończenia swojskie dodane są do pierwiastków obcych w trywialno-dowcipkowych wyrazach *biba* i *bibosz* (znowu synonimy pijatyki i pijaństwa!)

¹⁾ Wyrażenie, w niektórych szkołach przez uczniów, a nawet przez nauczycieli używane powszechnie: „tłómaczyć z łacińskiego na polskie, z polskiego na niemieckie i t. p. jest błędnym germanizmem (ins Deutsche) również z poznańskiego do nas przemycanym. Po niemiecku bowiem *das Deutsche* może znaczyć już język niemiecki, ale co to jest *polskie*? Można mówić tylko o tłumaczeniu na polski (domyśl język).

Tu zaznaczę jeszcze, że w mowie ustnej warszawskiej i co dziwniejsza, w druku, częstokroć *stryja* nazywają *wujem*, a *synowca* — *siostrzeńcem*. W prasie może to być skutkiem wpływów języków francuzkiego, niemieckiego i rosyjskiego, które nie wyrażają powyższych różnic, dla braku odpowiednich osobnych wyrazów (*oncle, onkel, diadia* — stryj i wuj, *neveu, Neffe, plemiannik* — synowiec i siostrzeniec); bądź co bądź, jest faktem, że np. w tłumaczonych powieściach znajdujemy ciągle to pomieszanie, a nawet w artykułach poważniejszych zdarzało się nam czytać, jakoby Zygmunt III był siostrzeńcem Karola Sudermańskiego, a w odcinku jednej z gazet, stale i uporczywie, po razy kilkadziesiąt, Napoleon III był nazywany *siostrzeńcem* Napoleona I ¹⁾. Nakoniec, chociaż nie wiem, czy ta uwaga będzie tu całkiem na miejscu, ale trudno byłoby mi przypiąć ją gdzieindziej, wspomnę że większość dziennikarzy warszawskich zapomniała o tém, że imię, po niemiecku brzmiące *Georg* po polsku tłumaczy się *Jerzy*, nie zaś *Grzegorz*: prawią nam bowiem ciągle o *Grzegorzach*, królach angielskich, o księciu *Grzegorz* saskim i t. d. chociaż takich książąt, jako żywo, nie było i niema.

II.

Solecyzmy gramatyczne w odmianach wyrazów, czyli wpływy gwary warszawskiej na sam mechanizm wewnętrzny języka nie są zbyt liczne, ale ważne, ciekawe i charakterystyczne. Więcej nierównie napotykamy takich wykroczeń w mowie ustnej, potocznej, niż w druku, ale niektóre z błędów ważniejszych wciskają się już i do prasy peryodycznej.

Tak oto każdemu zdarzało się słyszeć dziwne jakieś, nieprawidłowe i z gramatyką sprzeczne, a dawniej niesłychane, ucięte formy trybu rozkazującego jak *ciąg. kop* i t. d. zam. *ciągnij, kopaj* i t. d. Te dwa błędy znalazłem już i w druku, a zaszczepiają je dzieciom przeważnie piastunki. Słysząc też często fałszywą formę złożoną czasu przyszłego dokonanego: *będę się stawit* (zam. *stawię się*) znajduję nawet u jednego z cenniejszych powieściopisarzy. Nadto gramatyka i wzory dotychczasowe nas uczą, że jeżeli w czasie przyszłym

¹⁾ Czytaliśmy niedawno w gazetach o śmierci księcia Fryderyka Karola Pruskiego, którego nazywano zwykle *siostrzeńcem* cesarza Wilhelma, nieraz jednak wspominając, że był synem brata cesarskiego. Dziennikarze nie zastanowili się, że syn brata mógłby być *siostrzeńcem* chyba wtedy, gdyby ten brat żonaty był z własną siostrą. Ale wiadomo, że u nas pisze się dużo bez zastanowienia, dla braku... jak powiadają *czasu*...

niedokonanym używamy, zamiast imiesłowu, trybu bezokolicznego, to ten musi stać koniecznie *przed* słowem posiłkowym—że zatem należy mówić i pisać np. *będę czynił* albo *czynić będę*, nigdy zaś *będę czynić*; tymczasem u nas w Warszawie wszyscy mówią i piszą: *będę czynić*, *będę sądzić* i t. d. a to zapomnienie jest może po części rusycyzmem. Pospolitemi są także błędne formy *wziąć* zam. *wziąc* (*s* tu zgola niemożliwe gdyż *wziąć* powstało z *węz—jąc—co* innego np. w *trząść*, gdzie *s* należy do źródłosłowu albo w *kraść*, gdzie jest zamianą z *d* zam. *kradć*) i *weszedł* zam. *wszedł*, gdzie *e* zbyteczne, gdyż przyimek *w* przybiera tę samogłoskę jedynie przed *w* z następną spółgłoską (np. *wewnątrz*, *we wrogach*, *we wtorek*). Mówią też i piszą niektórzy *słońce wzeszło* zam. *weszło*, wtrącając tu *z* bez żadnej potrzeby.

Napoważniejszym jednak solocyzmem w konjugacyji jest używanie nowo urobionych, nieprawidłowych, a całkiem zbytecznych form czasu teraźniejszego dokonanego. Toć słyszymy codzień, że krawiec *wykończa* robotę, że urzędnik *spóźnia się* (albo co gorzej, *spaźnia się*) do biura, że ogień już *zagasa* i t. d. W druku błąd ten staje się również coraz powszechniejszym; oto czytam w jednej książce, że wojewoda *zagasa*, a w czasopismach znajduję takie wyrażenia: *zakończając* wspaniałe to dzieło; dłużnik regularnie *upłaca* procenta; młodzieniec z boleści *utraca* zmysły; słowa w zetknięciu z ogniem *spala się*; na grobie twoim *ukłęką*—to ostatnie w jednym z utworów poetycznych, chyba jako zbyt swobodna licencya poetycka. Są tam także *zatraca*, *ugaszcza*, *podraża* i t. p. Błąd ten wytykałem już dawniej, ale pobieżnie; teraz więc, z powodu że krzewi się coraz bujniej, a wnosi ważne skażenie do języka, uważam za stosowne zastanowić się wszechstronnie nad tém kalectwem. Wszystkie czasowniki, od których przytoczyłem powyżej błędne formy czasu teraźniejszego, a mianowicie: *wykończyć*, *spóźnić się*, *zagasnąć*, *zakończyć*, *zapłacić*, *zatracić*, *podrożyć* i t. p. uważane były dotychczas za *dokonane*, odpowiednie zaś niedokonane są: *kończyć*, *późnić się*, *gasnąć*, *placić*, *tracić*, *drożyć* (chleb *drożeje*) i t. d. Otóż czas teraźniejszy znajdujemy u dawnych i nowszych pisarzy wzorowych tylko od tych ostatnich, słów niedokonanych, nie ma zaś nigdzie i nikt nie znajdzie aż do r. 1860 czasu teraźniejszego od pierwszego szeregu słów dokonanych. Dziś jednak widocznie działa jakiś prąd, pobudzający do wytwarzania owych czasów teraźniejszych dokonanych. Czy ten prąd jest wynikiem potrzeby—wątpię; zdaje się raczej, że jest to wynik zбочenia logicznego, zapomnienia prawideł języka i zaniedbania form odpowiednich już istniejących, gotowych, jak to zaraz wykażę. Potrzeba bowiem wiedzieć, że zwykła formułka gramatyczna, zabraniająca używania czasu teraźniejszego od słów dokonanych, które rzekomo logicznie tego czasu mieć nie mogą—że sama ta formułka jest błędną, a raczej nieścislą. Czas bowiem *teraźniejszy dokonany* istnieć może i istnieje, nietylko w innych językach pokrewnych (greckie i ła-

cińskie *perfectum*), ale także i w polskim. Może istnieć, gdyż wypada często oznaczyć czynność *dokonaną* nie w przeszłości, mniej lub więcej oddalonej, lecz *obecnie, w tej chwili, dopiero tylko co, przed chwilą*. Tak gdy mówię: *straciłem, skończyłem, spóźniłem się, wziąłem, przerwałem, powiedziałem* i t. d. mowa tu o czemś. *dokonanem* w przeszłości, mówiąc: *tracę, kończę, późnię się, biorę* i t. d. oznaczam czynność *niedokonaną, trwającą w teraźniejszości*, ale jak tu wyrazić czynność w *teraźniejszości, dopiero co, tylko co dokonaną*? Oto nieinaczej, jak mówiąc: *utracę, skończę, lub wykończę, spóźnię się, wezmę, przerwę, powiem* i t. d. nie zaś używając zbytecznych nowotworów jak *utracam, wykończam* i t. d. Owe bowiem formy: *utracę, skończę* i t. d., uchodzące dziś w gramatykach za formy czasu *przyszłego*, są *pierwotnie i właściwie* formami czasu *teraźniejszego dokonanego*. Ze tak jest istotnie, a nieinaczej, świadczy o tem już sam kształt niezłożony tego czasu, gdyż zresztą w języku polskim, podobnie jak w innych słowiańskich, czas przyszły (niedokonany) bywa zawsze złożony. Powtóre świadczą o tem gramatyka porównawcza i polska (ob. np. gruntowne, uwieńczone przez Akademią dzieło A. Kaliny *Historya jęz. pols. tom I str. 399 — 427*); nakoniec dzieła pisarzy wzorowych dawniejszych i nowszych, a nawet przechowywanych tu i owdzie zwyczaj powszechny. Któż nie wie np. że w wielu dziełach czytamy: tak mu *odpowie*; róża kole, *rzeknie* matka; do mnie! *zawoła* rycerz; w tem *krzyknie*: do broni! i t. p. Wszystko to chyba nie czasy przyszłe, gdyż zostały użyte w opowiadaniu o rzeczach minionych; zresztą niesłychaną byłoby rzeczą, aby czas *przyszły* mógł być używanym zamiast *przeszłego*; dla tego zaś tylko można tak powiedzieć że *odpowie, rzeknie, zawoła, krzyknie* i t. d. są to właściwie *czasy teraźniejsze dokonane*, a czas *teraźniejszy* jak wiadomo, może we wszystkich językach, w żywym i barwnym opowiadaniu, zastępować miejsce czasu przeszłego, a raczej, jak tutaj, zaginionego w języku polskim czasu nieoznaczonego (aorystu). Oto np. ustęp z „*Wojny Domowej*“ Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, poety XVII wieku:

. niejaki Skrzetuski
drogi się tej *podejmie* i od wodzów listy
owe *weźmie*. Toż w nocy przezroczyściej
w staw najpierwej przyległy śmiało się *ochynie*
i z tymi gdy szczęśliwie (dziwna rzecz) *przepłynie*
najmniej nie zmoczonymi, po trawie czołgając
i szczerzo prawdziwego Rusina *klamając*,
dobierze się Załoziec i t. d.

Wszędzie tu podkreślone formy użyte są zamiast czasu przeszłego dla tego, że są to właściwie formy czasu *teraźniejszego doko-*

nanego. A i w wielu także prawidłowych wyrażeniach, przechowało się, jak wspomniałem, takie używanie np. *każę* (zarówno czas teraż. jak przyszły) zawsze *powiesz* mi coś przykrego, zawsze *odpowiesz* niegrzecznie i t. d. Ostatecznie więc *potrzeba* używania czasu terażniejszego dokonanego jest istotną, naturalną, uzasadnioną logicznie (wbrew powierzchownym formułkom niektórych gramatyk) i historycznie; tylko że ta potrzeba, połączona z zapomnieniem o właściwych torach, po których od wieków mowa polska kroczy, zбочyła z tych torów na manowce, wytwarzając nieznane dawniej i zbyteczne dziwolągi językowe, zamiast tego żeby korzystać z istniejących i uświęconych form czasu terażniejszego dokonanego, a temi są właśnie formy, nazywane dziś w gramatykach wyłącznie czasem przyszłym dokonanym. Nie ma więc potrzeby gwałcić języka, mówiąc: *wykończam* robotę, *krawiec wykończy*, *uczeń się spóźni*, *ogień zagasa*, *słoma się spala*, i t. d. gdyż daleko lepiej i właściwiej powiedzieć, dla oznaczenia czasu terażniejszego dokonanego: *wykończę* robotę (oto już *skończę*), *uczeń spóźni się*, *ogień zgaśnie*, *słoma spali się* i t. d. Wszystko to właśnie ozpacza nagłe i prędkie dokonanie czynności w czasie terażniejszym.

Zywy prąd, w języku pulsujący, a dążący ku zmianom i wyrodzeniu — niekiedy trudno jeszcze określić czy ma to być rozwój zdrowy czy skażenie chorobliwe — bardzo wybitnie znać się daje w działach deklinacji, gdzie już idący z Warszawy zwyczaj uczynił znaczne szczyrby w dotychczasowych zasadach. Tak np. chwiejność zakończeń *a* i *u* w przyp. 2 l. pojed. rzeczowników męzkich coraz to bardziej wzrasta, z pewną widoczną skłonnością do zakończenia *u*, gdyż mamy już w druku *wietrzyku*, *papierku* i *zegaru*.

Podobnież wielka, zbyt może wielka panuje swoboda w używaniu zakończenia 1 przyp. 1. mn. rzeczowników męzkich *i* (*y*) zam. *owie*: czytamy oto bowiem *Hunni*, *Longobardzi*, *ortodoksi*, *gwardyani*, *dyrektorzy*, *profesorzy*, *inspektorzy*, *filolodzy*, *geolodzy*, *ideolodzy*, *mece-nasi*, a nawet *wrodzy* — w tych wszystkich rzeczownikach panowała dawniej wyłącznie forma zakończona na *owie*. Trwa także, po starym, nadużywanie w 1 przyp. 1. mn. zakończenia *a*, właściwego wyrazom z łaciny wziętym, a stosowanego niewłaściwie nie tylko do wielu wyrazów obcych, wziętych z języków nowożytnych, ale nawet do czysto polskich, jak *przedmiota*, *okręta*, *urzęda*. Stanowczo błędne są używane powszechnie formy *barbarzyńca*, *invalida*, *erudyta* (przyp. 1-szy), na wzór takich jak *poeta*, *asceta* i t. d. gdyż tym ostatnim właściwie służy zakończenie łacińskie *ta*, odpowiadające greckiemu pierwotnemu *tes*, pierwsze zaś nie są greckie, ale czysto łacińskie lub spolszczone, a i w łacinie bynajmniej, nie kończą się na *a*.

Pomijając tym razem nieszczesną, sporną dotychczas kwestyą zakończeń *em*, *ym*, *emi*, *ymi*, której pokrótce roztrząsać niepodobna; wspomnę tu natomiast o inném spaczeniu deklinacji, na które, jak mniemam, nikt dotychczas uwagi nie zwrócił. Oto w przyp. 3 l. mn.

mowa potoczna warszawska używa częstokroć zakończenia *em* (zam. *im, ym*): słyhać więc często, zwłaszcza w sferach demokratycznych, takie formy jak *dobrem* ludziom, *pocziwem* dzieciom i t. d. Przechodzi to już do druku, gdyż w niektórych czasopismach, a nawet w tłumaczeniach dzieł poważnych, znajduję takie oto przykłady: wbrew prawom *boskiem* i *ludzkim*; przeczy *powyższem* przypuszczeniom, *pełnem* niedorzeczności i oddajmy hołd *cnotliwem* kobietom i t. d. a nawet w niektórych pismach napotykamy *jem* i *tem*, jako przyp. 3 l. mn. od zaimków *on* i *ten*.

Po staremu też mówią i piszą niektórzy *Rosyan* zamiast *Rosyanin* i odwrotnie, w przyp. 2 l. mn. — *Hiszpan* i *Amerykan* zam. *Hiszpanów* i *Amerykanów*. Oddawna też, a zawsze bezskutecznie walczę przeciwko używanym powszechnie wyrażeniom: *w prawém* ręku, *w jedném* ręku, *w swoim*, *we własném* ręku i t. d. Przypomnę więc tylko raz jeszcze, że rzeczownika rodzaju nijakiego *ręko* (jak np. *oko*) język nasz nie posiada, ale *ręku* jest to dawna liczba podwójna (jak *uszu*) i że przeto należy obok niej używać przymiotników i zaimków w liczbie *wnogięj* (skoro podwójna już zatracona), gdy mowa o obu rękach, a liczby pojedynczej przymiotnika i samego rzeczownika *ręka* — gdy mowa o jednej ręce, a więc: *w jednej ręce*, *w swojej ręce* (jednej) lub *w swoich rękach* (obu), *we własnych rękach* i t. d.

Najdotkliwsze szczyby w dotychczasowej deklinacji polskiej zrządziła gwara warszawska odnośnie do przypadku 4 l. pojed. rzeczowników rodzaju żeńskiego, pochodzenia obcego zakończonych na *ja* (*ya*) i w tymże przypadku przymiotników, również żeńskiego rodzaju. Nikt już dziś bowiem w Warszawie, a i w większej bodaj części kraju nie mówi inaczej jak *historye*, *filozofię*, *Amelieracye*, *Francye* i t. d. a i w druku w wielu książkach i czasopismach napotykamy wyłącznie takie tylko formy, zamiast dawnych i jedynie uprawnionych, zakończonych na *a*. Gramatyka porównawcza i polska uprawnia jedynie formy na *a*, a i w druku, jeszcze przed 30 laty, form na *e* nie znano (czy także i w mowie, zwłaszcza warszawskiej — nie jest mi wiadome); pomimo to wszystko jednak zwyczaj zapanaował w tym punkcie tak stanowczo i wszechwładnie, że nie wiem doprawdy, ażali nam, obrońcom dawniej poprawności i tradycyi najlepszych wzorów, nie wypadnie złożyć broni i pochylić głowy przed potęgą zwyczaju powszechnego, z którym walka, pomimo całej wartości służących za broń dowodów, jest całkiem daremną.

Trochę inaczej jest z przymiotnikami. I tu także bez przesady powiedzieć można, że wszyscy mieszkańcy Warszawy, a może i prowincyi, mówią zawsze: idę na ulicę *Chłodną*, *Królewską*, mam *dobrą* żonę, piję *czarną* kawę i t. d. ale snąć ta nowość jest niewątpliwie skażeniem dość znaczném, skoro dotychczas stale i wytrwale opiera się jęj mowa drukowana, a nawet prasa peryodyczna, gdyż, pomimo bacznego śledzenia, znalazłem tylko dwa przykłady tego błędu w jednej z powieści („*wódkę litewską*“ i „*gospodynię niebardzo mu ra-*

dę“). Częstsze są takie błędy w formach nazwisk żeńskich, które przecież właściwie są także przymiotnikami, jak np. „znałem panią *Dobrzyckę*“ (w jednej z książek szkolnych!) Jak wytłómaczyć tę dążność despotycznego zwyczaju, ten może raczej kaprys — nie wiem.

Czy działa tu popęd ku zamianie jednego brzmienia nosowego drugiem, z wyraźną skłonnością do brzmienia *ę* — popęd w historii języka polskiego i gdzieindziej także znany, wskutek którego może też mówią i piszą dziś *gałęz* i *ciężyć* zamiast *gałąź* i *ciężyć*; czy też jest to poprostu dążność do ujednostajnienia deklinacji przymiotników z przypadkowaniem rzeczowników? W każdym razie takie ujednostajnienie byłoby wielkiem skażeniem mowy, gdyż terazniejsza deklinacja polska przymiotników jest ściągniętą i posiada końcówki zaimków: należy też mówić i pisać w przyp. 4 rodz. żeńsk. *dobrą*, *piękną* i t. d. dla tego właśnie. że tenże przypadek od zaimka osobowego brzmi *ją*.

Dawny błąd w stopniowaniu przymiotników, raczej zaniedbanie prawie zupełne polskich form stopni wyższego i najwyższego, a uciekanie się natomiast do sposobu opisowego, przy pomocy przysłówków *więcej*, *bardziej* — błąd ten rośnie i krzewi się w najlepsze. Wspominałem już o nim nieraz dawniej pomiędzy rusycyzmami, gdyż ztamtąd może pochodzi dziwny ten wpływ ubożący ¹⁾. Tu więc tylko, jako sołeczmy warszawskie, przytoczę najświeższą wiązaną przykładów wyjętych z prasy warszawskiej, a świadczących o istnieniu ostateczności przeciwnéj, którą jest stopniowanie takich przymiotników, które, z powodów logicznych i gramatycznych, już to zgoda nie mogą mieć ani stopnia wyższego ani najwyższego, już to dopuszczają jedynie stopniowanie opisowe za pomocą przysłówków, tak hojnie używane w prasie warszawskiej wszędzie tam, gdzie nie trzeba, a niestosowane tam właśnie, gdzie jest koniecznie potrzebny i jedynie możliwym. Świadczy to, niestety, o tym smutnym fakcie, że niektórzy nasi „pracownicy pióra“ nie uczyli się gramatyki polskiej albo ją źle umieją lub że coraz to im trudniej być w zgodzie z zasadniczymi podstawami logiki. Oto te przykłady: „miłość różniejsza od dawnéj“, „potok *rwistszy*“, „wypadki *najhistoryczniejsze*“, „*zachodniejszych* sąsiadów“, rzecz to *niemożliwsza*“, oczy *czerwonawsze*“, „nie było chłopca *zepsutszego*“, „G. daleko już *ostygłęjszy* i t. d.

¹⁾ Nie wiem doprawdy, czy obecnie w Warszawie jeden na dziesięciu, nawet z inteligencji, mówi: *jaśniejszy*, *wyraźniejszy*, *przyjemniejszy*, *stosowniejszy* i t. d., bo wszyscy prawie mówią, (a i drukują) *bardziej jasny*, *bardziej wyraźny*, *bardziej przyjemny*, *więcej stosowny* i t. p.

III.

Przystępuję teraz do podrzędniejszych solecyzmów warszawskich w używaniu niewłaściwych form, wyrażeń i zwrotów, panujących przeważnie w mowie ustnej stolicy prasy polskiej, ale zakradających się powoli także do języka literackiego.

Błędne formy zaimków rodzaju nijakiego *te* i *owe* zam. *to* i *owo* w mowie warszawskiej panują niemal wyłącznie; w druku też często znajduję *te* okno, *owe* wzgórze i t. p. Tu także działa jakiś prąd niwelacyjny, dążący do ujednostajnienia tych form z odpowiednimi formami przymiotników: *dobre*, *piękne* i t. d. A szkoda owych zakończeń odrębnych i starożytnych, które pochodzą jeszcze z czasów, gdy przymiotniki w rodzaju jakim kończyły się na *o* (*dobr*, *dobra*, *dobro*), skoro jednak wiadome wyrażenie *to i owo* wszyscy tak mówią i piszą, nikt zaś nie mówi natomiast *te i owe*, nie widzę więc powodu mówić *te okno* zam. *to okno*.

Za niepotrzebne uważam też łączenie obu tych zaimków: trafia się to wprawdzie niekiedy w łacinie, a mianowicie u krasomówców, dla większej dobitności i nacisku, ale w naszym języku brzmi dziwnie np. znalezione przez nas w jednej z gazet wyrażenie: „*ci owi* pisarze,— jeden z zaimków jest tu niewątpliwie zbyteczny.

Wyrażenie *nówe*, a dziwaczne *paru*, *paroma* (*paru* lat, przed *paroma* dniami), zwalczane przez nas oddawna i bezskutecznie, krzewi się po dawnemu i można je znaleźć codziennie w każdej niemal gazecie. Dziwny ten nowotwór nie wynika z żadnej potrzeby istotnej, gdyż mamy prawidłowy rzeczownik rodz. żeńsk. *para* (a więc *parę lat*, przed *parą lat* i t. d.), posiadamy też wyrażenie *przed kilku laty* i t. d. Mówiłem już dawniej wyczerpująco o tém kalectwie; tu więc raz jeszcze powtarzam niespełnioną dotychczas swą prośbę, ażeby używający wyrażeń *paru* i *paroma* raczyli mię nauczyć, do której z części mowy należy porachować te dziwolągi? Czyba że już wkrótce będziemy mieli przymiotnik *parę*, *para*, *pare*? Niepodobna zaś, jak miemam, aby to wyrażenie zostało całkiem poza obrębem przyjętego we wszystkich językach podziału wyrazów na części mowy, nie należąc do żadnej z nich lub stanowiąc część mowy jakąś nową, odrębną.

W poprzednim rozdziale mówiłem o dążności zmiany brzmień nosowych i wypieraniu *q* przez *ę*. Mowa ustna warszawska, a nawet (niepodobna temu zaprzeczyć) mowa ludowa wykazuje wybitnie inną jeszcze dążność—do całkowitej zagłady brzmień nosowych, do zatarcia tej cechy odwiecznej i szacownej, którą dziś język polski posiada już tylko sam jeden w rodzinie języków słowiańskich, a nawet (jeśli pominiemy *nieorganiczne* brzmienia nosowe w językach francuskim i portugalskim) — sam jeden z całej rodziny żyjących dotąd języków aryjskich. Komuż to bowiem niewiadomo, że lud

wiejski i mniej wykształcony miejski mówi prawie wyłącznie *moge* (*mogie*), *chce*, *matke*, *książke* i t. d. W druku znalazłem dotychczas *jeden* tylko przykład tego skażenia, zasługujący, jako osobliwość na przytoczenie. Oto czytałem w dodatku powieściowym do jednego z pism: „znakomicie stosujecie prawo odwetu, krzyknął pan Morin, serdecznie wam tego *winszuje*“¹⁾). Oby skończyło się na tym jednym przykładzie: w takim razie gotów jestem nawet uwierzyć zwykłej piosence o zecerach i korektorach, używanęj dla usprawiedliwienia się z błędów, które niekiedy okazują zbyt wyraźnie, że nie mogły być ani zecerskimi, ani korektorskimi. Co do zecerów, źle może wyraziłem się, po staremu, i gotowi jeszcze rozgniewać się o to na mnie zacni ci pracownicy, mianujący się „towarzyszami sztuki drukarskiej“ w czasach, gdy szewc wstydzi się już być szewcem, a krawiec krawcem, lecz pierwszy jest „majstrem obuwia“, a drugi — „właścicielem składu ubiorów“. *A tout seigneur son honneur*, mówią francuzi... Héj, héj! Byli ongi towarzysze chorągwi, towarzysze „pancerneho znaku, czy to od stepu, czy od Budziaku“, a dziś tylko patrzeć, jak żadna tytułów arystokratycznych demokracja zamiast nazw *obraźliwych stróż i żebrak* wymyśli także „towarzyszów sztuki zamiatania“ i „towarzyszów sztuki jałmużniczej“ Dla nas szewc pozostanie zawsze szewcem, a zecer — zecerem (niech zresztą będzie *składaczem*), bo żadna praca ucziwa nie hańbi.

Ale wracam do przerwanego wątku o zatraceniu brzmień nosowych. Oprócz osoby pierwszej czasowników w l. pojed. i przypadku 4 w rzeczownikach żeńskich, tłumienie brzmienia nosowego daje się też słyszeć w 3 osobie l. mn., gdzie gmin niewykształcony używa końcówki *jom* zam. *ą* np. *czytajom*, *majom*, *powiadajom* i t. d. Ten błąd obcy jest prasie: tylko pisma humorystyczne przytaczają niekiedy ten żargon, „szyderstwu gwoli“. Błąd przeciwny; to jest używanie brzmienia nosowego *ę* zamiast zbliżonego bardzo w istocie *em* trafia się np. w powszechnych formach *rozumię*, zam. *rozumiem* i *nie śmię* zam. *nie śmiem*, które można znaleźć także i w druku. Z powodu niemal tożsamości brzmień (gdyż *ę* powstało i gdzieindziej z *em* i *en*), musimy być pobłażliwi dla tego zboczenia i nie możemy ciskać na nie kamieniem; zaznaczymy tu tylko, że ta zmiana jest przypomnieniem zmiany w wielkich rozmiarach, która dokonała się przed wiekami: dawniej bowiem wszystkie czasowniki miały w osobie pierwszej l. pojed. zakończenia *am* (a jeszcze dawniej — *ami*) i dopiero z upływem czasu wiele z nich przemieniło tę końcówkę na samogłoskę nosową (w starosłow. *jus*, u nas *ę*), a niektóre tylko (w jęz. polskim liczniejsze niż w którymś bądź innym słowiańskim)

¹⁾ Już po napisaniu niniejszego artykułu, znajdowałem niestety, więcej podobnych błędów jak *pojmuje*, *daruje* (osoba 1) i t. d.

zatrzymały odwieczne zakończenie *m*. Tu także wspomnę, że od słowa *śmieć* osoba 3 czasu teraźn. l. mn. prawidłowo brzmi *śmiać*, nie zaś, jak mówią i piszą niektórzy, *śmieją*, gdyż *śmieją się*—to od czas. *śmiać się*. Do solecyzmów warszawskich rachuję też formę *domyślwać się* zam. *domyślać się* i uporczywe, może pod wpływem gwary niemiecko-żydowskiej, używanie form osobistych *nie jest, nie był, nie będzie* wtedy, gdy to słowo jest orzeczeniem, a więc koniecznie, według ducha języka polskiego, powinno być użyte w formie nieosobistej: *nie ma, nie było, nie będzie*, z przyp. 2-im. Czytam np. „*nie jest* nic niepodobnego“ zam. *nie ma*. I o tém także pisałem już dawniej: poprzestaną więc tu na téj krótkiej wzmiance. Formy *letki, miętki, lekszy* (zam. *łżejszy*), *hialszy*, w gwarze warszawskiej niewykształconej są pospolite; w druku znalazłem tylko ostatnie i to w jednym z pism rzekomo „postępowych“. Formy *skaka* zam. *skacze* za błąd nie uważam, gdyż to forma odwieczna, staropolska. Za to piszący nie umieją prawie nigdy odróżnić czasowników *nużyć* *znużyć* od czasown. *nurzać, zanurzać*, a nie jest to tylko błąd ortograficzny, bo dziwnie wygląda to, co czytamy o „*zanurzeniu* d. wody“ (a raczej *w wodę*, mówią i piszą Warszawianie) lub o „*znarz:niu* pracą“. Nie sięgając wyżej gramatyki porównawczej, która nauczyłaby nas np., że *zanurzać* dla tego należy pisać przez *rz*, że jest to wyraz pokrewny sanskryckiemu *nara*, co znaczy *woda* (z kąd niewątpliwie i grecki *Nereusz* z *Nercidami*, nasz *Nur* i *Narzew* i niem. *nass*=wilgotny i t. p.) podajemy jako wskazówkę praktyczną, radę, aby pp. literaci pamiętali, że czasownik *nużyć* pokrewny jest wyrazom *nuda* i *nędza*, w których *r* ani śladu, ale są *d* i *dz*, pokrewnie częstokroć brzmieniu *z* (właściwie *dz*, jak w ross. *nużda* zam. *nudza*), ale, jak niebo od ziemi, dalekie od brzmień *r* i *rz*.

Używanie spójnika *żeby* zamiast *gdyby*, uważane przez niektórych niewłaściwie za prowincjonalizm litewski, pospolite jest w mowie niewykształconej warszawskiej i dosyć częste w prasie. Oto dwa najświeższe przykłady: „O, *żeby* wszyscy żebracy tyle dostali!“ „Dzięki byłyby Bogu, *żeby* brat wasz, książę Orleanu, znajdował się między żyjącymi“.

Z wytkniętych przezemnie dawniej solecyzmów, o których z tego powodu nie będę tu mówił obszernie, po staremu kwitną: *gdzie* zam. *dokąd*, *jaki* zam. *który*, *jak* raz zam. *równy*, *właśnie*, w zam. *do* („*siadł w dorożkę*“), *tylko* zam. *lecz*, *ale*, wreszcie „*zwracać komuś* uwagę“ zam. „*zwracać czyją* uwagę“.

Gwara warszawska błędnie oznacza rodzaj rzeczowników *cień* i *łabędź*, uważając je za żeńskie (*ta* *łabędź*, *długa* *cień*) wówczas gdy są rodzaju męskiego. Dosyć często mówią i piszą *gonić* zamiast *gnąć*, a chociaż są to czasowniki, niewątpliwie z jednego pierwiastku utworzone, wszelako dziś już i znaczeniem odmienne i różniące się w konjugacyi. Ztąd też całkiem błędne i nieistniejące, a w druku pospolite *wygonił, wygonić* zam. *wygnął, wypędził* i t. d. gdyż *gonić*

znaczy tylko *ścigać*, *pędzić się za kim*, a forma dokonana *wygonić* nawet logicznie jest niemożliwą. Używa się jeszcze również niemożliwe *wygonić* (za kim) zam *wpaść* np. w jednej z powieści: „*wygonią za tobą do twój pracowni*“.

Robić i *czynić* to wcale nie jedno: pierwsze oznacza jakieś zajęcie, pracę, robotę; drugie—po prostu pełnienie, wykonywanie jakiegobądź czynności, jakiegobądź postępk. U nas jednak teraz, rzecz dziwna, słowo *czynić* poszło prawie całkiem w zaniebanie, czasownik zaś *robić* tak się rozpanoszył, że używany jest nietylko zam. *czynić*, ale także zamiast wielu innych czasowników, zbyt często i niebardzo właściwie. Czyżby społeczeństwo nasze tak gorliwe i wszechstronne, rzuciło się teraz *do roboty*, *do pracy*, że ten pocieszający, a dotychczas nie bardzo właściwy nam objaw odbił się nawet w języku? A może to wpływ żydowsko-niemiecki, gdyż niemieckie *machen* ma istotnie bardzo obszerne zastosowanie i używa się w wielu wypadkach, gdzie język nasz posiada inne właściwe słowa? Jakkolwiekby, dziś *robimy* interesa i sprawunki, gdy dawniej je *złatwialiśmy*; obraz lub przedstawienie *robi* na nas wrażenie, dawniej zaś *sprawiał* lub *wywoływał* takowe; mówimy i piszemy obecnie: „*robi mi się przykro lub słabo*“, zamiast czego mówiono przedtém: *przykro mi*, *sprawia mi przykrość*, *słabo mi*, *mdleję* i t. d. (o dziwnym w obu tych połowach wyrażeniu *robi mi się nieswojo* była mowa przedtém); mówi się także o *robieniu partii* (świątecznej lub lichiej), gdzie my mówiliśmy raczej o jej *znalezieniu*; czytamy że ktoś *zrobił* karierę, zamiast czego wolelibyśmy powiedzieć, że komuś *powiodło się świetnie*, że ktoś *osiągnął*, *zapewnił sobie*, *zabezpieczył los świetny* lub takowego *dostał*; nakoniec w tysiącznych zwrotach potocznych mówimy o *robieniu* czegoś, chociaż tam żadnej *roboty* nie było. *Krawiec robi* odzież, *fabrykant*—rozmaite wyroby, to pewna, ale w zwrotach potocznych zamiast np. *Co robisz?* *Patrz, co zrobiles.* Nie, on tego nie *zrobi* i t. p. lepiej i należy mówić, jak zawsze dawniej mówiono i pisano: *co czynisz?* *Patrz, co uczyniles.* On tego nie *uczyni* i t. p. Jeden z najgłośniejszych autorów powiada nawet o księgarzu, że *porobił* straty na swych nakładach, zamiast *poniósł*.

W jednym z pism postępowych znalazłem przyp. 2 *czci* zam. *czci*, zdaje się, że i to jest forma niewykształconej gwary warszawskiej.

Na ostatek zachowałem kwestyę, jak mniemam, ciekawą i nową, na którą nikt nie zwracał dotychczas uwagi, chociaż dostrzedz osobliwsze to zboczenie, zarówno w gwarze warszawskiej jak i w dziennikarstwie pospolite, nie byłoby zbyt trudno.

Oto np. czytam w jednej z powieści tłómaczonych: „*śniadanie* jeszcze w *Wiedniuśmy* jedli. Ze mówi się zwykle: *jedliśmy w Wiedniu* — rzecz wiadoma, ale wiemy nadto, że mówią także i piszą: *śniadanieśmy* jeszcze w *Wiedniu* jedli, albo *jeszcześmy* w *Wiedniu* jedli *śniadanie*. Gdzieindziej znowu czytam: „*panes* był wtedy

dziekiem“, a zresztą wyborne to *panes* jest bardzo w Warszawie ulubione i słyhać je wszędzie na każdym kroku (*panes* sam winien, *panes* powiedział i t. d.). Co to takiego? Czy istotnie owe *śmy*, (*e*)*s* są to jakieś skoczki płochy, które nigdzie miejsca nie zagrzeją i czy istotnie pod tym względem dozwoloną jest taka nieograniczona swoboda? Zastanawiając się nad tą kwestyą, doszedłem do następujących wniosków. Język polski posiada, jak wiadomo, końcówki osobowe *m*, *s*, *śmy*, *ście* które, mówiąc dokładniej, są skróceniami form słowa posiłkowego *jeśm* (jestem) *jeś* (jest, jesteś), *jeście* (jesteście) i te formy, w kształcie owych skróconych końcówek, mają rzeczywiste tę własność, że mogą być w połączeniu z innym wyrazem zdania, używane zamiast form całkowitych w osobach 1 i 2 l. pojed. i mnogiej *czasu teraźniejszego*.

Ztąd w przekładzie Biblii i u najlepszych pisarzy dawnych i nowych czytamy: „*jam* Pan, a *wyście* sładzy i podnóżki moje“, (zam. *ja jestem*, *wy jesteście*); *myśmy* ubodzy i prości (zam. *my jesteśmy*) i t. d. Najczęściej i najwłaściwiej skrócone te końcówki bywają dodawane do zaimków osobowych; zdarza się jednak, że bywają dołączone do przymiotników, wtedy mianowicie, gdy zastępują miejsce łącznika w zdaniu, którego orzeczeniem jest właśnie ów przymiotnik jak np. w przechowanych dotychczas wyrażeniach *glupis*, *mądryś* (nie mówiono jednak i nie pisano dawniej tak często: *nie glupim*, *nie głupiśmy*, *nie głupiecie*). Co się tyczy innych czasowników, w tych owe zakończenia osobowe mogą być oddzielone od pierwszej połowy formy słownej, oczywiście tylko w *czasach przeszłych*, gdyż te właściwie i pierwotne *były złożone* z imiesłowu i słowa posiłkowego. Tak np. *czytałem*, *czytałeś* i t. d. powstało z imiesłowu czynnego *czytał-jeśm* i dawniej pisano rozłącznie: *czytali jesteśmy*, *pisali jesteście* i t. d., jak znajdujemy jeszcze np. w listach Zygmunta Augusta do Radziwiłła. Otóż w tych czasach przeszłych rozmaitych czasowników odłączanie końcówek *m*, *s*, *śmy*, *ście* i dodanie ich do innego wyrazu zdania jest możliwe i może być uzasadnione najlepszymi wzorami np. *dobrześ* uczynił, *coś* rzekł i t. d. Wszelako zdaje mi się, że przeskakiwanie owych końcówek z miejsca na miejsce nie było nigdy tak swawolne, jak obecnie, a mianowicie, że uciekano się do tego środka dla pewnej dobitności, czyniąc szczególny nacisk na tym właśnie wyrazie, do którego w tym celu dołączono ową ruchomą końcówkę. Wiadomo, że dla wywołania tego nacisku i zwrócenia uwagi słuchaczy lub czytelników na odnośny wyraz, wystarcza umieszczenie go na początku zdania i wtedy odrywanie końcówki osobnej staje się zbytecznym: wolelibyśmy ten stary sposób i śniemy go zalecać. Według tego jak wiadomo, gdy powiem „*śniadanie* już jedliśmy w Wiedniu“, nacisk pada na wyraz *śniadanie* („*obiad* zaś w Przyrowie“); mówiąc zaś „*w Wiedniu* jedliśmy *śniadanie*“ kładę nacisk na wyraz w Wiedniu (bo np. „*w Przyrowie* zbyt drogo“); nakoniec w szyku takim „*jedliśmy* w Wiedniu *śniadanie*“,

nacisk pada na orzeczenie, („*nie piliśmy* jednak nic). Można więc obejść się bez owych łamańców z końcówkami osobowemi, które nawet weszły w modę bynajmniej nie z potrzeby nacisku, ale tak sobie, może jako objaw wyłamania się z pod powag i prawideł, jako nieokreślona swoboda czy swawola, której wartoby położyć tamę. Toć i w niewykształconej mowie żaków szkolnych słyszymy często *cichocie* zam. *cicho bądźcie*, gdzie nawet końcówka trybu rozkazującego przybrała powyższe własności. Take same dozwolone i swawolne łamańce wyprawia gwara warszawska i język dziennikarski z zaimkiem *się* przy słowach zwrotnych, o czém niejednokrotnie już dawniej wspominałem. Powtórzę tu więc tylko, że nie widzę najmniejszej zasady do odsuwania *się* od czasownika, do którego należy, z wyjątkiem jedynie na końcu zdania, gdzie *się*, jako wyraz bez akcentu, nie może stać inaczej, jak chyba *przed* swoim czasownikiem. Tak więc mówmy i piszmy „matka *gniewa się* bardzo, gdy kto *jéj sprzeciwia się* w czemkolwiek“ (ile tu odmian ze swawolnie skaczącem *się*: matka *się* gniewa, matka *się* bardzo i t. d., gdy *się* kto *jéj* i t. d. gdy *się* *jéj*, gdy *się* *jéj się* i t. p.), ale mówmy i piszmy: matka *się* gniewa. Kto *mi się* sprzeciwia? Widzimy, że np. Mickiewicz ściśle przestrzegał, aby *się* stało zawsze po właściwym czasowniku, do którego należy.

KWESTYA REFORMY GIMNAZYALNEJ W NIEMCZECH. *)

Napisał

Prof. Ant. Okoński.

III.

Dla oznaczenia drugiego kierunku reformy gimnazyalnej, wyrobiła się w Niemczech techniczna nazwa „Priorität der französischen Sprache“ (pierwszeństwo francuzkiego języka). Nie można jednak powiedzieć, aby termin ten był zupełnie dokładny; jedni bowiem pierwszeństwo to oddają francuzkiemu, inni angielskiemu językowi. Istota tego kierunku polega na tem, że młodzież gimnazyalna najprzód powinna się uczyć jednego z języków nowych, a dopiero poznawszy go dokładnie, przystępować do nauki języków starożytnych.

Zasadnicza myśl, iż naukę obcych języków należy zaczynać od jednego z nowych języków, nie jest jednak wcale nową. Była ona wypowiedaną i dawniej przez ludzi, używających nawet wielkiej powagi w świecie naukowym. Ponieważ jednak była wypowiedana bardziej okolicznościowo, nie starano się uzasadnić jej naukowo pod względem pedagogicznym, ani próbowano zastosować jej w szkołach. Nastąpiło to dopiero w ostatnich czasach.

Już Locke w swoich myślach o wychowaniu (*Some thoughts concerning education*) wypowiedział zdanie, że jak tylko chłopiec nauczył się mówić po angielsku, czas na niego zacząć uczyć się języka obcego, językiem zaś tym winien być francuzki. ¹⁾ Pod tym

*) Dokończenie Patrz Zesz. za miesiąc Lipiec r. b.

¹⁾ J. Locke's Gedanken über Erziehung, eingeleitet, übersetzt und erläutert von v. Sallwürk. str. 166. Völcker. Die Reform des höheren Schulwesens auf Grund der Ostendorffschen These: Der fremdsprachliche Unterricht ist mit dem französischen zu beginnen. 1887. str. 133.

względem Locke opierał się na tem, że w tym wieku najłatwiej jest dzieciom nauczyć się tego języka przez codzienne użycie, tudzież nagiąć swój język do dobrego wymawiania obcych dźwięków. Przytém wyraził zdanie, że jakkolwiek łaciński język uważa za konieczny dla szlachcica, zwyczaj jednak doprowadził do tego, że w szkołach różgami zmuszają do uczenia się go, nawet takie dzieci, które po ukończeniu jej, nigdy nie będą miały sposobności używania tego języka. Czy może być coś śmieszniejszego, powiedział, ażeby ojciec marnował swoje pieniądze i czas swojego dziecka na wyuczenie go języka łacińskiego, którego nigdy w praktycznym życiu nie będzie potrzebowało, który niechybnie wkrótce zapomni i do którego, można się założyć o dziesięć przeciwko jednemu, czuje wstręt z powodu złego postępowania, jakiego przy uczeniu się go doznał.

Franklin w swojej autobiografii radził pedagogom uczyć dzieci najprzód języka francuzkiego, a potem dopiero łacińskiego, gdyż sam na sobie przekonał się jak łatwo mu przyszła nauka tego ostatniego języka wtedy, kiedy już umiał po francusku. ¹⁾

Herder w swoim planie lifländzkiej szkoły patriotycznej (Plan einer livländischen Vaterlandsschule) żądał, aby po języku ojczystym następował francuzki, później włoski, a dopiero potem łaciński. Pierwszeństwo języka francuzkiego wypływa jego zdaniem stąd, że jest językiem najbardziej rozpowszechnionym i najkonieczniejszym w Europie; że według naszego sposobu myślenia jest najbardziej wykształconym; że jest językiem, którego styl najlepiej został wyrobiony, że jest najprostszy, w skutek czego można na jego nauce nabrać *praegu* *stus* do filozoficznej gramatyki, a wreszcie, że jest najodpowiedniejszy dla opowiadania i rozumowania. Z tego wszystkiego, zdaniem Herdera, nauka tego języka winna iść bezpośrednio po nauce języka ojczystego, nawet przed łacińskim. Herder chciałby, aby nawet uczeni lepiej umieli po francuzku, jak po łacinie. ²⁾

K. Schmidt w swojej gimnazyalnej pedagogice (Gymnasial Paedagogik 1857) wyraził się, że względy psychologiczne przekonały go o tem, że zaczynanie nauki języka łacińskiego w dziewiątym, względnie w dziesiątym roku życia, przeciąża umysłowe zdolności ucznia, a wskutek tego i osłabia je. Według niego trzeba jakiegoś przejścia przez głęboką przepaść, oddzielającą język ojczysty od łacińskiego, trzeba pamiętać o zasadniczym prawie każdego wychowania, polegającego na tem, że należy przechodzić od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych, od zmysłowych do abstrakcyjnych, od pokrewnych do obcych. Ponieważ zaś w nauczaniu zapomniano o tém prawie, a w skutek tego uczono łacińskiego za wcześnie, przeto pomimo wszelkich starań, zabito w dziecku talent lingwistyczny, nauczono

¹⁾ Völeker. Die Reform. etc. str. 134.

²⁾ Völeker. Die Reform. etc. str. 135.

no je wyrazów zamiast myśli, pustych form zamiast rzeczy, zabito świat uczucia, napełniono jego umysł mechanicznymi formułami. Wynikiem tego była krzycząca nieproporcjonalność między czasem, zużyтым na naukę i osiągniętym stąd rezultatem, niechęć do uczenia się łaciny i przytępienie interesu do nauki. ¹⁾ Ztąd można wyprowadzić wniosek, że ta głęboka przepaść, dzieląca język ojczysty od łacińskiego, wtedy byłaby zdaniem Schmidta wypełniona, gdyby naukę tego ostatniego poprzedzał inny jaki nowy język.

Podobnego zdania był Jean Paul, Nagel ²⁾, Soden i inni. Według tego ostatniego język łaciński jest pierwotny, francuzki pochodny. Otóż wszystko pierwotne jest dalsze od terażniejszego świata pojęć i dla tego dla umysłu młodzieży, żyjącej w świecie terażniejszym, daleko trudniejsze do zrozumienia. Język jest formą rozwijającą się równolegle z zapatrywaniami i pojęciami, w której te ostatnie się odbijają. Nie można języka odłączyć od rzeczy, której jest wyrazem, to jest od pojęcia i zapatrywania pewnego narodu. Ponieważ zaś bezspornie pojęcia dzisiejszego np. Niemca są daleko bliższe pojęć Francuza i Anglika, aniżeli Rzymianina, przeto i język ich jest bliższy. Przekonamy się o tem dokładniej, jeżeli odstępimy od czysto formalnej zasady, według której należy się uczyć języka dla jego form i prawideł, a przyznamy słusność zdaniu, zyskującemu coraz więcej uznania w społeczeństwie, że dla osiągnięcia pożytku z nauki języków, trzeba połączyć je z nauką rzeczową, to jest tego, co ten język przedstawia. Ztąd wypada, że nie można zawczasie uczyć dzieci języków klasycznych, jeżeli w ogóle są potrzebne do głębszego zrozumienia naszej kultury, dopóki umysł ich nie doszedł do pewnej dojrzałości. Według Sodena bezmyślnym jest komunalem mówić o kształceniu umysłu za pomocą nauki języków, jeśli nauka ta, zasadza się na wyuczeniu na pamięć formuł i prawideł gramatycznych. Uczniowie jednak widzą w nauce klasycznych języków tylko takie nagromadzenie prawideł, i dla tego nauka ich nie budzi w nich żadnego interesu, nie przynosi im wewnętrznego zadowolenia. Czego sercem się nie pojmuje, to nie może kształcić, choćby nawet i odpowiadało logicznym wymaganiom umysłu. Ztąd wypływa, że naukę języków klasycznych trzeba rozpoczynać daleko później, kiedy umysł uczniów o tyle dojrzał, że języki te będą w stanie zainteresować ich. Zarzut, że przez to nie będzie można języków tych poznać gruntownie jest bezzasadny, gdyż intensywniejsza praca w późniejszym wieku może doprowadzić do tych samych, jeżeli nie lepszych rezultatów. ³⁾ Na podstawie tego i Soden doszedł do tego samego wniosku, co i powyżej przytoczeni pedagogzy.

¹⁾ Völcker. Die Reform etc. str. 137.

²⁾ Völcker. Die Reform etc. str. 136.

³⁾ Völcker. Die Reform etc. str. 139.

Wszystko to jednak były albo zdania luźno wypowiedziane, z których nawet ci, którzy je wyrzekli, nie próbowali wyprowadzić dalszych wniosków, albo zdania, chociaż uzasadnione ze stanowiska pedagogiki, jednak nie doprowadzone do dalszych konsekwencji. Ludzie, którzy je wyrzekli, nie wskazywali zmian, do jakich zasady przez nich przyjęte musiałyby doprowadzić w urzędzeniu zakładów naukowych. Zasady więc te niemogły służyć za podstawę do dalszego rozwoju, nie mogły stworzyć nowego kierunku w dążeniu do reformy szkół średnich. Zasługa pod tym względem należy się dopiero Ostendorfowi, dyrektorowi realnego gimnazjum w Düsseldorf.

Prace Ostendorfa, które dały początek nowemu kierunkowi w reformatorskich dążeniach, pojawiły się w 1873 r. Jedna z nich nosi tytuł: *Od jakiego języka zaczyna się odpowiednia do celu nauka języków obcych?* druga: *Wyższe szkoły naszego państwa.*¹⁾

W pierwszej pracy stara się Ostendorf dowieść, że dzisiejszy systemat szkolny cierpi na wiele niedostatków, każde bowiem gimnazjum przepelnione jest uczniami, którzy w innej szkole otrzymaliby odpowiedniejsze wykształcenie. Zaledwie czwarta część uczniów kończy gimnazjum klasyczne, a szesnasta realne. A i z tej liczby tylko zdolniejsi wnoszą lepsze przygotowanie do życia praktycznego. Ztąd się okazuje, że najważniejsza część narodu, stan średni, prawie nie ma szkół. Wszystkie poprzednie próby reformy, rozbiły się o zasadę, według której wszelka nauka szkolna winna się zaczynać od łacińskiego. Jakkolwiek zaś ważnem jest poznanie starożytności, nauka jednak języków starożytnych wtedy tylko się oplaca, kiedy rzeczywiście otwiera nam podwoje świata klasycznego. Kwestya, od jakiego języka należy rozpocząć lingwistyczne wykształcenie jest otwartą, od czasu kiedy za Ludwika XIV język francuzki stał się językiem wszystkich wykształconych ludzi, a łaciński stał się językiem umarłym.

Rozważając przymioty, jakimi odróżnia się język francuzki przed łacińskim, jako początkowy, Ostendorf przyszedł do następnych wniosków. Nauka języka francuzkiego, nowego łatwiej może obudzić w uczniach chęć do przyswojenia go sobie. Cwiczenia metodyczne w wymawianiu wprawiają do uwagi, wyrabiają ucho i organy głosowe, kształcą poczucie jasności i piękności. Mniej wyraźnie oddzielone formy wymagają dostatecznej ilości pracy i napięcia. Prostota deklinacyi, albo raczej brak ich i zastąpienie przypadków przedimkami, ma szczególną wartość dla uczniów niemieckich. Dla wprawy pamięci bogaty zapas słów nowszych języków, przedstawia obfity materiał. Składnia francuzka posiada także zalety nie ustępujące

¹⁾ Mit welcher Sprache beginnt zweckmässiger Weise das fremdsprachliche Unterricht. 1873. — Das Höhere Schulwesen unseres Staates. Ein Bericht der städtischen Behörden zu Düsseldorf erstattet. 1873.

łacińskiej. Zastosowana do myślenia budowa francuzkiego zdania przymusza do jasnego myślenia. Użycie przedimka oznaczonego i nieoznaczonego dostarcza bogaty materiał dla wprawmy myśli. Przygotowanie z pomocą słownika jest łatwiejsze. Ponieważ nowe języki posiadają odpowiednie wyrażenia dla wszystkich przedmiotów lub czynności, na które uczniowie mają wyrażenia w języku ojczystym, daleko więc łatwiej postępować z nimi w nauczaniu, stopniowo od rzeczy codziennego użytku, do rolnictwa, handlu, przemysłu, do dzieł wyborowych obcej literatury i tym sposobem uczyć ich rzeczy pożytecznych i wprowadzić w świat moralny i umysłowy drugiego narodu. Takie postępowanie jest nie możliwe z językiem łacińskim, w którym nie ma, a nawet nie może być książki elementarnej odpowiadającej temu wiekowi uczniów. Pochodzi to ztąd, że autorowie podręczników łacińskich albo biorą przykłady z codziennego życia, ponieważ zaś język ten jest umarły, z konieczności dochodzą do anachronizmów, albo też biorą przykłady z klasyków, naśladowując ich sentencje niedostępne dla pojęcia uczniów, lub podając wiadomości z historii i geografii, prowadzą do bezmyślności i zamieszania. Przeciwnie nauka języka łacińskiego mogłaby nawet skorzystać, gdyby się później zaczęła, uczniowie bowiem byłiby lepiej przygotowani przez naukę języka nowego, dojrzalsi, klasy byłyby oczyszczone od uczniów mniej zdolnych lub pilnych. Tym sposobom możnaby osiągnąć daleko większy postęp w daleko krótszym przeciągu czasu. ¹⁾

Nie mogliśmy jednak zdać sobie sprawy ze znaczenia myśli wypowiedzianych przez Ostendorfa, gdybyśmy sądzili, że reforma przez niego proponowana ograniczała się tylko na tem pierwszeństwie, oddanem w nauczaniu językowi francuzkiemu. Myśli jego były tego rodzaju, że musiały przeniknąć głębiej w całe urządzenie szkolne, dać podstawy do nowej ich organizacyi. Rzeczywiście już na pierwszy rzut oka widzimy, że jeżeli w kilku niższych klasach gimnazyów zaprowadzilibyśmy wykład tego języka, to przez to samo wykład języka łacińskiego musiałby się posunąć o kilka lat później. To samo byłoby i z greckim. To też Ostendorf opracował nowy plan reformy średnich zakładów naukowych. Główne jego zasady polegały na tem, że w niższych klasach szkoły te winny być tak urządzane, żeby je zrobić dostępnymi dla uczniów szkół elementarnych, którzyby chcieli się dalej kształcić. W pięciu niższych klasach powinien być wspólny dla wszystkich uczniów wykład wszystkich przedmiotów. W tych klasach należy uczyć z języków przeważnie niemieckiego i francuzkiego, a od klasy 3-ej i łacińskiego.

¹⁾ Völcker. Die Reform. etc. str. 2—6. Krytykę zasad i wywodów Ostendorfa dali: Perthes. Zur reform des lateinischen Unterricht. 1874. Lattmann w Pädagogischer Archiv 1874 str. 178—201, i Sallwürk w Pädagogischer Archiv 1874 str. 383—393.

Wyższe cztery klasy powinny być podzielone na trzy oddziały, jeden z kierunkiem ściśle klasycznym, drugi, w którym byłyby uwzględnione przeważnie nowe języki i trzeci matematyczno-przyrodniczy. ¹⁾ Nie wdając się tutaj w bardziej szczegółowy rozbiór i ocenę tego projektu, poprzestaniemy tutaj na przytoczeniu, że był on rozbiegany (od 8—23 Paźdz. 1873 r.), przez komisję złożoną, na skutek rozporządzenia ministra oświecenia Falka, z znakomitych pedagogów i deputowanych, i mającej rozpatrzyć rozmaite projekta szkolne. W posiedzeniach tej komisji brali także udział Bonitz, zarządzający wydziałem szkół średnich w ministryum, tudzież Wiese, poprzednio kierujący tymi wydziałami. ²⁾ Wiese, mówiąc o projekcie Ostendorfa, wyraził się, że plan jego jest tak dobrze obmyślany i usprawiedliwiony, że w każdym razie należałoby przynajmniej jego autorowi pozwolić na wprowadzenie go w wykonanie. Wprawdzie miałby mu coś do zarzucenia ze względów etycznych, jeżeli jednak w szkołach żeńskich od wielu lat, po wiele godzin, uczą języka francuzkiego, a jednak nie spostrzeżono z tego powodu żadnych złych następstw etycznych, nie sądzi aby mogło grozić jakimś niebezpieczeństwem zaczynanie nauki języków od francuzkiego i w szkołach męzkich. Bonitz sądził, że byłoby do życzenia, aby podstawę całego planu, polegającą na pierwszeństwie w nauczaniu języka francuzkiego przed łacińskim, wypróbować w praktyce, przez co można by uzyskać wspólną podstawę dla gimnazyjów klasycznych i realnych. Jeżeli zaś uważał w obecnym stanie rzeczy za niemożliwe ręczyć za skutek z zupełną pewnością, sądził jednak, że próba przeprowadzona konsekwentnie nie przedstawiałaby trudności. ³⁾ Zdania te, tembardziej zasługują na uznanie, że były wypowiedziane wkrótce po wojnie z 1870 r., która jak wiadomo tak wysoko roznieciła szowinizm niemiecki i niechęć lub lekceważenie do wszystkiego co francuzkie.

Ostendorf, jak zauważyliśmy wyżej, dał początek całej szkole pedagogów, całemu kierunkowi pedagogicznemu, według którego w średnich zakładach naukowych, językiem podstawowym (*Grundlegende Sprache*), od którego winno zaczynać się lingwistyczne wykształcenie uczniów, miał być jeden z języków nowych. Ze jedni oddawali pod tym względem pierwszeństwo francuzkiemu, drudzy zaś angielskiemu, nie zmieniało to nic w istocie rzeczy. W Szwecyi i Norwegii jak wiadomo, za język podstawowy wzięto niemiecki. Istota rzeczy pomimo to została ta sama, a ta jak wiadomo, polega na tem, że języki starożytne są zatrudne dla nierozwiniętego umysłu uczniów w najniższych klasach, zanadto odległe od sfery ich zapamiętań i, że dla tego potrzeba lingwistyczne ich kształcenie zaczynać od któregokolwiek z języków nowożytnych bliższego ich pojęciom.

¹⁾ Völcker. Die Reform etc. str. 143 — 150.

²⁾ Sprawozdanie z posiedzeń tej komisji znajduje się w *Centralblatt für die gesamte Unterrichtsverwaltung Preussens 1874* str. 85.

³⁾ Völcker. Die Reform etc. str. 2.

Do następców Ostendorfa, którzy za podstawowy język w szkołach chcieli wziąć francuzki, zaliczyć można Vollhering'a, Kühn'a, Nohl'a, Völcker'a. ¹⁾ Do takich, którzy byli za językiem angielskim, należy Vicweger.

Każdy z nich, oprócz zmiany w porządku uczenia języków domagał się i stosownej reformy średnich zakładów naukowych, która koniecznie ze zmiany tej wypływała. Tak np. Vollhering, w rozprawie o wyższych szkołach w Niemczech ze stanowiska potrzeb narodowych ²⁾, domagał się trojakich szkół, mianowicie: szkoły jednorodnej, gimnazyów realnych i klasycznych. Szkoła jednorodna, sześcioklasowa miała na celu oprócz dostarczania ogólnego wykształcenia średnim klasom ludności, przygotowywać do obydwóch gimnazyów. Dla tego trzy niższe jej klasy miały w zupełności odpowiadać takimże klasom gimnazyów, z językiem francuzkim jako podstawowym, po którym następował angielski. W klasie czwartej gimnazjum klasycznego miał się zaczynać łaciński, a w piątej grecki. W gimnazjum realnem miał być wykładany ale tylko jako przedmiot nieobowiązkowy, od klasy szóstej język łaciński, dla tego, żeby gimnazjum to mogło przygotowywać prawników i filologów języków nowożytnych.

Interesującymi są wywody na podstawie których Kühn domaga się podobnej reformy. ³⁾ Według niego wszyscy zamożniejsi lub należący do klas wykształconych ojcowie rodzin posyłają swoich synów do gimnazyów klasycznych, chcąc im zapewnić przywileje nadane tym zakładom naukowym, tudzież otworzyć wszystkie zawody w przyszłości. Pilniejsi i zdolniejsi chłopcy przechodzą z klasy do klasy, inni przenoszą się do realnego gimnazjum lub wyższej *Bürger-schule*, ażeby przynajmniej zdobyć sobie świadectwo na jednorocznego ochotnika. Ztąd wypływa, że w miastach mających tylko jedną szkołę, zamożniejsi obywatele i urzędnicy, domagają się ażeby szkoła taka była z językiem łacińskim. Tymczasem w skutek tego

¹⁾ Do nich należy też Asmodi Redivivus. *Der krebs schaden unserer Gymnasien*. 1886, którego jednak pomijamy z powodu zupełnie nieodpowiedniej formy z jaką traktował tak ważny przedmiot, jak reforma gimnazjalna. Do stronników pierwszeństwa języka francuzkiego należy zaliczyć także znanego filologa Lattmann'a, który w programie z 1888 r. (Clausthal) dowodził, że łaciński winien się zaczynać w III, a grecki dopiero w II; Stengla, który na zjeździe stowarzyszenia nauczycieli szkół realnych w Wiesbaden 20 Marca 1888 r. dowodził tego samego i wielu innych. Völcker. *Schwedens Erfahrungen mit seiner Einheitsschule*. *Neue Jahrbücher*. 1888 str. 528.

²⁾ Vollhering. *Das höhere Schulwesen Deutschlands vom Gesichtspunkte des nationalen Bedürfnisses*.

³⁾ Kühn. *Die Einheitsschule, eine Forderung des praktischen Lebens*. 1885.

napływu uczniów do gimnazyów klasycznych i realnych, zaledwie piąta ich część kończy te zakłady, cztery piąte zaś przechodzi albo do zawodów praktycznych, albo do podrzędnej służby urzędniczej, nie wyniosłszy ze szkoły odpowiedniego przygotowania. Urywkowe, niezakończone wykształcenie tych uczniów, z początkami łacińskiego i greckiego, przynosi im więcej szkody, jak pożytku, pobudzając ich do wysokiego mniemania o sobie i wzniecając niechęć do zajęć praktycznych i pracy ręcznej. Ztąd napływ ich ogromny do niższej karyery urzędniczej, do pracy kancelaryjnej. Inni znów, którzy, przebili się z mozołem przez wyższe klasy i ukończyli gimnazjum, studiują dalej bez zamiłowania. To zaś jest powodem przepelnienia tak zwanych uczonych powołań i umysłowego proletaryatu. Ci także, którzy z braku uzdolnienia nie mogli otrzymać świadectwa do służby wojskowej tworzą niezdrowy żywioł w społecznym organizmie, przepelnieni są bowiem zgryźliwością w dalszem życiu, które poszło nie według ich życzenia. Kształcąc się na panów, uważają się za zbyt wysokich dla zyskownego rzemiosła i dla tego patrzą z niechęcią na swój zawód. Nawet podrzędni urzędnicy nie otrzymali w tej trosze łaciny i greckiego potrzebnego im wykształcenia.

Wszystkim tym zgubnym skutkom możnaby zapobiedz, gdyby decyzję względem przyszłego powołania można odroczyć na później, tak ażeby nauka nie szkodziła przyszłości uczniów. Jedynym zaś środkiem, prowadzącym do tego, jest zaczynanie później nauki łacińskiego. Według Kühna porządek nauczania języków, przyjęty obecnie w zakładach naukowych, jest najgorszy, jaki tylko może być. Za wymówkę może mu służyć tylko to, iż się wyrobił historycznie, zresztą zaś jest zaprzeczeniem ogólnie uznanych w pedagogice zasad, że zaczynać należy od rzeczy bliższych i przechodzić do dalszych, od łatwiejszych do trudniejszych. Języki starożytne są bardzo trudne; jednak człowiek dojrzalszy, z rozwiniętym umysłem, łatwiej może się ich nauczyć, aniżeli młodszy. Przeciwnie języków nowożytnych, przedstawiających trudności dźwiękowe, łatwiej można się nauczyć w młodocianym wieku, kiedy organa głosowe są do tego podatniejsze, aniżeli w późniejszym. Z tego powodu naturalny porządek uczenia się języków, według Kühna, powinien być: niemiecki, angielski, francuzki, łaciński i grecki. Ponieważ jednak na porządek ten nie wszyscy by się zgodzili, uważa, że pierwszeństwo możnaby oddać językowi francuzkiemu. Podług niego zadaniem szkół średnich jest wprowadzenie, że się tak wyrażę, ucznia w terażniejszość, w życie obecne, ażeby mógł zdać sobie sprawę ze zjawisk życia współczesnego; poznanie ducha starożytności o tyle tylko jest potrzebne, o ile może dopomóc do osiągnięcia powyższego zadania. Ztąd wypływa, że stanowisko, zajmowane dotychczas przez języki starożytne w szkołach, musi być do pewnego stopnia ograniczone. Pod względem metody nauczania, ograniczenie to odbija się przedewszystkiem na tém, że celem nauki przestanie być mówienie lub pisanie w tych

językach, ale tylko poznanie autorów starożytnych. W skutek tego muszą być zaniechane piśmienne wypracowania, główne zaś usiłowania winny być skierowane do czytania autorów.

Na podstawie tego Kühn, tak jak Ostendorf, chciałby takiego urządzenia szkół, ażeby do sześcioklasowej jednorodnej szkoły średniej (E i n h e i t s s c h u l e), dodane były trzy klasy wyższe, stanowiące właściwe gimnazjum, w których młodzież mogłaby się przygotowywać do uniwersytetu. Klasy te winny się dzielić na trzy oddziały, z których jeden humanistyczny, z przeważnym wykładem języków starożytnych, drugi lingwistyczno-realny, z przewagą języków nowych, a trzeci matematyczno-przyrodniczy. Porządek nauczania języków w szkole jednorodnej byłby taki, iż w klasie VI (odpowiadającej naszej przygotowawczej) zaczynałby się język francuzki, w IV (naszej drugiej) angielski, a w IIIb (naszej trzeciej) łaciński. Ten ostatni jednak byłby tylko fakultatywnym. Uczniowie, nie chcący uczyć się po łacinie, mogliby dalej korzystać z wykładów języka angielskiego.

Podobnież N o h l, ¹⁾ opierając się na zasadach Ostendorfa, chciałby lingwistycznie kształcenie młodzieży w obcych językach zaczynać od francuzkiego, po którym następowałby angielski, a po tych dopiero łaciński i grecki. Język łaciński chciałby jeszcze czasowo zatrzymać z powodu, że w tym języku jest wiele książek, i obecnie jeszcze nie pozbawionych znaczenia dla teologów i prawników. Stosownie do tego i on wystawia projekt organizacji średnich zakładów naukowych, którego główną wadą jest niejasność i zawilość, i dla tego też zastanawiać się nad nim obszerniej nie widzimy potrzeby.

Za najważniejszego przedstawiciela tego kierunku może być uważany V ö l c k e r, który w dwóch swoich pracach rozwija dalej myśli, wyrażone pierwotnie przez Ostendorfa ²⁾. Podzielając w zupełności te myśli, Völcker twierdzi, że lekceważenie z jakim powiększej części do ostatnich prawie czasów traktowano język francuzki, jako przedmiot nauczania szkolnego, pochodziło głównie ztąd, że miano o nim mylne pojęcie, jakoby był tylko zepsutą łaciną (e i n

1) Nohl. Pädagogik für höhere Lehrenstalten. 1886.

2) Völcker. Die Reform des höheren Schulwesens auf Grund der Ostendorfschen These: Der fremdsprachliche Unterricht ist mit dem Französischen zu beginnen. 1887. In welcher Weise würde die Priorität des französischen auf der deutschen Elementarunterricht einwirken? Neue Jahrbücher für Philologie und Pädagogik. 1888 str. 561 — 592. Krytykę pierwszej pracy Völckera podał Wolffgramm w Neue Jahrbücher für Phil. und Pädagogik. 1888 str. 101 — 111. Odpowiedź na to zamieścił Völcker w temże piśmie pod tytułem Zur Priorität der französischen Sprache. Neue Jahrb. f. Phil. und Päd. 1888 str. 231 — 238. Werden die grammatischen Grundbegriffe besser an der lateinischen oder an der französischen Grammatik erkannt. Neue Jahrb. f. Phil. u. Päd. 1889 str. 44.

verdorbenes Latein). Nowsze jednak badania językoznawców wykazały, że język ten, tak jak i inne romańskie, nie jest wyrodzeniem klasycznej piśmiennéj łaciny, ale dalszym rozwojem już za czasów Cycerona istniejącego języka ludowego ¹⁾. Z tego powodu uczono go w szkołach nie tak z przyczyny jego wewnętrznej doskonałości (inneren Vortrefflichkeit) i kształcącej zdolności jego budowy, jak raczej ze względu na użyteczność jego w życiu praktycznym. Zasada utylitarna nadała całemu nauczaniu tego języka w szkołach stempel bezbarwnej pożyteczności pod względem pedagogicznym. Zapatrywania te odbiły się nawet w rozporządzeniach rządowych z 24 Paźd. 1837 i Paźd. 1859 r. określających znaczenie tego języka w wykładzie szkolnym. Dopiero Schraeder w swojej Erziehungs- und Unterrichtslehre (1868 str. 477) zwrócił uwagę na ważność języka francuzkiego dla ogólnego wykształcenia, ze względów przeważnie filologicznych, a Sallwürk (Zeitschrift für das Gymnasialwesen. 1873 str. 717) ze względów pedagogicznych. Ten ostatni przytaczał, że obecny nasz rozwój umysłowy, który uczniowie winni zrozumieć, można wyprowadzić i wyjaśnić tylko za pomocą utworów filozoficznych, historycznych i politycznych XVIII w., a zwłaszcza utworów francuzkich. Dla tego język ten jest dla szkół o wiele ważniejszy jak zwykle mniemają, tém bardziej, że może wyrzeć znakomity wpływ na uczniów pod względem estetycznym i literackim. Zmiana tych zapatrywań na znaczenie języka francuzkiego odbiła się téż na pruskim regulaminie szkolnym z 31 Marca 1882 r., w którym powiedziano, że szkoły winny dostarczyć uczniom gruntowną znajomość języka, tak ważnego dla wszystkich naukowych i ogólnie ludzkich stosunków ²⁾.

W każdym razie większa część pedagogów, zwłaszcza filologów klasycznych, do ostatnich czasów z góry patrzyła i patrzy na język francuzki, raz z powodu téj zasady użyteczności, dla której jakoby miano go uczyć w szkołach, drugi raz z powodu tego, że miał on nie posiadać téj zdolności, kształcenia pod względem formalnym (formalbildende Kraft) którą uważano za wyłączny przymiot języków starożytnych. W sferach gimnazjalnych pedagogicznych, zwłaszcza między nauczycielami języków starożytnych, głęboko zakorzeniło się przekonanie o ważności tych języków, najprzód dla tego, że uczono ich nie dla jakichś poziomych względów użyteczności (Utilitätsrücksichten), ale dla idealniejszego celu, dla ich wewnętrznej wartości, a następnie dla tego, że dostarczały one tak zwanego formalnego wykształcenia. Na to jednak już Perthes

¹⁾ Pod tym względem Völcker powołuje się na Fuchsa: Die romanischen Sprachen in ihrem Verhältniss zum Lateinischen, i Schuchardta: Der Vokalismus des Vulgar Lateins, Völcker. Die Reform. str. 41.

²⁾ Völcker. Die Reform etc. str. 45.

(*Pädagogischer Archiv* 1880 str. 494) słusznie odpowiedział, że przez całe średnie wieki do XVIII w. uczono się łaciny ze względów użyteczności, gdyż każdy jej potrzebował, kto tylko chciał znaczyć coś w państwie, kościele, nauce, zdolność zaś tego języka kształcenia formalnie jest wynalazkiem bardzo świeżej daty. Dzisiaj miejsce łacińskiego zajął przedewszystkiem język ojczysty, a następnie nowe języki. Nie można więc tych względów użyteczności lekceważyć w uczeniu języka francuzkiego, dla tego tylko że obecnie względy te straciły już swe znaczenie dla języka łacińskiego. Jest to nie więcej jak tylko niemiecka ideologja, powiada Völcker ¹⁾.

W miarę tego jak owe względy użyteczności traciły na znaczeniu dla języka łacińskiego, pedagogowie XVIII wieku, zaczęli coraz więcej mówić o ważności tego języka, a w ogóle starożytnych, dla tak zwanego formalnego kształcenia umysłu. „Ile tem formalnem kształceniem nagrzeszono, powiada Völcker, ile wyśpiewano natchnionych dytyrambów o zdolności formalnego kształcenia obydwóch starożytnych języków? ²⁾ Do wysokości dogmatu podniesiono pojęcie, że gruntowna znajomość gramatyki, w szczególności zaś łacińskiej i greckiej nadaje duchowi ludzkiemu cudowną własność przeniknięcia do wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej, poruszania się w każdej z nich z największą łatwością i samodzielnie, albo, wyrażając się jaśniej, sądzono, że dla kupca, przemysłowca, technika, rolnika, nic innego nie mogło dać lepszego wykształcenia, jak łacińska i grecka gramatyka ³⁾. Tymczasem Herbart już wypowiedział zdanie, że nie ma wcale czysto formalnej nauki, któraby kształciła nasze umysłowe zdolności niezależnie od swojej treści. Co pedagogowie nazywają formalnem kształceniem, powiedział on, jest zupełnym nonsensem (*ein völliges Unding*). Formalne kształcenie nie może być oddzielone od materialnego, to jest od nabywania wiadomości w pewnej gałęzi wiedzy. Dla tego każda nauka, matematyka, gramatyka kształci nie tylko materialnie, ale i formalnie ⁴⁾. Ztąd łatwo było dojść do wniosku, że starożytne języki nie posiadają żadnej przewagi nad nowymi pod względem swego wpływu na nasze umysłowe wykształcenie ⁵⁾. Dalszym zaś wnioskiem z tego było to, że przeciwnie

1) Völcker. *Die Reform etc.* str. 47.

2) Wykazał to Schmeding w *Zur Frage der formalen Bildung* i w *Die klassische Bildung in der Gegenwart*. Völcker. *Die Reform etc.* str. 48.

3) Völcker. *Die Reform etc.* str. 48.

4) Völcker. *Die Reform etc.* str. 49. Wehrmann. *Herbart und der fremdsprachliche Unterricht*. *Neue Jahrbücher für Ph. und Päd.* 1888 str. 480.

5) Herbart, mówiąc w innym miejscu o znaczeniu języka łacińskiego dla wykształcenia w ogóle, wyraził się w ten sposób: Chociażby filolodzy ubierali w najnowsze frazesy swój stary, znany aksjomat o zdolności formalnego kształcenia za

języki nowsze winny mieć przewagę, dla tego że starożytne języki są językami narodów dawno umarłych, które nie już nie dodadzą do skarbnicy wiedzy, złożonej w ich utworach literackich. Przeciwnie narody nowe, żyjące, ciągle tworzą, ciągle powiększają swe umysłowe bogactwa, których kresu nawet nie można przewidzieć. Za nimi więc przemawia znaczenie nietylko dla formalnego, ale i dla materialnego kształcenia ¹⁾. W ten sposób Völcker dochodzi do wniosku, że pierwszeństwo (Priorität) winno być w szkołach oddane językowi francuzkiemu przed łacińskim ²⁾.

Nie poprzestając na tem, Völcker zastanawia się w następstwie nad psychologicznym procesem, odbywającym się w umyśle ucznia przy uczeniu się języka łacińskiego. Idąc pod tym względem za Lichtenheldem (w jego *Das Studium der Sprachen, insbesondere der classischen und die intellectuelle Bildung*) dochodzi do wniosku, że najważniejsza i zarazem najcięższa część całej pracy ma miejsce właśnie z początku nauki, czyli wtenczas, kiedy młodociany nierozwinięty umysł uczniów nie jest w stanie jej podolać ³⁾. Trudności te tem są większe, że nie ma, ani nawet nie może być dobrych elementarnych książek, podług których możnaby zaczynać naukę języka łacińskiego ⁴⁾. Przeciwnie język francuzki nie przedstawia tych trudności, bogata zaś współczesna literatura jest w stanie dostarczyć dosyć materiału dla najmłodszych nawet uczniów ⁵⁾.

Völcker nie jest zwolennikiem szkoły jednorodnej ⁶⁾. Przeciwnie, wychodząc z zasady pierwszeństwa języka francuzkiego, sądzi, że reformę, przez niego proponowaną, można oprzeć na istniejącym systemacie szkół, wprowadzając do niego tylko pewne zmiany lub ulepszenia, któreby ułatwiały przejście uczniów z jednego zakładu naukowego do drugiego, lub dostarczały ogromnej większości uczniów, obecnie opuszczających szkoły przed ukończeniem ich, pewnego zakończzonego wykształcenia. Wskutek tego chciałby utrzymać terażniejszych gimnazyów i progimnazyów klasycznych, to jest z dwoma językami starożytnymi, i takichże gimnazyów i progimna-

pomocą studyów lingwistycznych, są to czcze wyrazy, które nikogo nie przekonają, kto tylko zna zdolność kształcenia, nawet w wyższym stopniu, innych przedmiotów i kto z otwartemi oczami patrzy na świat, na którym żyje bardzo dużo, wcale nie powszednich ludzi, nie zawdzięczających wszakże swego wykształcenia, szkole łacińskiej. Völcker. *Die Reform etc.* str. 55.

¹⁾ Völcker. *Die Reform etc.* str. 53.

²⁾ Völcker. *Die Reform etc.* str. 59.

³⁾ Völcker. *Die Reform etc.* str. 60—72.

⁴⁾ Völcker. *Die Reform etc.* str. 80.

⁵⁾ Przedmiot ten jest obszernie traktowany na str. 73—132.

⁶⁾ Völcker. *Die Reform etc.* str. 222.

zyów realnych, z jednym tylko językiem łacińskim. Obserwując fakt, że na 250 pruskich gimnazyów klasycznych istnieje tylko 40 takichże progimnazyów, z których uczniowie w danym razie mogą przejść do gimnazyum, w celu uzyskania wszystkich praw nadanych tym zakładom naukowym, a z drugiej fakt, że na 93 gimnazyów realnych istnieje tyleż progimnazyów realnych, założonych i utrzymywanych po większej części przy miastach, bez przyłożenia się państwa, pomimo to, że gimnazyom realnym nadano daleko mniej praw, Völcker dochodzi do wniosku, że gimnazyum realne odpowiada widocznie najbardziej potrzebom ludności, i tej masy uczniów, która ze szkoły chce wynieść tylko świadectwo na jednorocznego ochotnika i ogólne wykształcenie, uzdolniające do praktycznego życia ¹⁾). Dla tego chciałby utrzymania i jednego i drugiego gimnazyum, jako stanowiących wzajemne uzupełnienie, tudzież zupełnego równouprawnienia uczniów tych zakładów naukowych, pod względem praw nadanych im na skutek ich ukończenia ²⁾). W gimnazyach i progimnazyach realnych nauka języków w trzech niższych klasach powinna się zaczynać od języka francuzkiego, po którym dopiero następowałby łaciński. Prócz tego chciałby, aby uczniowie realnych progimnazyów mogli być na żądanie uwolnieni od łacińskiego, jeżeli uważają, że dla ich przyszłego zawodu język ten nie jest potrzebny. Pod tym względem zwraca uwagę na tak zwane dispensacye, poprzednio bardzo często w szkołach praktykowane, a w ostatnich czasach prawie zupełnie zniesione, na mocy których uczniowie mogli być uwalniani od uczenia się pewnych przedmiotów, jeżeli nie mieli do nich zdolności lub skłonności ³⁾). Tym sposobem możnaby bardziej jak dotychczas uwzględniać indywidualność uczniów, na co nowsza pedagogika tak wielki nacisk kładzie. Takie same dispensacye możnaby zaprowadzić w gimnazyach i progimnazyach klasycznych od greckiego ⁴⁾).

¹⁾ Völcker. Die Reform etc. str. 240.

²⁾ Völcker str. 240.

³⁾ W Prusach rozporządzenie z 1856 r. postanowiło, że uczniowie gimnazyów klasycznych w miastach, gdzie nie było szkół realnych, mogli być przez prowincjonalną radę szkolną uwolnieni od języka greckiego, jeżeli przyszły ich zawód nie wymagał wykształcenia gimnazyalnego. Uczniowie tacy na mocy rozporządzenia z 1865 r. zamiast języka greckiego mieli się uczyć nowych języków lub innych przedmiotów realnych. Z drugiej strony uczniowie szkół realnych w miastach, gdzie nie było klasycznych, mieli uczyć się dodatkowo greckiego i łacińskiego, jeżeli zamierzali później przejść do gimnazyum klasycznego. Również na mocy rozporządzenia z 29 Lutego 1872 r. dispensacye są dozwolone co do nauki religii, jeżeli w inny sposób uczniom wykład jej zapewniono. Völcker str. 242.

⁴⁾ Völcker. Die Reform str. 242. Nohl brak dispensacyi nazywa wprost okrucieństwem. Uwolnienie słabszych uczniów od pewnego przedmiotu może przynieść korzyść pozostałym. Zdaniem Völckera z uczniów, uczących się greckiego zalecwie 10⁰/₀ uczy się go z zamiłowaniem. Völcker. Die Reform. str. 246.

Masa uczniów, nie potrzebujących, lub nie mogąca kończyć pełnego, dziewięcio klasowego kursu nauk w gimnazyum klasyczném lub realném, poprzestałaby na progimnazyum realném. Z tego powodu zakładów tych powinno być jaknajwięcej. Uczniowie zaś ich, mieliby za pomocą dyspensacyi możność kontynuowania dalej nauki w gimnazyum realném lub nawet klasyczném, gdyby w realném uczyli się łaciny. Wskutek tego możnaby liczbę gimnazyów klasycznych w Prusach zredukować z 250 do 67. W miarę tego powiększyłaby się stopniowo ilość gimnazyów i progimnazyów realnych, bez języka łacińskiego, które stanowiłyby średnie zakłady naukowe, odpowiadające zupełnie potrzebom ludności.

Zasady, w obronie której wystąpili Völcker i inni przytoczeni powyżej pedagogowie, były zresztą już w 1878 wprowadzone w wykonanie przez Dyrektora Schlee w gimnazyum realném w Altonie. Ze zaś reforma ta okazała się pożyteczną, widać z rozporządzenia ministra oświecenia z 28 kwietnia 1881 r., które gimnazyum to uznało za—rządowe ¹⁾.

Na zasadach Ostendorfa opiera się także Vieweger, z tą różnicą, iż pierwszeństwo oddaje nie językowi francuzkiemu, ale angielskiemu, jako bardziej zbliżonemu do niemieckiego i najłatwiejszemu ze wszystkich języków ²⁾ Trudności, wypływające z zupełnie różnej pisowni i wymawiania, mogły być, jego zdaniem, usunięte za pomocą odpowiedniej fonetycznej transkrypcyi. Stosownie do tego przedstawia i on plan nauk w gimnazyum klasyczném i realném, tudzież w szkole jednorodnej. Podług tego w trzech najniższych klasach (VI—IV) byłby wykładany język angielski, jako podstawowy ³⁾. Nie sądzimy wszakże, aby plan przedstawiony przez Viewegera odznaczał się jasnością, albo żeby załatwiał kwestyę rzeczywiście palącą przeciążenia uczniów w szkołach.

Nie ulega, zdaniem naszym, wątpliwości, że powyższy kierunek odznacza się większą praktycznością, tudzież większą wartością pod względem pedagogicznym, od kierunku szkoły jednorodnej. Na poparcie pierwszego zdania można przytoczyć, że pomimo swęj względnej nowości już w niektórych krajach, jak np. w Szwecyi

¹⁾ Völcker. Die Reform. etc. str. 169.

²⁾ Vieweger. Das Einheitsgymnasium als psychologischer Problem behandelt, zugleich eine Lösung der Ueberbürdungs-Frage. 1887. str. 78.

³⁾ Nie można jednak powiedzieć, ażeby plan ten był bez zarzutu. Tak np. już sama nauka języka angielskiego mogłaby dać do tego powód z powodu dziwnego rozkładu lekcyi. I tak w klasie VI miało być 12 godz., w V tylko 3, a w IV — 2. Potem w gimnazyum klasyczném angielskiego nie miało być wcale w kl. III — 6, a w kl. II b i a tudzież I b i a, po dwie godziny, ale tylko dowolnie, w gimnazyum zaś realném miało być w III b i a po 4 godz., a w II i I b i a po 3 godz. Vieweger str. 74.

i Norwegii, a także Francyi, znalazł zastosowanie w szkołach, nie dając powodu do skarg ze stanowiska pedagogicznego. Podobna reforma w porządku nauczania języków obcych miała być też zaprowadzona w niektórych kantonach Szwajcaryi, jak np. w kantonie Berneńskim od Wielkanocy 1888 r. ¹⁾ Nie ulega też wątpliwości, że i w samych Niemczech kierunek ten znajduje coraz więcej zwolenników. Na dowód tego można przytoczyć oprócz całego szeregu nazwisk zwolenników pierwszeństwa języka francuzkiego, wymienionych powyżej, i to, że na ogólnem zebraniu liberalnego szkolnego towarzystwa prowincyi Nadreńskiej i Westfalii w 1885 r. w Bochum jednomyślnie przyznano, że potrzebną jest szkoła jednorodna o sześciu klasach, nie więcej jak z dwoma obcemi językami, i że nauka języków winna się zaczynać od jednego z nowych języków. Tak samo postanowiło ogólne zebranie stowarzyszenia niemieckich inżynierów w 1886 r. ²⁾

Nie zdaje się tylko również ulegać wątpliwości, że reforma tego rodzaju, może być tylko korzystną pod względem pedagogicznym. Jest bowiem zastosowaniem zasadniczej myśli, że w kształceniu, uczeniu, należy zawsze zaczynać od rzeczy łatwiejszych i przechodzić stopniowo do trudniejszych. Nie mniej ważną byłaby ta reforma i z tego względu, że wywarłaby wpływ na całą organizację szkół. Co do tego jednak nie ma jeszcze zgody w zapatrywaniach. Jedni, jak Ostendorf, Nohl i inni, chcieliby wspólnej podstawy w sześcioklasowej szkole, po której dopiero następowałby w wyższych klasach rozdział na kilka oddziałów. Z tego powodu można ich uważać za stronników szkoły jednorodnej, o której mówiliśmy wyżej. Inni, jak Völcker, chcieliby, utrzymując obecne urządzenie szkół, z jego podziałem na kierunek klasyczny i realny, zaradzić potrzebom młodzieży i obecnego społeczeństwa, przeważnie za pomocą dispensacji.

Przeciw pierwszemu projektowi był podnoszony zarzut, że urządzenie takich szkół byłoby zbyt kosztowne. Widocznem jest bowiem, że w każdym oddziale wyższych klas nie mogłoby być wielu uczniów, dla których jednak trzebaby utrzymywać jednakową ilość nauczycieli. Przeciw temu jednak można przytoczyć, że nie wszędzie trzebaby zakładać takie szkoły z pełną ilością klas. Dosyć byłoby, gdyby takie szkoły istniały w większych tylko miastach. W innych, mogłyby istnieć tylko sześcioklasowe szkoły, z których uczniowie, chcący się dalej kształcić, mogliby z łatwością przejść w razie potrzeby do pełnoklasowych. Ważniejszy, może być, zdaniem naszym zarzut możnaby uczynić temu projektowi z powodu niewłaściwego podziału wyższych klas na oddziały. Nie sądzimy bowiem, żeby potrzebny w nich był oddział nowych języków. Oddział ten mógłby

1) Völcker. Die Reform. etc. str. 167.

2) Völcker. Die Reform etc. str. 143.

być potrzebny, gdyby gimnazyja miały na celu dostarczyć specjalnie lingwistycznego wykształcenia w nowych językach. Tak jednak nie jest, gdyż w gimnazyjach nauka języków jest tylko *ś r o d k i e m*, nie zaś *c e l e m* kształcenia.

Drugi projekt nie usuwałby niedogodności terażniejszego systemu, powstającej ztąd, że w każdym rodzaju szkół obowiązuje inny rozkład nauk, w skutek czego uczniowie nie mogą przechodzić, w miarę potrzeby, z jednego zakładu naukowego do drugiego, że brak jest wszystkim wspólnej podstawy naukowej. Nie zatrzymując się dłużej nad tym przedmiotem, przejdziemy obecnie do przedstawienia trzeciego kierunku w dążeniach do zreformowania średnich zakładów naukowych w Niemczech.

V.

Za przedstawiciela trzeciego kierunku reformatorskich dążeń w Niemczech można uważać Paulsena, autora znakomitej historii naukowego wykształcenia w Niemczech ¹⁾, który i w innej pracy wypowiedział poglądy swoje na tę kwestję ²⁾. Za zasadniczą myśl jego można uważać to, że potrzebom obecnego społeczeństwa wystarcza w zupełności gimnazyum realne, wskutek czego gimnazjum klasyczne nie ma racji bytu. Zastanówmy się bliżej, w jaki sposób Paulsen dochodzi do tego wniosku.

Podług niego uznaniu gimnazyum realnego za szkołę ogólną stoi na przeszkodzie rozpowszechniony przesąd, że gimnazyum to nie jest w stanie dostarczyć ogólnoludzkiego, humanistycznego wykształcenia z powodu, że opiera się głównie na tak zwanych realnych naukach. Ztąd wypłynęło uprzedzenie, że gimnazyum realne jest niedostępne dla wszelkich idealnych dążeń, że jest im nawet wprost przeciwne, celem zaś jego jest pożyteczność w najzwyczajszem znaczeniu tego wyrazu. Zdaniem Paulsena zapatrywanie to jest zupełnie błędne. Jakkolwiek zaś i według niego humanistyczne wykształcenie powinno pozostać celem szkolnego nauczania, cel ten wszakże może być osiągnięty w zupełności przez gimnazyum realne. Podług przyjętego w ogóle pojęcia pod wykształceniem realnem pojmujemy wykształcenie, opierające się głównie na matematyce i naukach przy-

¹⁾ Fr. Paulsen. *Geschichte des gelehrten Unterrichts auf den deutschen Schulen und Universitäten* 1885.

²⁾ Fr. Paulsen. *Das Realgymnasium und die humanistische Bildung*. 1889. Myśli wypowiedziane przez Paulsena, można uważać za wyraz zapatrywań całego stowarzyszenia nauczycieli szkół realnych (*Realschulmänner Verein*), na posiedzeniu którego odczyt, stanowiący podstawę tej pracy, był wygłoszony.

rodzonych. Pod humanistycznym znów pojmujemy wykształcenie oparte na znajomości języków, literatury i historii. Wprawdzie w historycznym rozwoju szkół widać, że nauki realne zdobywały sobie coraz więcej uznania, wskutek czego nauki humanistyczne uległy pewnemu ograniczeniu, a prawdopodobnie ulegną jeszcze większemu ¹⁾.

W średnich wiekach bowiem istniejące szkoły łacińskie, późniejsze gimnazya, za jedyny swój cel miały lingwistyczno-literackie wykształcenie. W ciągu XVIII wieku jednak, pod wpływem nowych zapatrywań, musiały zrobić pewne ustępstwa na korzyść nauk realnych. W XIX wieku ustępstwa te poszły jeszcze dalej. Tak np. nawet pruski regulamin gimnazyalny z 1816 r. nazywa matematykę i nauki przyrodnicze trzecim głównym działem nauczania gimnazyalnego, obok języków starożytnych i języka niemieckiego. Wprawdzie później nauki przyrodnicze, pod wpływem dążenia do koncentracji wykładów, zostały ograniczone, jeżeli zaś matematyka nie uległa temuż losowi, to zawdzięczała to temu tylko, iż przyznawano jej zdolność kształcenia formalnie. W końcu jednak w najnowszych rozkładach nauk z 1882 r. znów matematyczno-przyrodnicze nauki doszły do poprzedniego znaczenia ²⁾.

Pomimo to Paulsen nie sądzi, ażeby nauki te, pomimo powolnego zdobywania sobie coraz poważniejszego stanowiska mogły dojść do zupełnej przewagi w szkole i do wyparcia nauk humanistycznych, albo pozostawienia ich na podrzędnym stanowisku. Zdania zaś tego trzyma się pomimo to, że uznaje całą ważność nauk matematyczno-przyrodniczych, którym nowożytna kultura zawdzięcza wyzwolenie się z średniowiecznych przesądów i ciemnoty, a zarazem trwałość i pewność swego rozwoju. Według niego przyszedł historyk XX wieku, jeżeli będzie chciał pisać historię rozwoju bieżącego stulecia, będzie zmuszony zacząć od opisanego wielkich technicznych wynalazków współczesnych, i wykazać wpływ jaki one wywarły na wszystkie ekonomiczne, społeczne i państwowe stosunki ³⁾.

Dla tego młodzież powinna w szkołach otrzymać gruntowną znajomość tych nauk. Pomimo to nauki humanistyczne pozostaną w szkołach kamieniem węgielnym całego nauczania.

Ta przewaga nauk humanistycznych wypływa zdaniem Paulsena z trzech przedewszystkiem okoliczności.

Najprzód uważa, że pojęcia i zdolności, kształcone przeważnie przez nauki humanistyczne, są ważniejsze od tych, na których wykształcenie wywierają stanowczy wpływ nauki matematyczno-przyrodni-

1) Paulsen. Das Realgymnasium str. 13.

2) Paulsen. Das Realgymnasium str. 9.

3) Paulsen. Das Realgymnasium str. 12.

cze ¹⁾. Pod tym względem Paulsen twierdzi, że zadanie i cele człowieka leżą w stosunkach jego do innych ludzi. Każdy jest członkiem rodziny, pewnej klasy społecznej, stowarzyszenia ekonomicznego, pewnego narodu i państwa, i wskutek tego tylko żyje życiem historycznym tego społeczeństwa, do którego należy. Stosunek do tych form społecznych jest dla każdego pojedynczego człowieka decydującym — gdyż to właśnie ludzkie otoczenie, wyrobione historycznie, jest naturalną sferą, w której żyje. Wartość każdego człowieka możemy ocenić, sądząc go według tego, jakim był członkiem pewnej sfery społecznej, czy był dobrym członkiem rodziny, jako syn albo brat, mąż albo ojciec, pan albo sługa, czy był dobrym obywatelem gminy lub państwa, o ile zżył się z życiem narodu, religijném, naukowém, estetyczném, poetyczném, filozoficzném, o ile na rozwój jego wpłynął. Ztąd wynika, że zadaniem każdego człowieka powinno być zrozumienie w ogóle życia ludzkiego, i staranie się o pożyteczny wpływ na rozwój ludzkich stosunków. Zrozumienie to wszakże daleko łatwiej osiągnąć za pomocą nauk humanistycznych, aniżeli matematyczno-przyrodniczych, pomimo to, że i te ostatnie są niezbędne dla wykształcenia ²⁾.

Druga zasada, z powodu której potrzeba przyznać wyższość humanistycznemu kształceniu, polega na tem, że posiada ono w wyższym stopniu zdolność formalnego kształcenia umysłu człowieka, o którym tyle mówiono w pedagogice, aniżeli wykształcenie realne ³⁾. Pod tem formalnem kształceniem Paulsen rozumie zdolność ścisłego pojmowania zawikłanych faktów, pewnego analizowania ich, i wyciągnięcia z nich ogólnego prawidła. Dla tego warunkiem jej jest natężona, wytrwała i wszechstronna uwaga w spostrzeganiu, pewność w odróżnieniu okoliczności nieistotnych, od istotnych, trafność w odnalezieniu zasadniczych punktów, a wreszcie metodyczna ścisłość i pewność w przedstawieniu i dowodzeniu. Jedyną drogą do nabycia tej zdolności jest w p r a w a. Paulsen wszakże sądzi, że wprawa, której uczniowie nabierają przy badaniu życia umysłowo-historycznego, językowo-literackiego, przynajmniej jest równa, jeżeli nie wyższa, od tej, do której dochodzą, badając fakty matematyczno-przyrodnicze. A ze zdaniem tem, w części przynajmniej, możnaby się zgodzić, biorąc na uwagę, że ciągle operowanie z formułami matematycznymi wyrabia skłonność do pewnej oschłości i bezwzględności w myśleniu, wskutek których nie można słusznie ocenić wielu zjawisk życia ludzkiego, nie dających się nagiąć do takich formuł ⁴⁾.

1) Paulsen. Das Realgymnasium str. 13.

2) Paulsen. Das Realgymnasium str. 15 i 18.

3) Paulsen. Das Realgymnasium str. 18.

4) Paulsen. Das Realgymnasium str. 21. Na następnych stronicach

Paulsen przytacza niektóre przykłady, do jak błędnych wniosków może doprowadzić chęć objaśniania rozmaitych faktów historycznych za pomocą takich formuł.

Wreszcie trzecią zasadą przemawiającą przeciwko matematyczno-przyrodniczemu wykształceniu jest to, że rezultaty badań tych nauk dadzą się ująć i podać w pewnych gotowych formułach, do czego nie jest zdolne humanistyczne wykształcenie. Tak np. rezultaty badań Galileusza, Kopernika, Newtona nad budową świata dadzą się wyrazić w pewnych ostatecznych wnioskach, dostępnych dla umysłu każdego wykształconego człowieka, który jednak do pojęcia ich nie potrzebuje robić tych samych, co i oni, dochodzeń. Przeciwnie do tego, żebyśmy mieli prawdziwe pojęcie o obrazie Rafaela, symfonii Beethowena, dzieła Szekspira, Kanta i t. p. nie możemy ograniczyć się na tem, cośmy o nich słyszeli. Musimy je widzieć, słyszeć, czytać; musimy do pewnego stopnia sami odtworzyć je w naszym umyśle. Wszystko to w humanistycznych studiach pobudza do samodzielniejszego myślenia.

Wykazawszy w ten sposób przewagę humanistycznego kształcenia, które winno zostać podstawą szkolnego wykształcenia, Paulsen dowodzi dalej, że gimnazjum realne może go w zupełności dostarczyć, za pomocą wykładanych w niem nauk. W dowodzeniu tem rozberra i ocenia ich stanowisko i znaczenie dla humanistycznego wykształcenia. Nie podobna nam wdawać się w szczegółowe przedstawienie jego wywodów, gdyż tym sposobem za nadto jeszcze powiększylibyśmy rozmiar naszej pracy, w każdym razie nie będzie może zbyt cennym zwrócić uwagę na niektóre przynajmniej zasadnicze jego poglądy.

Pod względem nauki języków Paulsen domaga się położenia głównego nacisku na język ojczysty, to jest niemiecki, jako na podstawę wszelkiego stylistyczno-literackiego i historyczno-filozoficznego wykształcenia. Nie idzie jednak za tem, aby na naukę tego języka przeznaczyć największą ilość godzin. Wszak serce nie jest w ciele ludzkim największym organem, powiada on, a pomimo to ożywia cały organizm ¹⁾. Idzie więc tylko o to, aby wykład tego języka był tak prowadzony, ażeby zapewniał korzyści, których dawniej żądano od nauki łacińskiego. Przewiduje wprawdzie, że nauczyciele gimnazyj klasycznych z niechęcią będą patrzeć na to, jak kamieniem węgielnym lingwistycznego wykształcenia stanie się zamiast języków starożytnych ojczysty, ale na zarzuty z ich strony odpowiada tem, że język łaciński powoli traci znaczenie jakie miał w średnich wiekach. Upředzenie do łaciny uważa jako przypomnienie dawnych czasów, kiedy język ten był językiem nauki i literatury. Ale od tego czasu już dwa wieki upłynęło. W końcu XVII wieku Niemcy były pod względem kultury krajem łacińskim, tak że najgorsze wywarło wrażenie rozpoczęcie wykładów po niemiecku w uniwersytecie lipskim przez Thomasiusa. Później nastą-

¹⁾ Paulsen. Das Realgymnasium str. 32.

pił wiek, kiedy w Niemczech były równouprawnione w wyższym wykształceniu trzy języki, mianowicie łaciński, niemiecki i francuzki. Od stu lat Niemcy stały się krajem, posiadającym jeden tylko język literacki, naukowy, filozoficzny, to jest niemiecki. W uniwersytetach i akademiach język ten stał się panującym. Cała łacińska atmosfera, która istniała jeszcze 50—60 lat przedtem na uniwersytetach i w szkołach pod wpływem neo — humanizmu, zniknęła pod wpływem wypadków 1848, a jeszcze bardziej 1870 r., które oddaliły Niemcy od razu na jakie sto lat od starożytności.

Pomimo to gimnazya nie chcą uznać tej głębokiej zmiany i pragną utrzymać przewagę języka łacińskiego. Ale rezultatem, tego jest, że uczniowie nie umieją dobrze ani po łacinie, ani po niemiecku ¹⁾.

Drugie miejsce w humanistycznym kształceniu w gimnazjum realnem należy się według Paulsen'a dwóm językom nowożytnym, to jest francuzkiemu i angielskiemu. Co do tego sądzi, że gdyby gimnazjum realne kształciło się naturalnie, stosownie do zasady z której powstało, w takim razie nauka obcych języków zaczynałaby się w niem od jednego z nowych języków. Rozwój ten jednak został skrzywiony z powodu, że przez chęć zbliżenia tego gimnazjum do gimnazjum klasycznego, niższe klasy urządzono w nich w podobny sposób. Wskutek tego pierwszym wykładowym językiem obcym i w gimnazjum realnem stał się język łaciński. Sądzi jednak, że przyjdzie czas, kiedy łaciński ustąpi tego pierwszeństwa jednemu z nowych języków. Rozpoczynanie w szkole nauki języków obcych od łacińskiego uważa jako echo bardzo odległych czasów, kiedy w szkole niczego więcej, prócz łaciny, nie uczono, dla tej prostej przyczyny że nie miano czego uczyć. Wtedy i nauczyciel nie umiał nic więcej prócz łaciny, która była językiem, nie tylko nauki, ale i szkolnym. Obecnie jednak nie jesteśmy już w tak przykrem położeniu, nie brakuje nam bowiem przedmiotów, których moglibyśmy uczyć uczniów od najmłodszego wieku. Że zaś łacina stawia wymagania, przechod-

¹⁾ Paulsen. Das Realgymnasium str. 36 z tego powodu występuje przeciwko łacińskim wypracowaniom (lateinischer Aufsatz), i uważa za zasługę stowarzyszenia szkoły jednorodnej, że potępiając łacińskie wypracowania, miało odwagę wystąpić z żądaniem reformy nauki języka łacińskiego. Oby i pruski zarząd oświeconia, powiada, zdobył się raz na odwagę i uznał wreszcie za umarłe to, co już dawno umarło. Paulsen tamże str. 37. Zgubny wpływ łacińskiego na rozwój języka niemieckiego wykazuje obszernie Völkler, powołując się pod tym względem na oficjalne dane. Die Reform str. 186—190. Kto inny znów powiada: dass das Gefühl für deutsche Sprachrichtigkeit durch den zu früh mit aller Wucht eintretenden lateinischen Unterricht ertödet wird. Bemerkungen zu dem Aufsätze Schulreform und Einheitschule. Neue Jahrbücher. 1889 str. 232.

dzące siły umysłowe uczniów, o tem wiedzieli nawet pedagogowie XVI w., ale nie mieli na to żadnej rady. Dla nas rada ta polega na tem, aby naukę obcych języków zacząć od którego z nowszych, łatwiejszego do nauczania ¹⁾. Tem bardziej zasługuje na polecenie podobna reforma, że obiecuje daleko lepsze rezultaty nauczania, języki bowiem nowe, będące w codziennym użyciu w otoczeniu uczniów, daleko prędzej są w stanie obudzić w nich zainteresowanie się, aniżeli starożytne ²⁾. Tak poważne miejsce w kształceniu gimnazyalnem należy się nowym językom nie tylko z tego powodu, że są łatwiejsze, ale i z innych, nader poważnych względów.

Pod tym względem Paulsen zwraca najprzód uwagę na wielkie znaczenie nowych języków dla literacko historycznego wykształcenia. Zwykle twierdzą, powiada on, że bez znajomości języków starożytnych, nie można głębiej wniknąć w zrozumienie własnej literatury. Kwestya jednak, czy francuzka i angielska literatura nie wywarły większego wpływu na rozwój niemieckiej, aniżeli klasyczna? Wpływ Szekspira na wielkich poetów niemieckich jest przecież głębszy i szerszy, aniżeli wpływ Homera i Sofoklesa. Żaden zaś z starożytnych filozofów nie wywarł tak potężnego, wpływu na rozwój Niemiec w końcu XVIII wieku, jak Voltaire i Rousseau. Gdziekolwiek tylko spojrzeć, na Kanta czy Herdera, Goethego lub Szyllera, Basedowa albo Pestalozziego, wszędzie widać ślady tego niezmiernego ruchu, jaki od tego ostatniego wyszedł ³⁾.

Jeżeli jednak pod względem historycznym nowsza literatura jest przynajmniej tyleż, jeżeli nie więcej, warta co i starożytna — to samo można powiedzieć o znaczeniu tej literatury dla współczesnych pokoleń. Cokolwiek mówiono o tem, że zawsze z upodobaniem zwracamy się do źródeł pierwotnych naszego wykształcenia, nikt jednak prawie w chwili wolnej nie bierze się do Homera lub Tucydysesa, Horacego albo Tacyta, ale do Szekspira albo Moliera, Dikensa albo Daudeta, Carlyle'a albo Taine'a — według upodobania. Przyczynę zaś tego łatwo zrozumieć, bo autorowie ci bliżsi są naszym uczuć, pojęć, zapatrywań od starożytnych, bo się zajmują temi zadaniami, które i nas interesują, żyją naszym życiem, dzielą się z nami naszymi myślami, a nawet może i błędami ⁴⁾.

¹⁾ Pod tym względem Paulsen powołuje się na zdanie Völkera, któregośmy wyżej rozbięrali, Lattmann'a (Programm des Gymnasiums zu Clausthal 1888), Maurer'a (Beilage zum Programm der Cantonschule in St. Gallen 1889), Schlee (Pädagogischer Archiv. 1889 kwiecień) i in. Schlee dowodzi że przesadzonem jest uważać język łaciński za wcielenie logiki, gdyż właśnie wadą jego jest brak precyzji.

²⁾ Paulsen. Realgymnasium str. 52.

³⁾ Paulsen. Das Realgymnasium str. 55.

⁴⁾ Paulsen. Das Realgymnasium str. 56.

Zresztą widocznem jest, że całe życie europejskich narodów w średnich wiekach i obecnie jest jednym umysłowo-historycznym światem. Bez względu na różność ich pochodzenia, języka, wyznania, narody te znajdują się w najściślejszym między sobą związku, oddziaływając na siebie wzajemnie pod względem politycznym, społecznym, ekonomicznym, literackim, filozoficznym i religijnym. Na tej właśnie różności i wzajemnem oddziaływaniu polega bogactwo ich kultury. Z Włoch wyszło odrodzenie nauk, z Niemiec reformacja. W nowszych czasach Francya, Anglia, Holandya wywarły znakomity wpływ na nowsze literatury i polityczne ideały. W skutek też tego można powiedzieć, że narody europejskie są członkami jednej rodziny, żyją wspólnem historycznem życiem. Dla zrozumienia jednak tego życia, tej wspólności narodów europejskich niezbędna jest znajomość nowszych języków. Jest też koniecznem, aby młodzież w szkołach już wspólność tę rozumiała, bo zrozumienie jej może przynieść wszystkim najpiękniejsze owoce. Wiadomo że narody nienawidzą się i wzajemnie sobą pogardzają dopóki się nie znają. W miarę tego jednak jak się lepiej poznały, wzrasta w nich wzajemne poważanie, a poważanie jest podstawą sprawiedliwości i życzliwości (*des Wohlwollens*). Kiedy więc polityczne i ekonomiczne stosunki prowadzą często do wzajemnych starć, kiedy prasa peryodyczna nieraz podbudza wzajemne namiętności, dla szkoły przypadło inne szlachetniejsze zadanie wzbudzać to poważanie, uspakajać namiętności, łagodzić wygórowane poczucie miłości własnej, chłodzić gorące porywy szowinizmu ¹⁾). Zadania tego jednak szkoła bez nowych języków nie jest w stanie urzeczywistnić ²⁾).

¹⁾ Paulsen. *Das Realgymnasium*, str. 57.

²⁾ Co do stanowiska zajmowanego przez język francuzki w gimnazyach austryackich porównaj. St. Rapp. *Kann der Unterricht im Französischen an unseren Gymnasien obligat gemacht werden. Zeitschrift für österreichischen Gymnasien*, 39 Jahrgang. 1888 str. 645. Widać ztąd, że w gimnazyach klasycznych dopiero rozporządzenie ministeryalne z 8 czerwca 1871 r. zaliczyło język francuzki, do przedmiotów dowolnych. W skutek tego zaprowadzono wykład tego języka, który jednak nie przyniósł pożądaných rezultatów z powodu, że w większej części gimnazyów kurs był tylko dwuletni, po 2 godz. tygodniowo. Z tego powodu deputowany Pirquet domagał się w wiedeńskiej izbie deputowanych 30 marca 1886 r. oprócz reformy wszystkich średnich zakładów naukowych, uznania języka francuzkiego za obowiązujący, a starożytnych za dodatkowe. Odpowiadając na to minister oświecenia przyznał konieczność, żeby gimnazyum dostarczało gruntowniejszej znajomości tego języka. Rapp twierdzi, że dla wprowadzenia języka francuzkiego do gimnazyum bez przeciążania uczniów trzeba by utworzyć jeszcze jedną klasę (dziwiwą). Przeciwno temu jednak przemawiają względy ekonomiczne. Niemcy i Francya, powiada, mogą sobie pozwolić na taki zbytek, będąc bogatszymi, ale

Trzecie dopiero miejsce w wykładzie gimnazyalnym zajmują, według Paulsena, języki starożytne. Pod tym względem staje w obronie języka łacińskiego, przeciwko tym, którzy chcieliby go ograniczyć na korzyść greckiego, jakkolwiek uważa, że łaciński został gimnazjum realnem tylko narzuconym ¹⁾. Posiadanie greckiego można zdaniem jego uważać za rzecz przyjemną, ale nigdy za niezbędną. Jeżeli przed stu laty nikomu nie przyszło do głowy zmuszać przyszłych prawników lub lekarzy do uczenia się greckiego, nie widzi przyczyny dla której obecnie mianoby znajomości jego od nich wymagać ²⁾. Przeciwnie łacina i teraz jeszcze musi być potrzebna, ze względów, na które już poprzednio zwróciliśmy uwagę. W każdym razie sądzi, że obecne pokolenie płynie z prądem, oddalającym go szybko od starożytności. I na dowód tego przytacza, że dawniej przed 100, a nawet 50 laty, za czasów Vossa, Wolfa, Böckh'a wszyscy wiedzieli o znamenitych filologach, wszyscy interesowali się ich pracami, a teraz nikt, oprócz filologów, nie zajmuje się nimi ³⁾.

Tym sposobem Paulsen doszedł do wniosku, że gimnazjum realne może zapewnić humanistyczne, ogólno-ludzkie wykształcenie, które szkoła winna dostarczać. Gimnazjum to stało się, jego zdaniem, faktycznie nową formą gimnazjum, przekształcenie zaś to zawdzięcza głównie temu, że przez wyrzeczenie się języka greckiego zyskało możliwość nauczania nowych języków i nauk, będących podstawą nowożytnego wykształcenia. Dla tego też sądzi, że obecny monopol gimnazjów klasycznych wyłącznego przygotowania do uniwersytetów jest niesłuszny, jest tylko wspomnieniem, pozostałością dawno ubiegłych czasów, kiedy prócz szkół łacińskich, nie było żadnych innych zakładów naukowych, mogących zadaniu temu odpowiedzieć. Zdaniem jego gimnazjum realne winno być zupełnie z gimnazjum klasycznem pod tym względem zrównane ⁴⁾.

Austria nie. Sądzimy, że interes rodziców i uczniów również sprzeciwiałby się takiemu przedłużeniu nauki gimnazyalnej. Jeżeli więc język francuzki jest konieczny, to dla wprowadzenia go obowiązkowo, należałoby ograniczyć naukę innych przedmiotów, np. języków starożytnych. W austriackich zakładach naukowych realnych jest 25 godzin francuzkiego.

¹⁾ Paulsen. Das Realgymnasium, str. 59. I teraz jeszcze w pruskiem gimnazjum realnem na język łaciński jest przeznaczona największa ilość godzin, mianowicie 54. W innych krajach na przedmiot ten wydzielono po większej części mniej godzin. Tak np. w Austrii 50, w Szwecyi 48, we Francyi 39.

²⁾ Paulsen. Das Realgymnasium, str. 64.

³⁾ Paulsen. Das Realgymnasium, str. 70.

⁴⁾ Paulsen. Das Realgymnasium, str. 71.

Możnaby ztąd dojść do wniosku, że według Paulsena i dalej będą istnieć dwa rodzaje gimnazyów, jedno z wykształceniem czysto klasycznym, drugie realne z wykształceniem niemiecko-humanistycznym, że w tém ostatniem gimnazyum, przynajmniej jeden z języków starożytnych, to jest łaciński na zawsze zostanie utrzymany. Że jednak wniosek ten byłby fałszywy, że nieodpowiadałby prawdziwym myślom Paulsena, można się przekonać z tego, co o tój kwestyi w innem miejscu mówi. W końcu mianowicie swęj historyi naukowego wykształcenia, zajmując się dalszym rozwojem szkoły realnej w przyszłości, wyraża on przekonanie, że dążenie obecnego czasu polega na stopniowem ograniczeniu języków starożytnych w szkole. Dążenie to, powiada, może być nieprzyjemnem dla wielu, którzy przyzwyczaili się widzieć w klasycznym wykształceniu podstawę w ogóle wykształcenia, ale niechęć ich nie zmieni historycznego rozwoju wypadków. Gimnazjum klasyczne, które z nauką języków starożytnych, chce połączyć naukę języków nowszych, nie da się na zawsze utrzymać. Przyjdzie czas, może nawet niezbyt odległy, kiedy uznane zostanie, że pewna znajomość łacińskiego i greckiego, nie wystarcza za przygotowanie do studyów uniwersyteckich, i kiedy to, co zwykle nazywamy klasycznym wykształceniem, przestanie być uważane za podstawę nowożytnego wykształcenia ¹⁾. Wtedy też i gimnazjum klasyczne stanie się zbytecznem i ustąpi miejsca realnemu. Stawiając taki horoskop gimnazjum klasycznemu, Paulsen zastanawia się w końcu nad sposobem, w jaki reforma ta urzeczywistni się w praktyce, w jaki dokona się przejście od klasyczno-humanistycznego do niemiecko-humanistycznego wykształcenia. Co do tego sądzi, że drogą, prowadzącą do tego, będzie z jednej strony coraz szersze przypuszczanie abiturientów realnych gimnazyów do studyów uniwersyteckich, a z drugiej wewnętrzne przekształcanie tych gimnazyów, stosownie do potrzeb takiego humanizmu. Zasada, że tylko gimnazjum klasyczne może otworzyć podwoje uniwersytetu, została już podkopana przez rozporządzenie z 1870 r., które uczniom gimnazyów realnych otwarło wstęp do uniwersytetu, jeżeli się kształcą na przyszłych nauczycieli nauk matematycznych lub nowych języków. Przyjdzie czas kiedy będzie uznane, że gimnazjum to dostarcza zupełnie odpowiedniego przygotowania lekarzom, a następnie i prawnikom. Wtedy gimnazjum klasyczne pozostanie drogą, prowadzącą do uniwersytetu, tylko dla teologów i filologów, stanowiących uniej jak $\frac{1}{3}$, wszystkich abiturientów; liczba ta témbardziej się zmniejszy, że jednocześnie z tém zmniejszy się popyt na nauczycieli języków starożytnych, tudzież że

¹⁾ Paulsen. Geschichte des Gelehrten Unterrichts, str. 762.

większość niezdecydowanych, którzy obecnie przenoszą gimnazjum klasyczne, później pójdzie do realnego. Jeżeli zaś w tymże czasie gimnazjum realne przejmie się jeszcze bardziej swoim zadaniem dostarczania humanistycznego wykształcenia, ale bez starożytnych języków, i stosownie do tego zreformuje się wewnętrznie, nie będzie przeszkody, ażeby i teolodzy i filolodzy przez nie dostawali się do uniwersytetu. Potrzebom ich klasycznego wykształcenia można będzie zaradzić przez utworzenie odrębnych kursów greckiego, miejsce zaś łacińskiego zajmie język niemiecki ¹⁾. Będzie to ostatecznym rezultatem tego ruchu cywilizacyjnego, w ciągu ostatnich czterech wieków, a mającego na celu powolne powstawanie samodzielnej nowożytnej kultury i uwolnienie się jej od bezpośredniego związku z starożytnością ²⁾. Tak więc Paulsena można uważać za najradykałniejszego reformatora średnich zakładów naukowych. Nie sądzimy jednak, żeby wszystkie jego idee wkrótce już mogły się urzeczywistnić.

VI.

Ale skończmy już raz z przedmiotem, nad którym tak długo zatrzymaliśmy się, chociaż nie za długo, zdaniem naszym, względnie do jego ważności. W zakończeniu pozwolimy sobie wypowiedzieć kilka tylko ogólnych uwag nad temi dążeniami do reformy gimnazjalnej, które przejawily się ostatnimi czasy w Niemczech.

Z tego cośmy wyżej powiedzieli można dojść do przekonania, że wszystkie dążenia reformatorskie nie wyszły prawie poza sferę teorii i nie znalazły jeszcze praktycznego zastosowania. Jedno tylko gimnazjum realne w Altonie, w którem zaprowadzono reformę w porządku nauczania języków, stosownie do zasady pierwszeństwa języka francuzkiego, stanowi pod tym względem wyjątek. Wyjątek ten jednak jest tak drobny, że nie można uważać go za przesądzenie kwestyi, za pewną wskazówkę w jakim kierunku, w jakim duchu reforma gimnazjalna nastąpi. Pod tym względem nie można nic wyrzec na pewno, gdyż jak widzieliśmy, istnieją najróżnorodniejsze zapatrywania, ale nie ma jeszcze zgody nawet względem głównych zasad, na których przyszła szkoła średnia ma się opierać.

W stanie, w jakim się obecnie kwestya reformy gimnazjalnej w Niemczech znajduje, można tylko robić niejaki wnioski, które można uważać za pewne wskazówki, co do przyszłego kierunku tej reformy. Jedną z takich, nie mało zresztą znaczących, wskazówek

¹⁾ Paulsen Geschichte des Gelehrten Unterrichts, str. 780.

²⁾ Paulsen. Geschichte des Gelehrten Unterrichts, str. 782.

jest coraz bardziej rozszerzające się przekonanie, że języki starożytne straciły wiele na znaczeniu dla nowożytnego społeczeństwa, w skutek czego nauczanie ich winno być ograniczone. Ale i co do tego nie ma jeszcze zgody w zapatrywaniach. Jedni chcieliby poświęcić język łaciński inni grecki, inni wreszcie chcieliby do pewnego stopnia ograniczyć, obydwu. Przekonanie o potrzebie tego, może nawet bezwiednie, odbija się nawet na samych filologach, stojących w obronie języków starożytnych. A na dowód tego można przytoczyć zupełnie zmienione stanowisko, zajmowane przez języki te w szkole, w porównaniu z dawniejszemi czasami.

W średnich wiekach, w szkole łacińskiej XVI w. łacina była wszystkim. Celem uczenia jej było dojście do takiej doskonałości, na jakiej stali łacińscy autorowie. Mówić i pisać jak oni, zwłaszcza jak Cycero, uważane było za ideał do osiągnięcia którego warto było skierować wszystkie usiłowania. Ztąd też i metoda uczenia była inna, miała bowiem na celu nauczanie uczniów mówić i pisać po łacinie. W XIX jednak wieku, pod wpływem neohumanizmu, zrodzonego pod wpływem Winkelmana, Schlegla, Wolfa i innych, cel uczenia w szkole języków starożytnych zupełnie się zmienił¹⁾. Szkoła zrzekła się tego niedościgniętego ideału, nauczania uczniów języka łacińskiego, tak, jak mówili nim i pisali starożytni rzymianie. Celem jej stało się tylko gruntowne poznanie i zrozumienie świata starożytnego, dla pojęcia związku, istniejącego między starożytną i współczesną kulturą. Dla osiągnięcia jednak tego nie było już potrzeba takiej biegłości w językach starożytnych, dosyć było tak je tylko posiadać, aby być w stanie zrozumieć autorów starożytnych. Ztąd też wypłynęło w nowszych czasach w Niemczech przekonanie, o którym mieliśmy sposobność kilkakrotnie powyżej wspominać, że nie należy w metodzie szkolnego nauczania kłaść takiego, jak dotychczas nacisku na gramatykę i stylistykę, ale na poznanie uczniów z autorami, że łacińskie wypracowania, mające zapewnić biegłość w użyciu praktycznym języka, zupełnie są niepotrzebne.

Że przekonania te nie wypływają z jakiegś nieuzasadnionej niechęci do języków starożytnych, można się przekonać z tego, że za ograniczeniem ich oświadczają się nawet najwięksi wielbiciele starożytnej kultury.

Dla nas nie ulega wątpliwości, że przyczyny tej zmiany w zapatrywaniach kryją się daleko głębiej, aniżeli w indywidualnej niechęci do języków starożytnych, że są bez porównania poważniejszej natury. Później, kiedy powrócimy jeszcze do kwestyi reformy gimnazjalnej, postaramy się udowodnić, że inaczej nawet być nie może, że przyczyny tego zjawiska leżą w głębokiem przekształceniu,

¹⁾ Paulsen. Geschichte, str. 530

jakiemu społeczeństwo ludzkie uległo i ciągle jeszcze ulega, przekształceniu, wymagającemu także odpowiedniej reformy zakładów naukowych. Wtedy też zwrócimy uwagę na niektóre kwestye, które w dotychczasowych głosach o reformie gimnazyów albo wcale nie zostały uwzględnione, albo nie tak jakby się należało, względnie do ich ważności. Obecnie konstatujemy tylko fakt, rzucający się zresztą w oczy każdego bezstronnego i nieuprzedzonego człowieka, że potrzeba tej reformy, przez ograniczenie języków starożytnych, coraz bardziej się rozszerza, że przekonania, które z początku były dzielone tylko przez pojedyncze jednostki, przez filozofów, pedagogów, obejmują coraz szersze koła społeczne i przenikają do najwyższych jego, decydujących warstw. Na dowód możemy przytoczyć słowa, wypowiedziane w Sztutgardzie przez obecnego cesarza niemieckiego, kiedy był jeszcze księciem pruskim: „Muszę się przyznać do tego heretyckiego przekonania, że wcale nie sędzę, ażeby tylko humanistyczne, klasyczne wykształcenie stanowiło człowieka. Przeciwnie sędzę że pod tym względem gimnazyum realnem przypa- nie taka sama, jeżeli nie większa rola w naszym rozwoju cywilizacyjnym“¹⁾. A słów tych, w obec tak śmiałej inicjatywy młodego cesarza w kwestyi socyalnej w ostatnich czasach, żadną miarą lekce- ważyć nie można.

Drugą wskazówką co do przyszłego urządzenia, średnich za- kładów naukowych, będącą zresztą tylko naturalnym wynikiem ograniczenia języków starożytnych, jest uznanie, że w przyszłej szkole średniej nowe języki winny być bardziej, jak dotychczas- uwzględnione. I to jednak przekonanie nie wpływa z jakichś przy- padkowych okoliczności, predylekcyi do jednego lub drugiego języ- ka nowożytnego, ale ze stanu, w jakim się społeczeństwo obecnie znajduje, z głębokiej potrzeby uwzględnienia warunków i żywiołów współczesnej kultury, ztąd, że potrzeba wzajemnego międzynaro- dowego, że się tak wyrazimy, porozumienia się narodów coraz silniej czuć się daje.

Za ostatnią wreszcie taką ogólną wskazówkę można uważać dążenie do takiego urządzenia szkół, aby uczniowie, przynajmniej w niższych klasach korzystali z wspólnych wykładów, dopóki bar- dziej stanowczo nie wykażą się ich zdolności i skłonności. Przez to możnaby zapobiedz zgubnym następstwom wypływającym z tego, że obecnie dzieci dziewięcio albo dziesięcioletnie zmuszone są przez wybór szkoły zrobić i wybór przyszłego swego powołania.

¹⁾ Ich muss mich zu der ketzerischen Ansicht bekennen, dass ich wirklich nicht meine, die humanistische Bildung allein mache den Mann. Vielmehr glaube ich dass in der That dem Realgymnasium zum mindesten eine ebenso wichtige, wenn nicht wichtigere Rolle in unserem Bildungsleben zufallen muss. Klinghardt. Das höhere Schulwesen Schwedens, 1887. str. 168.

W każdym razie, jakkolwiek dotychczas nie porozumiano się w Niemczech, co do ostatecznych podstaw przyszłej organizacji gimnazyów, nie ulega wątpliwości, że reforma ta, wcześniej czy później, musi nastąpić. Za rękojmię pod tym względem można uważać to zainteresowanie się ogólne społeczeństwa, tak ważną dla niego kwestyą przyszłego wychowania młodzieży, społeczeństwa, które domaga się reformy nie według jakichś a priori powziętych idei, albo jednostronnych zapatrywań filologów, ale stosowanie do potrzeb współczesnej kultury, społeczeństwa, czującego że życie jego rozwija się nie według abstrakcyjnych idei, ale potężnych cywilizacyjnych prądów, których poznanie, odkrycie, stanowi jedno z jego ważniejszych zadań. I szkoła jednak nie może być jakimś abstrakcyjnym zjawiskiem bez związku z życiem narodu. I na jej urządzeniu muszą się odbić działania tych prądów cywilizacyjnych. I ona musi zmienić się, stosownie do zmieniających się potrzeb i warunków życia. *Non scholae sed vitae discimus.*

PROBKI NIEFORTUNE

Socyalizmu — Komunizmu.

PRZEZ

Wielisława.

Nie zmokniemy, bo oto karczma świętych, świętobliwych, po-
bożnych!

Tak wołał z nieudaną radością przypadkowy mój towarzysz
podróży, natrzęsając się z olbrzymiej czarnej, burzowo-gradowej
chmury, co nam od półgodziny zagrażała nad głowami.

Jakóż zaledwo że zdążyliśmy schronić się do obszernego za-
jazdu, wicher gwałtowny wstrząsnął jego posadami, deszcz lunął
jak z cebra, z towarzyszącymi grzmotami, piorunami.

Wypadnie tu chyba zanocować mówilem, oglądając się po izbie.

Mogę panom ofiarować oddzielny pokój, odezwała się czystą
polszczyzną hoża tłusćciocha szynkarka z poza rodzaju bufetu, do-
tykającego jej prywatnego mieszkania.

Gdzież może być człowiekowi, jeśli nie w Niebie, lepiej a
przyjemniej, a tu wszakże przybytek świętych, odpowiadał mój to-
warzysz.

Zachichotała się na ten dowcip szynkarka, pokazując szereg
białych ząbków, a ja zadysponowałam dla nas herbaty.

Tylko nie tój, co piją święci, poprawił mój towarzysz, a takięj,
co pani dla nas grzesznych z samowaru, kiedy chcesz, umiesz dobrą
przyrządzać.

Towarzyszem moim był pisarz gminny, niedokończony pra-
wnik z Szkoły głównej, człowiek czytany, wesoły, przyjemny. Za-
brał się ze mną na moję bryczkę, posłyszawszy, że jadę do Łodzi,
czego wcale nie żałowałem; bo przez to właśnie, iż urzędował w tój
okolicy, a jeszcze wtedy przy gminie były sądy, znał tutejszych lu-
dzi, zwyczaję, stosunki na palcach i tём mnie, całkiem obcego stro-
nom, przez drogę zabawiał.

Po kilkakroć tak hojnie sypane denominacye „Ś w i ę t y c h“ były dla mnie zagadką; domyślałem się, że są sarkastycznie ciskane na ludzi, co wcale na ten przydomek nie zasługiwali; dlatego skorosmy nad herbatą zasiedli, spytałem:

Co pan wspominałeś, że tu ma być przybytek świętych? — widzę izba karczemna jak każda. Jest szynkwias, baryłka z gorzałką, butelek pełno, szynkarka, która z niebem wcale wspólności nie ma, w kącie estrada dla muzyki, na estradzie potężna spoczywa m a r y n a ¹⁾. Święci widać przy jęj hałasie tańczą.

Nie, — odrzekł pisarz, my jedynie jesteście w kolonii świętych. Żaden święty, ani święta nie tańczy, chyba pod przymusem, jak Misio na łańcuchu, oprowadzany przez cygana. Właściwie źle nazwałem tę karczmę przybytkiem świętych, bo oni urzędownie ją przezywają: j a s k i n i ą b e l z e b u b a.

Widzisz pan, prawil dalej, nad tą naklejaną na ścianie wystawą wzorów płócienek domowej fabrykacyi, w jakie wolno się odziewać córom i matkom, należącym do społeczności świętych, a jakich ich mężczyźni mają używać krawatów i chustek od nosa, dojrzyysz pan cały, muchami upstrzony nadpis z prorocstwa Habakuka, ulubionego im chyba nad samego Chrystusa Pana. Nadpis ten ma odganiać złe i zgorzenie, coby tu zagnieździć się chciało.

Najprostszą rzeczą, odrzekłem, byłoby nie budować karczmy, przybytku belzebuba.

A kiedy to propinacya, odrzekł pisarz, z tysiąc rubli czyni, opędzają oni nią wszelkie podatki gminne, składki, a na punkcie pieniędzy nie ma drażliwszych od tych świętych.

Któż więc propinatorowi wódkę, za którą płaci, wypija.

Niby to się mówi oficjalnie, że przejezdni obcy, ale pije z nich wódkę, piwo każdy — tylko nie w karczmie, i nie w obec n y c h. Konstytucya téj małej republiki komunistów, socjalistów. niby demokratów w socyalnych, powierzona ich starszyźnie do zarządu, dozwala każdemu pić, ile jest z m u s z o n y w p o d r ó ż y, p r z y s t o s u n k a c h z n i e c z y s t y m i w y z n a w c a m i b e l z e b u b a, b e l i a l a, to jest z nami resztą ludzi przy prowadzeniu interesów republiki nawet się upić można i wolno.

Zresztą łagodny kodeks komunistów dozwala przecie każdemu chować kwartę spirytusu w domu, jako lekarstwo — do smarowania. Nawet wypić za domem w polu, przy ciężkiej pracy, przy mdłościach tyle kropel napoju belzebuba, ile do skrzepienia sił potrzeba, wolno.

Zaczęli mi się podobać ci, jak pan, szykanując nazwałeś święci. Nie piją, nie tańczą, kobiety nie wyciągają mężów na wydatki, na stroje.

¹⁾ Basetla.

Powiem panu lepiej: mówił mój kompan pan Walery z żoną. Nigdy nie nadskakują moznym, mówiąc do nich, nie wolno im przemawiać inaczej tylko przez Ty albo Wy. Nie zdejmują czapki. -- Mimo to, jak mają interes, liżą łapy moźnych, chwytają za kolana, mnie nawet po rękach całują, a co już każdy naczelnik dla nich, to już tytułem Ekscelencyi go na pewno obdarowują.

Więc to są obłudnicy, fałszerze, hipokryci nic więcéj.

To, że naczelników tytułują Ekscelencyą, mała rzecz, odpowie p. Walery. Co cesarskiego oddać cesarzowi, rozkazał Zbawiciel świata.

Ale to ciemnota, gruba ze swéj zastołości, przytem lichwiarze, piniacze—kwerulanty, skarżyciele, praktykujący wiele przestępstw w tajemnicy, o których my, nie tak religijni i poboźni a tylko grzeszni chrześciance wyobrażenia nie mamy—szczęśliwie: dzięki opacznemu tłumaczeniu Habakuka. I dla czegoż pan ich przezwiał „Świętymi?”—zagadłem.

Oni, odrzekł, w swéj skromności przezywają się społeczeństwem jedynie „F r o m m e” (poboźnych), ale ogół, wyśmiewając, głosi ich za familią świętych i tego ludowego przezwiska używam, mówiąc do pana. Ależ—oto p r e z y d e n t i v i c e p r e z y d e n t republiki socjalistyczno - demokratyczno - komunistycznej. Pozwól pan, że zaproszę do naszego stołu tych pijaków, a od nich lepiej, czego chcesz, aniżeli odemnie się dowiesz.

Spojrzałem na wchodzących. Obaj jegomoście w granatowych po kostki surdutach, z czerwonemi parasolami w rękę, stanowili ten znajomy nam wszystkim typ Gotliebów, landsmanów, który tak doskonale nieporównany Kostrzewski olówkiem swym odtwarza. Po reprezentantach najwyższej władzy między swoimi, wyznaję, iż spodziewałem się czegoś lepszego.

Brakowało im jedynie tradycyjnej porcelanki z wizerunkiem Bismarcka w gębie, bo prorok Habakuk nic o paleniu tytoniu nie wspomniał. Tabakiery jednak z sobą, jak mówią, dla obcych, objaśniał pisarz, dla poczęstunku noszą. Reprezentanci ci gminy poboźnych mają zresztą tyle przywilei nad swoimi, jakby dyplomaci, co urządzają stosunki międzynarodowe, traktują z obcymi, że im wszystko wolno; reszcie znowu nic nie wolno, bo i kichnąć trzeba prawidłowo wszystkim, co siedzą w domu, poddani ich władzy i kontroli niezmiernie tyranicznej.

No Herr Gottfried i Herr Ozeas, zapraszał pisarz, siadajcie z nami. Ten pan, mówił, wskazując na mnie, w życiu nie widział „F r o m m e ’ g o”. Zacni ludzie ani słowa—samego Boga by okpili, gdyby mogli, szepnął mi na ucho.

Pani gościnną, wołał na szynkarkę, podać tu dla ochłody tych panów po kieliszku araku.

My by wolicz „e c h t b a j r i s z”, odpowiadali dopełniając ceremonii wycierania nosa, najprzód palcami, potem olbrzymiemi kra-

ciastem i chustami, czarnemi w punkta białe. Niech będzie „echt bajrisz“, zgadzał się p. Walery, dodając: to echt znaczy piwo bez wody dla nich starszyszy rezerwowane, bo obcym wody dolewać można, ile chce propinatorka.

Do jakiej sekty protestanckiej panowie należą spytałem, gdy między nami zasiedli.

My kein Z e g l a, odpowiedzieli obaj. My F r o m m e n — g e m e i n e żyjemy, rządzymy się podług ksiąg Habakuku.

Albo oni wiedzą, czém są? te hebesy, przerwał pan Walery. Odpowiadając na to pytanie, każdy inaczej według interesu w sądzie, przed rekrucką komisją, podają się za Memnonitów, że to im ani przysięgać, ani strzelać do ludzi nie wolno niby. Kiedy chcą jakimś szlachcicowi, co ma ziemię na sprzedaż, się przymilić, powiadają, że są jakby słowianie, bo bracia w Chrystusie — Morawczycy.

Uczeni panowie w Łodzi, co się na tém znają, zapewniali, że to są Z i n z e n d o r f i a n i e czasami Herrnhuttami przezywani.

Milionowy majątek ten hrabia Zinnendorf stracił na urzeczywistnienie tych socjalistyczno-komunistycznych mrzonek. Wprowadził je w życie, w czyn, a te obskurusy nawet o nazwisku dobroczyńcy nie wiedzą. Wiedzą jedynie o Habakuku.

Ileż to ksiąg ten wasz Habakuk, profet, napisał, spytał siedzących nagle.

Szedemdziesiąt i szedem, odpowiedzieli śmiało obaj.

Gdzież one są? pytał ich ponownie.

Jednę tylko odszukał doktor Martin Luther, ztąd cały jego rozum, odpowiadali po krótkim namyśle. Ta leży in Berlin — w oprawa cała z dyamentów, my tylko mamy ich kopią, oprawną w drzewo, k o e n i g s h o l z prawdziwy.

Najlepiej wiedzą o Fryderyku II pruskim, co ich tu przesiedlił i oddał im po zaborze kraju za nic, za darmo do wytrzebienia niebotyczne lasy, sięgające czasów Jagiellonów nibyto mieli oni nas niemczyć, w rzeczy zaś, że niecierpiał w swém państwie sekciarzy komunistów. To też każdy z nich ma portret nad łóżkiem tego filozofa monarchy do adoracyi.

Prawda, że der alte Fryc, to święty? zwrócił za pytanie do nich, do prezydenta, viceprezydenta tej miniaturowej republiki socjalnej.

Ja! Ja! Szwenty. Ganc richtig Szwenty, odpowiadali, wznosząc ku Niebu głowy bez wahanía.

Po tym rodzaju kanonizacyi spytałem zastępcę prezydenta, który mi się wydawał inteligentniejszym nieco, lepiej rozumiał po polsku, a mniej był przesiąknięty arakiem, bawarem — Ozeasa.

Jakżeż u panów ziemia jest rozdzieloną? własność jest wspólna.

Gott bewahrel zaoponowali obaj.

Zemie należysz do Boga, co ją stworzył. — Zum König, co ją nam nadał i do Gemeine dopiero.

Więc właśnie zarządzanie nią, własność jest spólna.

Gott bewahre!

Keine spółka, zawrzeszczeli obaj, poruszając się na stolku, każdy z nas gospodarzy ma sechs Magdeburger huben—Niewolno więc wyjąwszy prezydenta, viceprezydenta i kilku Vornehme, co z nimi ciągną arak, bawara, objaśniał nielitościwy pan Walery, doskonale ich urzędzenia znający, bo ci dysponują sukcesyami po zmarłych a jeśli syna pierwородnego nie ma do sukcesyi, wdowy, sieroty, idą na służbę, ich zaś grunta między siebie rozdzielają panowie prezydenci. Czy być może zawołałem?—W Republice demokratyczno-socyalno-komunistycznej są m a j o r a t y! przywilei jak widzę, pełno!

Nie inaczej, rzekł pan Walery. Błazny ciemne ludzie obełgują, aby nie dostrzegli ich tyranii.

Kobieta u nich wykonywa najcięższe roboty. Często orze, zawsze włości sobą brony, kobieta sieje, młóci, a oni schodzą się czytać Habakuka niby - a w rzeczy, piją przy gawędce w istości arak, przynoszony w kieszeni, bo w tym proroku co chcą wyczytują i tam ma być powiedziane:

„Czujesz się mdłym do życia, to siły pokrzepić jesteś obowiązany“.

Najgorszym los wdów, sierot, zaprzężonych do ich służby. Wszyscy nimi pomiatają, dbając więcej o utuczenie wieprzaka, aniżeli o ich najprostszą strawę, która się im za ich pracę ciężką słusznie należy. Tacy też są z nich niby toleranci, spytaj się panich o to.

Namówiony spytałem:

Panowie zapewne pogardzacie, jesteście nieprzystępni obcym, co nie są waszego wyznania.

Gott bewahre! zaręczali. A co nam do tego, jak kto chce duszę swoją zbawić i oddać czystą Bogu. Chrystus był tolerant, Habakuk tolerant,—i my ganc tolerant.

A dlaczego, pytał pisarz, nie chcecie świadczyć na waszą Zuzannę, że ona nagotowała trucizny dla syna za to, że się chciał żenić z katoliczką. Ona bez was i tak do fortecy pójdzie, zaręczam, bo sami żydzi, co jej sprzedawali truciznę to zeznali, i prokurator wziął te rzeczy ad coram.

Jeśli pójdzie do festungu, odpowiedzieli obaj, wnosząc do Nieba oczy, ręce,—to widać chciał tego Bóg i Habakuk, Jego prok—bo Zuzanna to jak dziecko niewinne.

Ładnie niewinne, odrzekł, albo ja to nie wiem, żeście ją obaj trzymali w Łodzi na stancyi. Inspektor policyi tamtejszej dawno mi o tém, śmiejąc się, opowiadał.

Inspektor policyi aus Lodz, to wielki pan, ale my pokorne Fromme; Zuzanne to komplet niewinne.

Cóż panowie, przerywając, robicie? spytałem, z nadmiarem ludności, bo jęj wciąż przybywa, ziemi zaś nie; o tém, panowie ko-

muniści zbytnio wszyscy zapominacie, normując ludzkie stosunki w miarę posiadania gruntu, to fałszywe. Ci co mają pieniądze objaśniał mnie pan Walery, niebardzo o szczęście podlegania rozkazom pana Gotfryda i Ozeasa dbają, wynoszą się do miast, trudnią się lichwą, prowadzą handel, fabryki, dochodzą nieraz do milionowych fortun. rzadziej, aby zakładali nowe świętobliwym gminy, albo kupowali dobra, bo się zanadto milują w przedsiębiorstwach, które dają wysokie procenta. Więc i tu pieniądź, kapitał, jest wszystkim, mimowolnie głośno zauważyłem.

Kto go ma, jest mu wszędzie dobrze, bez niego wszędzie źle, odrzekł, śmiejąc się, mój towarzysz podróży, widać, że inaczej na świecie już nie będzie, kiedy społeczność świętych nawet bez tego urządzić się nie potrafiła.

Ale cóż rowią z zbiedniałemi, podupadłemi, ubogiem i? spytałem. U nas, odparł nie bez dumy pan Ozeasz, ubogie to wcale nie ma, ubogi to od nas fort, tu takich nie trzeba wcale—fort weg, dalek o! wymawiał to z taką siłą, oburzeniem, jak sławne a u s r o t e n Hartmanna.

Ganc natürlich, popierał go prezydent republiki, Gottfried.

Kto biedny, a żebra, to grzecha, Wun pewno pijak, łajdak, próżniak!

Kto żebra to ciężko grzecha, bo kto żebra, to i ukradnie, i zabija, więc fort, fort. Niech idzie do dyabła. daleka.

Jedna więc społeczność prawdziwie chrześcijańska, pomyślałem co zna współczucie dla upadłych i pisze po przytułkach dla nich: Res sacra miser.

Cóż ta wasza religia? na wpół zdziwiony pytałem.

Nasze religie, objaśniał pan Ozeas, to czysto Ewangelium po dług ksiąg profeten Habakuka. Nie ma tam nic co powymyślali katolickie pfaffen (księża). Oh nie!

To Natur—religion, Hercens—religion, religia serca.

Polega na tém, dodawał pan Walery, że się gromadzą w dużej sali, z gankiem w około jak w bóżniicy dla kobiet, i tam piją herbatę z pieprzem i cynamonem, przegryzując bułeczkami, które świętą komunią zowią. Śpiewają potem psalmy. Niekiedy kto z natchnionych, mężczyzna, kobieta czy dziecko, wszystko jedno, byle poczuło w sobie ducha prawi kazanie, przy którym wzdychają, płaczą, zasłaniając twarz rękami. Ja! Ja! przywtarzali i Fromme obaj, bo my miecz naturliche Feste nie żadne pfaffen-komodie.

My miecz—Winter-, Frühlings-, Sommer-, Herbst- Feste od pora roku. My miecz—Vater fest, Mutter fest, Kinder fest, Wittwenfest dla wdowa. Ale armenfest, święta biednych nie ma przerwałem.

Bo u nas ubogie nie ma—odpowiadali, zaręczając: ubogie fort.

A i święty bezzennych u was nie ma, wtrącił mój towarzysz.

Bo takie hultaje stare kawalery, jak unserer Sekretaer, odrzekł jowialny pan Gottfried, nie ma—Gott bewahre! Jak klopak

ma lat oszemnaszcze, to mu dobieramy taka żiewkę, i dajemy szlub zara.

I czy chce, czy niechce żenić się musi! pytał pan Walery.

Byle bił zdruf, ganc natürlich, odpowiadał pan Ozeas, a od czego młoda smyk, żeby nie słuchoł starszyzny, a czwarte przykazanie, takiego zaraz Fort.—Fon. Kto Vornehme nie słucho, obraża Boga, tedy jest Luder, Schurcke, takiemu dajemy postronek, żeby szedł do lasu i lepiej się powieszył. A nie to fort, niech do gmina ani zajrzy.

A cóż robicie? spytałem z tymi co do małżeństwa niezdatni, chorowici.

Jak my, die Vornehme, obejrzymy ich jakby na Supra-rewizie, co który chora, to jeśli bogaty, to go żenimy z druga taka chora, żeby majątek został przy gmina, a jeśli biedne, hołota, to zaraz fort do miasta, bo takie ludzie, to i na służbę niezdatne u nas.

No ale już czas, zawołał pan Walery na szynkarkę, po tylu kufiach bawara, co pochłonęli, podać im po lampce araku. Zaraz się zrobią przyjemniejsi, weselsi, dodał mnie pocichu, aniżeli po tém ogłupiającym trunku Gambrynusa króla.

Wasza religia, rzekł przez czas co arak spełniali, dla tego mi się podoba, że pić pozwala.

Gott bewahre! tłumaczył pan Ozeasz. U nas napisane: kto pije, to się oddaje w moc trzym dyabłom—Lucyfer, Belzebub, Astaroth.

A dlaczego? pytał nietościwie pan Walery, niemal codzięń pijecie? do kancelaryi nawet często napici przychodziecie.

Ist ganc was anders, objaśniał dyplomata, teolog gminy Ozeas. My tu na świecie jesteśmy—als Kurator interesów gminy. Cóż robisz? kiedy u was katolihen, wszyscy mają dyabła astorotha w gardle, co piez pragnie. Nas dwóch, was tylu.

Jak z jednym z was chociaż Fromme się rozmówi, a z drugim trzecim, to już pijany. Bez chleba, czapki, dukata, a kieliszka na świecie nic nie zrobisz. Tak w księgach Habakuka wyraźnie stoi wypisane.

Nie przyjdzie do was pocieszyć z złego stanu rzeczy na świecie jaki prorok? zagadł pisarz.

Bo, objaśniał mnie pan Walery, u nas era proroctwa zamknięta. My katolicy nie potrzebujemy już proroków. U nich byle szarlatan wymowny, to prorok; przewraca im cytacyami z Habakuka głowy.—Naturalnie takimi, co ich w Biblii nie ma.

Był tu taki zręczny żydek, neofita, rodem z poznańskiego, nawet z polskim nazwiskiem, który im przepowiadał blizki koniec świata, a tak wymownie i przekonywająco, że oto pan Ozeasz, sądząc, że nie prezydent, a on odegra rolę Noego, zaczął budować arkę.

Hi! hi! hi! zaczął się śmiać pan Ozeasz, ale ja w ta arka nigdy pan Sekreter nie zabrał z sobą, boby pod jego grzechu utonęła. Jeszcze więcej im nawarzył bigosu, drugi prorok, który przybył aż z Ameryki; ich kobiety mało nie oszalały pod wpływem jego inspirowanych kazań, w których zawsze na mocy ksiąg Habakuka fikcyjnych, obiecywał im, że ich wszystkie za sobą do nowego Elizeum zaprowadzi, aby ich raz od brutalstwa ich mężczyzn uwolnić.

Jak są skąpi, tak hojne sypali składki, aby go się czempredziej pozbyć, aż sprytny burmistrz z miasteczka Brzeziny wykrył, że ów amerykański prorok, jest tylko szklarzem z Kalisza, który się przeł kożą, co go czekała, tam ukrywał. Na tém się ta cała awantura skończyła.

No a teraz pani gościinna wołał na szynkarę pan, Walery; po-dać nam tu kieliszków i flaszkę Eliasza proroka oli wy, wypijemy wszyscy zdrowie tych szanownych tolerancyi i wolności sumienia reprezentantów.

Ja! Ja!—Wir sind tolerant przytakiwali, belkocząc sekciarze obaj. My nie jak Herr Sekreter, my się nie szmiacz, że kompanie tu przechodzą do Częstochowy, patrzacz cuda. Owszem otwieramy im do odpoczynku nasze stodoła. Czemu nie? jak richtig w karczmie i za nocleg nam dobra moneta płacizic. Ganc solide und reelle—to poczciwe ludzie, co płacizic.

Ow biblijny trunek, pokazał się likierem waniliowym najlichszej fabrykacyi, ledwo że mogłem go przełknąć pół kieliszka. Możesz pan się nie zmuszać, szepnął mój kompan. Oni łakomi i chciwi, choćbyśmy nie pili, nie będą zważać, wytrąbią co do kropli; byle im to przyszło darmo.

Ja chcę doprowadzić tych przywódców republiki, aby nam zaśpiewali sprosną—niby biblijną — piosenkę. Czém to wąż kusił Ewę w raj, potem żeby zatańczyli, jak to król Dawid nieboszczyk przed arką czynił, pokazując, że i powaga tańczy.

Nie przyszło wszakże do tego, bo obaj ci miejscowej teokracji reprezentanci, uczuli się tak znużonemi, że wkrótce słyhać było, jak w alkierzu szynkarki chrapali, nie chcąc się pokazać przed swymi—pijanymi—aby się przespać.

Czy też pani, spytał Walery propinatorki, aby za to, co zjedzą, wypija i tyle ambarasów, dobrze płacą.

Święci nie są od tego, aby płacili, uśmiechnęła się propinatorka. Raz ułożyłam rachunek—powiedzieli, że na uchwalę gminnej każą gminie zapłacić, bo to w jój interesie zbytkowali, pili, nieraz w podróż po kilka flaszek do kieszeni zabierali.

Ale jakoś do tego nie przychodzi, i trafić nie można do ładu. Daj mi pani ten rachunek, rzekł pisarz, a zaręczam, że z chciwców wydusimy zaraz.

Nie dam go panu, boby się na mnie mścili, rzekła, a przy podpisaniu kontraktu o propinacyą, po cichu w cztery oczy wymówili,

że co im się tu u mnie skonsumować zdarzy, będą mieli darmo. Nie sądziłam tylko, aby „Fromme“ mogli codzień zaglądać do karczmy. Czynią to zapewne z obowiązków kontrolowania, czy trunki dobre i czy podróży ma wygody, śmiejąc się wtrąciłem.

Kontrolera nie ma przecie darmo, dopowiadał pisarz, przed zaśnięciem, mówiąc do mnie.

Pod tymi blichtrami, tynkiem biblijnego pietyzmu, niby socjalistyczno — demokratyczno — komunistycznego układu ani się pan domyślasz, ile się nędzy moralnej ukrywa i mieści.

Naturalnie bez biblii i Habakuka byłoby jeszcze gorzej, — tak przynajmniej od czasu do czasu coś mędrszego po za swój grubo-materiałny pozytywizm dosłyszają. Chociaż znowu co moment cytują z pisma i całkiem ponaginane i po przekręcane teksta.

Nie uwierzyłbyś pan np. jak dalece są despotami dla żon, dzieci, — a tembardziej dla służących, których uważają za niewolników, o tyle mających prawa bytu, o ile są posłuszni swemu panu — przemawiają do nich z pogardą i dumą, cytując z ksiąg mądrości: dla osła obrok i brzemię. Dla ciebie kij, różga i chleb. A już to żadnemu by nie wyperswadował, że nie ma w Habakuku przysłowia: u kobiety włos długi, ale rozum krótki.

Umieją z tekstem na ustach, podstępni, być mściwymi, nieubłaganymi w swym gniewie. Kilka tu przed sąd nasz przychodziło spraw o podpalanie wiatraków, psucie młynów w okolicy, zatrucie pastwisk, aby wchodzące w szkodę konie lubbydło padło od razu: podpłowywanie piłką z-sprężyny zegarowej drzew, aby uschły. Ale że przysięgać im niewolno a solidarność tak wielka między nimi, że żaden z gminy nic na sąsiada nie zezna, choćby dziesięcioletni dzieciak, dla tego wykrycie tych łotrowskich sprawek niezmiernie trudne. — Ztąd w statystyce kryminalnej cyfrą mogą uchodzić za świętych.

Pić. to pije z nich każdy, jak mu ofiarować darmo, że nie zapłaci; ale są szczególnie amatorowie tajemni gorzalki, co jęj w usta nie wezmą w szynku, przy kim, w domu, ale do lasu wychodzą z flaszkami w kieszeni, uważając że to podróz: a w podróży wódką pokrzepić się wolno. Żebyś pan zobaczył, ile są w stanie pochłonąć tłustej wieprzowiny, anibyś pan przypuścił; obzarstwo swoje tłomaczą tem, że Habakuk kazał tępić zwierzęta nieczyste, a zjadać, to tępić.

Leniwcę. — ciężkie prace składając na kobiety i dzieci, są arcy-mistrzami lichwiarstwa; przez lichwę do niezmiernych dochodzą fortun.

Swojemu w gminie, choćby umierał z głodu, nie pożyczą chyba w tajemnicy na zastaw. Habakuk bowiem miał w dyamentowych księgach pisać: kto ma długi, nie wart życia — gardzą nim własne sługi.

Mieliśmy sprawę, gdzie taki „F r o m m e“ (pobożny), pożyczł biedakowi, chłopu naszemu dziesięć rubli. W procentie miał zapewnione aktem w kancelaryi: na kartofle sto prętów. Swoją drogą—co rano wypijał od niego kwartę mleka lub piwa. Co niedziela kieliszek gorzałki i jeszcze go zapozwał do nas, po latach trzech, o zwrot sumy z procentami. Sumę musieliśmy zasądzić, ale od procentów odsadziliśmy.

Czytałem wiele o absolutyzmie rozkazów starszych u Jezuitów. Dziś elegancki salonowy kaznodzieja w Paryżu dostaje rozkaz jazdy od generała do Kochinchiny, i dla zbawienia dusz spełnić go musi. Coś analogicznego F r o m m e mają. Są ich kolonie całe nad Wołgą, fundowane tamże za pozwoleniem cesarzowej Katarzyny II, objęte ogólnem mianem S a r e p t a, z kąd sławna musztarda. Otóż gdy w Sarepcie rzeźnika brakło, kazali tam jechać z rozkazu znanego nam Gotfryda, prezydenta republiki — panu Wildt, bardzo porządnemu i majątnemu człowiekowi, dobrze mi znanemu, który przez miłość tylko dla żony z tej sekty—został świętym. Długo się wahał. Żona fanatyczka „F r o m m e“ była zdania, aby wszystko zmarnować, jechać do Sarepty, byle starszyszy rozkazom zadosyć uczynić. Namówiłem Wildta, aby się wyprzedał, inaczej byłby ekskomunikowany, niktby u niego kiełbas nie kupował i udał że jedzie gdzie każa. Tak zrobił, usunął się z miast, bezpieczny od ciosów mściwego bractwa. Żałuję, mówiłem zaspiając, że nie mogę bo zadaleko mi, przysłać tu moich synowców, p r z e w r ó c o n y c h g ł ó w, zapaleńców do reform socyologicznych; którzy niestety więcej Saint-Simona, Owena, Blanka studyją aniżeli potrzebnych im do egzaminów i dla chleba Cujasa, Galliena, czytali.

Wszyscy oni marzą przede wszystkim o zaprowadzeniu dobrobytu ogólnego, szczęśliwości niemożliwej na tym padole leż i placzu zapomocą reform swego wynalazku, im świeższych, mniej wypraktkowanych, tem według nich skuteczniejszych. Niechby się tu naocznie przekonali, na czém spełżył miliony, ofiarowane na ten cel przez szlachetnego serca socyalistę, jakim był niezawodnie hrabia Zinzendorff.

Tymczasem gmina prawdziwie chrześcijańskiego ustroju jakby skała z dyamentu, całej tej powodzi nowatorstwa się oparła; jedna co stoi, stać będzie, bo w niej królują rzetelnie te dwie siostry: p o b o ż n o ś ć i p r a c a—bez sekciarskich reguł.

Zapominasz pan, dodał mój towarzysz, o potrzebie autorytetu władzy, zwierzchności, porządku, potrzebniejszych obecnie więcej, aniżeli kiedykolwiek; w czasach, gdzie wszyscy chcą panować, rozkazywać, poprawiać, a nikt słuchać nie chce — pomimo że już temu lat dwieście jak nasz Maksymilian Fredro pisał:

„Narody stoją prawem, prawo posłuszeństwem, posłuszeństwo zwierzchością. Zwierzchność bezpieczeństwem“.

Bez tych kardynalnych podstaw wszelkiej socjologii wszystko jest mrzonką i dzieje się to, co w teatrze, ogarniętym pożarem. Niech wszyscy, wychodząc pilnują porządku, względności dla drugich—a wszyscy ocaleją: przeciwnie, nieładem, tumultem, samowolą, jedni drugich poduszają i głowy potracą.

Co do tego, co pan mówisz, żeby młodzi socjologowie nasi przyjechali tu zobaczyć te niefortunne próbki socjalizmu-komunizmu, wątpię iżby ztąd miał być jaki skutek, lub dla nich pożytek.

Najpierw ci panowie „Vornehme“, nie dadzą się im poznać, tak jak mnie z swych sprawek, w codziennym powszednim stosunku. Będą śpiewać wcale zgodnie psalmy, uwienczą przybyłych różami, najładniejsze dziewczęta kwiaty pod ich nogi sypać będą, ot i finita z wyklęła komedia—może w końcu pan Ozeasz palnie mówkę, aby w niej siebie i swoich pochwalić. Znam ja ich dobrze. Zresztą choćby ci panowie młodzi, znam ich również nieźle, siedząc tu dłużej, dopatrzyli jakich braków, powiedzą sobie: My pocznijemy lepiej, a że nie mamy milionów hrabiego Zinzendorfa, weźmiemy ich od tych, co je posiadają. Tu zamałołożono pieniędzy a pieniądz i czas a rozum wszystko zwyciężą.

To samo powtarzają ciągle Gottfried z teologiem Ozeaszem.

Wer hat Geld, Zeit und Verstand, guten Sinn, der gewinnt czyli zostanie niezawodnie bogatym lichwiarzem, co praw Bożych nie zna.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA

„Życie artysty“, przez Juliusza Breton.—Ustępy z pamiętników Talleyranda, ogłoszone w angielskim dzienniku „Times“—Protestacya księcia Broglie.—Zapowiedziane reformy w uniwersytetach francuzkich. Mowa Renana, w imieniu kolegium francuzkiego, przy wydobyciu zwłok Mickiewicza w Montmorency.—Wystawa rzeźb i obrazów na polach elizejskich.—„Odrodzenie we Włoszech“ Munkaczego.—„Sufit do ratusza“ Henryka Levy.—„Lady Godiva“ Juliusza Lefebre.—„Wyścigi w cyrku rzymskim“ p. Checa.—„Sonata przy świetle księżycy“ p. Benjamin-Constant.—„Niewiasty u Grobu Zbawiciela“ p. Bouguereau.—„Pracznica i ostatnie kwiaty“ Juliusza Breton.—Portrety Bonata i Wenkera.—Artyści nasi na wystawie: Pani Bielińska, panna Emilia Dukszyńska; pp. Rejzner, Ciesielski, Kowalski, Przepiórski, Wojciech Kossak. Rzeźbiarze nasi: pp. Marcinkowski, Bogdański, Boryszewski, Zawiski. Pani Andriolli i panna Aniela Wisłocka.—Salon na polu Marsowém.—„Bitwa pod Jeną“ Meissoniera.—„Sztuka i natura“ Puvisa de Chavannes.—„Wykład chemii“, obraz dekoracyjny do Sorbony l'Hermit'a.—„Święty Marcin“ Lerolla.—Portrety Carolusa Duran.—„Góralki“ p. Wacława Szymanowskiego.—Opera Berlioza: „Beatrice i Benedykt“.—Stuletni obchód Lamartina.—„Pamiętniki marszałka Mac-Mahon“. —„Paryż i wybrzeża Normandyi“ p. Chmieleńskiego.

Pojawiła się w tych czasach książka nadzwyczaj zajmująca pod tyt. „Życie Artysty“. Jest to autobiografia Juliusza Bretona, jednego z najznakomitszych malarzy francuzkich, który po sławnym Milecie stał się dziś pierwszym przedstawicielem Szkoły ludowej we Francyi.

Na tle burzliwej epoki kończącego się wieku, wśród gorączkowego szamciania się z chorobliwego pesymizmu, krzepka postać Bretona, odznacza się samodzielnością, prostotą i głębokim spokojem. Artysta świadomy drogi swojej, idzie nią wytrwale do celu: tym

celem: przekonać naród zwątpiały o przyszłości, zagrzebany w materializmie, przekonać, iż źródło życia nie wyschły w nim jeszcze, że w piersi wieśniaczego ludu tli niewygasły płomień, który odrodzi społeczeństwo.

Myśl ta kielkuje nie w samą tylko Francji, ale i w całym ucywilizowanym świecie; dowodem na to owe towarzystwa folklorystów, związane dziś w różnych krajach, zbierające tak skrzętnie wszelkie objawy życia, przechowane tradycyjnie w wierze religijnej, w obyczajach, w rodzinnej poezji, w uczuciach i przesądach wieśniaczego ludu. Do poparcia tego kierunku we Francji przyczynił się najdzielniej pędzel dwóch genialnych artystów: Franciszka Milleta, zmarłego przed dziesiętkiem lat, i Juliusza Bretona.

Wydana świeżo autobiografia, pokazuje jakimi drogami doszedł wielki malarz do podjęcia idei, panującej dziś w świecie a tak ważnej w następstwa. Pójdziemy więc w ślad za nim, kreśląc w najogólniejszych zarysach bieg tego życia, tak skupionego w sobie, tak harmonijnie połączonego z długoletnią jego pracą.

Urodzony w roku 1827, we wsi Courriere, w dawniej prowincji Artois, z jednej strony oblaną oceanem, z drugiej oświetloną pasmem lesistych Ardenów, Juliusz Breton nie opuszczał nigdy rodzinnego gniazda, z wyjątkiem lat poświęconych nauce. Małym dzieckiem utracił matkę, pamiętał ją wstępną i chwiejącą jak chodziła po ogrodzie, wśród grządek, wysadzanych kwiatami; potem nie opuszczała już pokoju, wreszcie nie powstawała z łóżka. Codziennie wieczorem przyprowadzano do niej trzech synków na dobranoc.

„Z tkliwym pocałunkiem, mówi Juliusz, dawała nam cukierki. Dnia jednego zabrakło cukierków: mama pojechała poinne do Arras. Nie mogłem sobie wytłumaczyć dla czego bawi tam tak długo, nie rozumiałem też, czemu w chwili jej odjazdu zaprowadzono nas do krewnej, czemuśmy tam przebyli cały dzień, czemu nas tak pieścizono? Za powrotem poczułem jednak coś nadzwyczajnego w domu naszym. Później dowiedziałem się, że mama jest w niebie, nie mogłem tylko zgadnąć w jaki sposób nas opuściła“.

Ojciec trojga sierot, zarządzał wielkim majątkiem księcia Duras: obowiązki oddaliły go z domu. Troskliwa babka, matka zmarłej, opiekowała się wnuczętami: pieściła je, uczyła pacierza. Dzieci serdecznie odpłacały jej miłość.

Ta ośmdziesięcioletnia babunia, niegdyś dorodna panna Scholastyka, miała w młodości piękną chwilę: z uczuciem opowiada ją Breton.

Było to w czasach terroryzmu, kiedy okrutny Le Bon, komisarz republikański w Arras, zalewał krwią powierzone mu w zarząd miasto. Panna Scholastyka mieszkała we wsi z rodzicami. Burza wzmagająca się gwałtownie. Zbrojne bandy przebiegały wsie, odierały kościoły, druzgotały posągi świętych.

„Pobożna panienska ukryła w izdebce swojej posąg świętego patrona; widząc, że oddział zbliża się do wioski, powołuje co najsmielsze kobiety; wszystkie pędzą hurmem do drzwi kościelnych, rzucają się na bezbożników, sypią im w oczy piasek i popiół przyniesiony w fartuchach. Siła mężka przeważyła nad zapalem niewieścim. Banda przetrząsa dom Scholastyki, odkrywa patrona. Odważną panienkę uprowadzono do Arras, wtrącono do więzienia. Przebywała tam długo. Już gilotyina miała spaść jej na głowę, kiedy śmierć Robespiera skończyła krwawy dramat. Rozwarły się rygle więzienne przed biedną Scholastyką.

„Uwolniona, sama nie wie gdzie się obrócić. Rodzice daleko, droga do wsi nieznaną, strach puścić się samą przez lasy. Dowiaduje się wreszcie, że wśród uwolnionych z nią więźniów, jest młody doktor Patel ze wsi sąsiedniej; nie zna go, ale słyszała o nim, idzie śmiało do niego.

„Patel towarzyszy jej chętnie, w drodze opowiadają sobie doznane przygody, płaczą z radości oboje. Wkrótce potem, poprzyślegli sobie wiarę i miłość przed ołtarzem“.

Opieka babki tak niegdyś energicznej, lecz przyciśniętej wiekiem nie mogła być dostateczną dla chłopców. Przeczuwała to matka przed skonem: powołała z Lille ich stryja, Bonifacego Bretona, powierzyła mu dziatwę.

Tego to opiekuna wspomina Juliusz z uczuciem najżywszej wdzięczności. „Krzepki, barczysty, ubierał się starannie, nosił wysoki krawat, podchodzący pod uszy. Nad wysokim jego czołem sterczał prawdziwy czub układany według ówczesnej mody.

Zgodnie z życzeniem umierającej matki, stryj Bonifacy wkrótce po jej skonie, zamieszkał w Courrieres w domu brata. Z przybyciem jego skończyły się uliczne harce z gromadą wiejskich chłopiąt; zastąpił je elementarz, zastąpiły przechadzki ze stryjem, uczące z nim rozmowy. Z nieporównanym wdziękiem przypomina autor wrażenia, jakie budził w nim widok pól, falujących zbożem, łąk, zalanych kwiatami, ożywionych rojem brzęczących pszczołek, lasów, buchających żywiczną wonią. „Zyją, mówi on, w pamięci mojej te cudowne obrazy, kiedy światło było jaśniejsze, zorza bardziej różowa, powietrze czystsze i niebo błękitniejsze. A słońce! jakże majestatycznie zachodziło w burzliwy letni wieczór, w pośród gromady chmur, błyszczących złotem, zmieniających raz po raz kształty. Widziałem w nich i zwierzęta i ludzi i aniołów i Najświętszą Pannę, nie mogłem tylko dostrzedz matki mojej. Wyglądałem jej z utęsknieniem, bo wiedziałem, że i ona mieszka tam w niebie“.

Chłopczyk ukończył rok dziesiąty, kiedy ojciec zawiózł go do szkoły oddalonej o mil kilkanaście; przebywał tam trzy lata. Smutno mu było bez domu, bez kochającej babuni, bez stryja i braci, miłe

tylko wspomnienia zostawiły mu pierwsze lekcye rysunku. Kopiował głowy Mojżeszów i Scypionów a szczególniej prześliczne rysy rafaelowskich dziewic. Szybkie téż czynił postępy, a myśl, że zostanie kiedyś malarzem, porywała już wyobraźnię dziecka.

Podczas wakacyi malował kwiaty i zwierzęta na wrotach stajni, na każdej desce, jaka wpadłamu w oko. Sława malarza rozbiegła się po wiosce: na prośbę sąsiadki wymalował szyld, pierwsze to było jego dzieło.

Dalsze nauki pobierał Juliusz w mieście Douai. I tu lekcye rysunku przedewszystkiem go zajmowały. W trzecim roku, przybywszy na wakacye, przywiózł ogromną tekę, pełną szkiców i modeli gipsowych z natury.

W krótkce potem stryj Bonifacy, wracając dyliżansem z Lille, poznał się z towarzyszem podróży, malarzem brukselskim Feliksem de Vigne. W ciągu rozmowy stryj wspomniął o talencie bratanka, a chcąc pociągnąć artystę do domu, zamówił u niego swój portret.

Przybył niebawem. „Zrazu mówi Breton, przestraszyła mnie długa, czarna broda artysty; ale przy bliższem poznaniu rysy jego łagodniały. Rozłożył stalugi, przygotował płótno; z wyteżoną uwagą ściagałem każdy rzut jego pędzla. Na żądanie stryja, pokazałem mu rysunki moje: kopie z gipsów oglądał obojętnie, mimo że te zjednały mi pierwszą nagrodę. Chwalił za to portreciki i szkice krajobrazów rysowane z natury,

— Dajcie mi go na próbę, rzekł do ojca i stryja; po trzech miesiącach nauki pod okiem mojem, wydam stanowczy sąd o jego zdolności.

„Przystali. Jakaż to dla mnie radość!

Biegnę do izdebki mojej, chwytam szkolne książki, podrzucam je w górę do sufitu. Rzucam w ogień kajeta, piszę z tryumfem do kolegi: „Nie zobaczysz mnie już na ławie szkolnej, wchodzę do akademii królewskiej w Gandawie“.

Szesnastoletni młodzian przybył tam jesienią w 1843 roku, zamieszkał w domu malarza de Vigne.

„Był to, mówi on, dom prawdziwie patryarchalny: życie upływało w nim poważnie i słodko zarazem. On sam pracował w ciszy. Co wieczór siedmioletnia córeczka Elodja z trzema braćmi przychodziła po błogosławieństwo do ojca, który kreślił krzyżyk nad ich czolem. Załoba panowała w domu: rodzice oplakiwali stratę dwojga maleńkich dzieciak.

„Najstarsza z rodziny, Elodia, snuła się po domu cichutko. Szafrówce jej oczy, ocienione długą rzęsą, dziwnym świeciły blaskiem. Przypominała mi postacią aniołków z gotyckiej katedry. Lubiła mnie pieścizotliwa dziewczynka i ja téż serdecznie ją polubiłem“.

Trzy lata przebył Breton w Gandawie. De Vigne ocenił wielką zdolność ucznia, wróżył mu świetny zawód. Wykonał tam mło-

dzian, pierwszy obraz wielkich rozmiarów: *Apostolstwo Św. Piata w Gallii*; ozdobił nim ołtarz w wsi rodzinnej.

Ojciec tymczasem upadał na siłach; zrujnowany kupnem lasu, zawiedziony w nadziejach, przeczuwał, że oprócz długów nie zostawi nic synom. Chcąc zapewnić przyszłość Juliuszowi zawiązał go do Paryża, powierzył opiece Drolinga, profesora Akademii Sztuk pięknych.

Droling obejrzał pilnie szkice.

— Jakto, a więc to twoja praca? zawołał z okiem rozpromienionem, ależ ty malujesz jak anioł!

„Pochwała z ust słynnego mistrza, mówi Breton. napełniła serce ojca mego niewymowną radością. Gdyśmy wyszli uściskał mnie gorąco: „Malujesz jak anioł! powtórzył z uczuciem dumy; kto wie, może kiedyś progę Instytutu otworzą się przed tobą!

„Błogosławiąc pamięć twoją, zacy Drolingu, dzięki tobie, ojciec doznał przed śmiercią najwyższej pociechy; spokojnem okiem patrzył na przyszłość moją!”

Ojciec odjechał: dziwna zmiana! Młodzian przywykły do życia rodzinnego, tak w domu jak w Gandawie pod ojcowską opieką De Vigne'a, uczuł się zupełnie osierocony. Sarkazmy kolegów raniły go dotkliwie. Z rozdartem sercem opisuje swe udręczenia.

„W zgiełku paryzkim czułem się całkiem obcy, jakby wykołejony, Praca moja cierpiała na tém. Już nie malowałem jak anioł. W szkole sztuk pięknych wskazano mi podrzędne miejsce; na konkursie byłem zawsze ostatni. Poprawiając szkice psułem je coraz bardziej. Droling wziął to za upór, zniechęcił się do mnie; gromił ostro wtedy nawet, gdy nie zasłużyłem na nagane.

„Raz jednak pomściłem się na zbyt surowym mistrzu. Zadał nam na konkurs śmierć Antoniusza: wykonałem dwie kompozycje. Pierwszą odrzucił Droling, poznawszy w niej pracę moją, drugą podniósł wysoko, uznał za najlepszą, w przekonaniu, że ją wykonał inny uczeń. Tak więc na jednym konkursie, byłem i pierwszym i ostatnim. Mały to był odwet, za tysiące doznanych upokorzeń, gorycz przepelniała serce moje, użalić się przed kim nie było, miałem kolegów, nie miałem przyjaciela“.

Nadeszła twarda jesień, a z nią wichry i śloty. Biedny przemokły na wskrós, nie miał przytulić się gdzie do ciepłego ogniska. I smutek jego przybrał rozpaczliwy charakter. Chodził do morgi, aby przekonać się, że są istoty nieszczęśliwsze od niego.

Z tej martwoty wyrwała go rewolucya 1848 r. Nie wziął w niej czynnego udziału, lecz ją opisał jako naoczny świadek. Opuszczamy ten ustęp, zobaczymy tylko jak Breton pokazuje wpływ społecznego przewrotu na literaturę i sztukę. Słowa te godne uwagi.

„Umysły, mówi on, wybiegły ze zwyczajnego trybu, ogarnęły szerszy widnokrąg. Artyści poczęli głębiej badać ulicę i pola, zrośli się niejako z uczuciami maluczkich, naznaczyli im w sztuce za-

szczytne miejsce, przeznaczone niegdyś samym bohaterom i wielkim świata. Jeśli rok 1830 popchnął romantyzm do badania średnich wieków, rok 1848 zakroił szerzej bruzdę czystoludową. Artyści spojrzeli w oczy przyrodzie, uważanej dotąd za martwą, odczuli żywe tętno w ziemi, w biegu wód, w trawie, w słońcu, wiecznie drgające a tak rozmaite w objawach swoich.

Ruch ten żywotny, świeżo dostrzeżony, nie pozwalał, jak chcieli niektórzy, na zupełną negacyą wszystkiego, co przeszłość zdobyła na polu sztuki. Oprócz małych wyjątków, ogół poszanował tradycyą, to światło praocjów, torujące drogę na przyszłość, — pejzażyści poprzędzili nas na tej drodze. Teodor Rousseau, Corot, Troyon, Duprę, Fromentin, François, tchnęli nowe życie w krajobrazy; ale wszyscy ci mistrze, mimo całej samodzielności, opierali się na arcydziełach starożytnych, żaden z nich nie wyrzekł się tradycyi.

„W r. 1849 występuje Courbet: ten chce wszystko obalić, wszystko przeistoczyć. Raz, gdyśmy jechali razem, mówił do mnie z pogardą o Rafaelu. Z równem lekceważeniem wspominał Tycyana i Van Dycka, a przecież ten zagorzały zwolennik realizmu, najpiękniejsze prace swoje wykonał pod wpływem Corregia i innych mistrzów przez siebie pogardzonych“.

Wielki Millet, twórca szkoły ludowej, mało był jeszcze znany; później dopiero Breton pochylił przed nim czoło. W ocenieniu mistrzów klasycznych: Dawida, Ingesa i innych okazuje się sprawiedliwym sędzią. „Tym genialnym malorcom, mówi on, szkoła francuzka zawdzięcza w początkach tego wieku pierwszeństwo swoje w Europie. Brakło im tylko tego, o czém podówczas nikt nie myślał: związku między istotą żywą a otaczającym ją światem. Artyści nie umieli jeszcze zjednoczyć życia człowieka z życiem przyrody, przeniknąć go na wskroś wpływem ziemi, powietrza i promieni słonecznych“.

Po rewolucyi Julian Breton pospieszył do Courrieres, zastał tam ojca, trawionego ciężką chorobą; wkrótce zamknął mu oczy. W spadku po zmarłym pozostało około ośmdziesiąt tysięcy długu, dobrzy synowie obowiazali się wypłacić wszystkie należitości, prosili tylko o zwłokę. Jakoś w lat kilka wywiązali się najsumienniej, czém zyskali miłość powszechną.

Nie zaraz Breton mógł wrócić na dalsze nauki do Paryża, podczas gdy bracia z całą energią zabrali się do pracy, on pochwycił za pędzel — pracował w opustoszoym domu. „Sprzęty wszystkie, mówi, sprzedano na rzecz wierzeieli. Z dawniej zamożności, pozostał mu tylko stary stolik ledwie ociosany i prosta misa gliniana. Ubóstwo to ściślej połączyło mnie z ludem, mocniej niż dotąd ukochałem pracowitych wieśniaków. Wszyscy też oblekliśmy bluzy, mimo to poczciwy lud okazywał nam niezwykły szacunek“.

Nie raz jednak w pośród tej ciszy wiejskiej, młody malarz za tęsknił do muzeów, które zmuszony był opuścić. Niedoświadczony

bląkał się jeszcze w pojęciach o sztuce. „Plekroć, mówi on, oglądałem arcydzieła mistrzów, uderzała mnie więcej piękna forma zewnętrzna niżeli gruntowne ich zalety. Szczęśliwi artyści! myślałem w duchu, którym dość było otworzyć oczy, aby zobaczyć cuda! Nie zgadłem wtedy, że te cuda rozsiane wszędzie, w koło nas otaczają! Nie zbałem jeszcze dziecinnych moich wspomnień, nie odkryłem, że to, cośmy bezwiednie odczuli, kiedy oczy nasze otworzyły się do słońca, najpiękniejszemu jest w świecie, a to piękne wszędzie znajdujemy. Prawda zbyt prosta, aby ją zrazu pojąć.

„Dawna epoka, mówi dalej, wyczerpała do dna wszelkie przesady, wszelkie kłamstwa i wyrafinowane obłądki, aby zrozumieć czem jest prostota w sztuce!“

W chwili, o której mowa, nie przyszedł jeszcze Breton do tej świadomości: bląkał się też w obmyśleniu przedmiotu, w obec żywej przyrody i żywych typów, uganiał myślą jakieś wspomnienia szkolne. Dowcipnie sam z siebie żartuje:

„Odmalowałem Zuzannę w kąpielu, według studyum wykonanego na konkurs. Mały ten obrazek zachowałem sobie za karę, tak był zły, że gdyby dwudziestoletni uczeń przyniósł mi coś podobnego, rzekłbym mu bez ogródki: porzuć pędzel,—weź kielnię, zostań lepij mularzem.

„Jeśli ktoś osądzi mnie dziś na zbyt ostro, powtarzam sobie w duchu: Pamiętaj żeś malował Zuzannę w kąpielu!“

Po tej próbie nastąpiły inne, nie zbyt szczęśliwe. Breton wykonał dwa wielkie obrazy, jeden p. t. Głód, drugi Nędza i Rozpacz. Wsparty pomocą brata, zarządzającego browarem, wyjechał do Paryża w r. 1848. Smutne to były czasy; cholera dziesiątkowała ludność paryżką, śmierć rozpostarła nad miastem żalobne swe całuny. Ciasna, uboga pracownia artysty, przedstawiała się w przerażający sposób: Ścianę całą pokrywała Nędza i Rozpacz w postaci matki nad konającym dzieckiem, podczas gdy mąż wydziera się na barykady; Głód na stalugach czekał ostatnich rzutów pędzla.

Z tych dwóch melodramatycznych utworów, Nędza ukazała się w salonie 1850 roku. Wśród nocy bezsennych, trawiony gorączką, artysta czekał na otwarcie wystawy. Nadeszła chwila, biegnie co tchu, spostrzega swój obraz. Szare, wychudłe postacie przyjmują go odrazu. Szczęściem płótno umieszczono wysoko pod sufitem, nie zwróciło uwagi.

Głód wystawiony w rok potem, tegoż samego doznał losu. Zuiechęcony artysta, po zamknięciu salonu zawiózł go do Gandawy, tam sprawił niejaki wrażenie.

Odetchnął Breton w domu dawnego mistrza swego De Vigne. Malował tu Chryst Chrystusa, przeznaczony do kościoła w Courrieres. Trudno było artyście zharmonizować utwór z wymuszonym w duszy ideałem; czuł się głębokoko upokorzony. Miał on jednakże błogie chwile pod tym patryarchalnym dachem. Wspomina je rzewnie, z sercem, pełnym uczucia i niepokoju.

„Okolo jedenastej przed południem opuszczałem pracownię, schodziłem do salonu, gdzie ulubiona dziewczeczka moja grała na fortepianie melody, których wyuczyła się w konserwatorium. Miała podówczas lat czternaście, nosiła jeszcze krótkie sukienki, chuda była, trochę niezgrabna, a jednak nie brakło jej wdzięku. Oczy jej ciemne, pełne tajemniczego wyrazu, nie połyskały już tą wesołością jaką niegdyś radowała mi serce, gdy miłe dziecię zarzucało mi na szyję drobne swoje rączęta. Przeglądałem jej prace szkolne, dawałem radę. Ta troskliwość niecierpliwiła ją, tłumaczyłem to jakiems uczuciem wstydu. Łajałem małą niewdzięcznicę; nieraz zalewała się łzami, lecz obejście jej wcale się nie zmieniało. Bo i jakież ja miałem do niej prawo. Ciągłe kazania moje mogły ją przecież znudzić. Czasem w niedzielę, wracając z przechadzki, przynosiłem jej kwiaty, przyjmowała je grzecznie. Dnia jednego poszedłem na konkurs do konserwatorium. Grała dobrze; chcąc jej powinszować, czekałem na nią poniżej schodów. Zbiegła niebawem w gronie towarzyszek, przystępuję do niej; ale ona, spostrzegłszy mnie, odwróciła głowę blada i pomieszana. Poszła dalej, udając, że mnie wcale nie widzi.

— „To dziewczyna bez serca! pomyślałem.

„Ale wkrótce potem, w dniu szkolnego-popisu widzę jak powraca do domu z pensji, niesie w rękę ośm koron i tyleż pięknie oprawnych książek. Płacze gorzko, przed chwilą właśnie pożegnała przełożone, opuszczając na zawsze pensją. A więc ma serce dla drugich! Przed wyjazdem z Gandawy, profil jej nakreśliłem ukradkiem“.

Pospieszył artysta do Paryża, przygotował na wystawę Powrót z pola żniwarzy. Po nowych nadziejach nowy zawód. Obraz pomieszczony wysoko, niczyj jej nie zwrócił uwagi. „Oblany wieczorną zorzą, mówi Breton, rumienił się od wstydu, jaki go spotkał“. Wystawa ta jednak otworzyła przed nim nowy całkiem widnokrąg. Milet wystąpił po raz pierwszy: a jego kmieć, posiewający ziarna, zczerniały na wietrze i słońcu, tryskający potem, wywołał najsprzeczniesze sądy. W oczach jednych, był to typ brzydoty, jakiś dziwoląg chorobliwą stworzony fantazją, drudzy widzieli w nim rękawicę rzuconą społeczeństwu w imię socjalistycznych mrzonek. Niektórzy odczuli pod szorstką powłoką to piękno duchowe, niezależne od form zewnętrznych, drgające życiem, porywające myśl w nieskończoność. Do tych należał Breton, pochylił on głowę przed Milettem, nie poszedł za nim trop w trop, ale pochwycony prądem nowych idei, utorował sobie własną drogę.

Odtąd Breton zamieszkał stale w Courrieres. Ożywcza atmosfera wsi rodzinnej wróciła mu siły zwątlone tyłu zawodami. „Błogo mi było, mówi on, kiedy w przecudny wieczór letni z bratem i stryjem, zasiedliśmy przed progiem domu, poglądali ku drodze, po której toczyły się ciężkie wozy naładowane sianem lub snopami psze-

nicy, a wśród nich snuły się gromadki spracowanych żeńców i kosiarzy. Przechodziły śniade dziewczęta; ostatni promyk słońca połyskał o ich sierpy i tworzył nad ich czołem aureolę złotą. Cudnyż to obraz, cudny w prostocie swojej. Nie żał mi już było Paryża, ni rozkosznych jego okolic. Ukochałem duszą całą tę rodzinną dolinę, te kłosiste pola, łąki i wody szumiące w cieniu olch; poprzysiągłem nie opuścić ich póki życia“.

Odrodzony w duchu artysta, pochwyił za pędzel, odmalował zniwiarkę spoczywającą na miedzy z garstką uzbieranych w polu kłosów, oświeconą promieniem wieczornej zorzy. Obraz posłany na wystawę do Brukselli, wybornie umieszczony, głębokie sprawił wrażenie.

Pierwszy ten tryumf zadowolił miłość własną artysty, nie dał mu przecież zakosztować zupełnego szczęścia. „Cierpiałem w milczeniu, mówi Breton, myśl tajemna unosiła mnie do Gandawy, drażniące wspomnienia wiązały mnie z tém miejscem.

„Przysiągłem sobie nie patrzeć na delikatny profil ukradkiem przezemnie naszkicowany, a ileż to razy dobywałem go z teki drżącą ręką!

„I otóż w sierpniu r. 1853, ona przybyła z ojcem. Była to już dorosła panienka. Zdziwiłem się nadzwyczajną w niej zmianą. Rysy jęj złagodniały, przybycie do Courrieres radowało ją szczerze; wyznała to z całą naiwnością. A ileż to było uczucia w niewinném jęj spojrzeniu!

„Nazajutrz, kiedy byliśmy sami, przystąpiła do mnie, rzekła z prostotą: „Zapewne panu sprawiłam nie raz przykrość, żałuję tego najmocniój, czy zechcesz mi przebaczyć?

„Uścisnąłem jęj rękę całym sercem.

„We dwa dni potém byliśmy narzeczeni. Rzecz cała odbyła się poprostu. Malowałem jęj portret: gdy przyszło do oczu, zatrzymałem się głęboko poruszony, zapytałem stłumionym głosem: „czyś mnie zrozumiała?“ Skinęła na to potwierdzająco. „Czy chcesz być żoną moją?“ Ten sam znak dał mi upragnioną odpowiedź.

Pięć lat upłynęło, nim zakochana para stanęła przed ołtarzem. Breton pracował zawzięcie; jego sceny ludowe na wystawach paryzkich zdobywały co raz to szerszy rozgłos. W roku 1855 zachwyił znawców piękny obraz: Błogosławieństwo pola; sąd przyznał artyście złoty medal; ten śliczny utwór zakupiono do galerii luksemburskiej. Większy jeszcze zapał obudziła w roku następnym grupa włóścian, stawiająca krzyż na cmentarzu. Na czele orszaku idą trzy dziewczeczki w bieli, niosą godła męki pańskiej. Jedna z nich z koroną cierniową w rękę, wiernie przedstawia rysy narzeczonej.

Piękna to była chwila w życiu artysty, kiedy uwolniony z długów ojcowskich, otoczony aureolą sławy, pewien przyszłości, mógł

z całą swobodą, wprowadzić pod dach swój ukochaną małżonkę. Ślub odbył się w roku 1858. Młoda para osiadła stale w Courrieres, gdzie przebywał stary stryj i dwaj pozeńieni już bracia.

Szcześnie dało nowy pohop artyście. Sława jego rosła; za sławą poszedł i dobrobyt. Obrazy przedstawiające odtąd wyłącznie lud wieśniaczy przy pracy, w miarę rozbudzonych nowych pojęć, znajdowały coraz to więcej zwolenników.

„Zamieszkaliśmy, mówi Breton, w domu, zbudowanym przez ojca mego; otacza go piękny ogród, oparkaniony od ulicy. Tu przyszła na świat córeczka nasza Wirginia, która tyle miała dać nam prawdziwej pociechy. Tu trzyletnia dziecinka kreśliła na murze jakieś gzygaki, podobne już do ludzi. W siódmym roku rysowała wiejską dziatwę z niesłychanym podziwem moim. W kilka lat później, gdyśmy latem przebywali nad brzegiem morza, czternastoletnia dziewczynka przyglądała się dziatkom, płasającym po piasku po ustąpieniu wody; za powrotem rysowała to wszystko. Zląkłem się czy ten twórca zapał nie szkodzi jęj zdrowiu. Zakazałem rysować z pamięci, pół roku minęło, nie spostrzegłem ani jednego szkicu. Dręczyło mnie zbytnie jęj posłuszeństwo.

„Kto wie czy ją nie opuściła twórcza werwa? rzekłem z trwogą do matki.

„Zagadniona Wirginia wyznała jęj, że rysuje tajemnie.

„Z jakąż to radością ujrzałem w jęj szufladzie ogromny zbiór rysunków. Nie były to już gryzmoły dziecięce, ale rzeczy drgające życiem, kreślone dorywczo na świstkach, w rodzaju tych, jakie dzisiaj maluje“.

Dodajmy tu, że Wirginia odziedziczyła geniusz ojcowski. Zaślubiona dziś z malarzem Demont, obsypywana wieńcami na wystawach za prześliczne obrazy życia ludu, świeci jak gwiazda wśród malarzy francuzkich.

Ukryte w ciszy wiejskiej życie Bretona, jest od lat trzydziestu pasmem nieprzerwanych tryumfów, artysta w pełnym słowa znaczeniu, włada zarówno piórem jak i pędzlem. Przed laty kilku wydał śliczny zbiór poemacików z życia ludu, następnie poetyczną powieść w szerszych rozmiarach p. t. *Joanna*. Świeżo wydane wspomnienia, jakkolwiek pisane prozą, owiane są tchnieniem wysoko poetycznym. Czy to w smutku, czy w radości, czy w walkach życia, czy to w obec przyrody, zawsze Breton prawdziwym jest poetą. Gorący miłośnik piękna, umie je wszędzie znaleźć. Zarówno umiłował on prawdę, nigdy jęj nie dodaje sztucznych ozdób, lecz pokazuje ją piękną w prostocie swojej. Znanadto ją przecież ukochał, aby chciał iść za dzisiejszym prądem i ukazywać tę prawdę ze szpetnej strony. „Sztuka, mówi on, byłaby całkiem zgubioną, gdyby artysta, pod pozorem szczerości, stał się tylko biernym zwierciadłem“.

Żal nam rozstać się z pięknym dziełem Bretona. Tyle cudnych kartek wydartych z życia, tyleż wytrawnych uwag o sztuce zmuszeni byliśmy opuścić! Z jakąż on radością mówi o wystawie zeszło-

rocznej, z jaką miłością wymienia cały szereg artystów, którzy w przeciągu lat stu tak podnieśli sztukę francuzką w rozmaitych jej działach.

„Chwała ci Francyo, woła w końcu, żeś z łona swego wydała takich mistrzów!

„O Francyo! ojczyzna ziemio moja! ty, którą oplakiwaliśmy tak gorzko, gdy krew buchała ze wszystkich członków twoich, ty dajesz nam dziś zdumiewający dowód żywotności, zbudowawszy ten olbrzymi ul, do którego przyciągły ze wszystkich krańczyn ziemi roje przemysłnych pszczołek i spokojnym pobrzękiem swoim stłumiły odgłosy trąb bojowych!“

Pamiętniki Talleyranda więcęć niż kiedy zaciekawiają dziś świat literacki; zbliża się bowiem chwila ich publikacyi. Mówiliśmy niedawno, że zmarły mąż stanu Andral przekazał ich rękopis testamentem księdzu de Broglie; dowiadujemy się właśnie z angielskiego dziennika „Times“, jakoby w Londynie zachowany był inny egzemplarz tych pamiętników, a jak widać, dostępniejszy od paryzkiego, skoro publicysta Blowitz podaje o nim szczegółową wiadomość i dopełnia rzecz wyjątkami. Odkrycie to stanie się bodźcem dla księcia de Broglie i przelamie zapory, stojące na drodze wydawnictwu.

Pamiętniki te obejmują dwanaście działów, rozpoczęte od lat dziecinnych, od pobytu w kolegium a następnie w seminarjum, kończą się na misyi dyplomatycznej w Londynie.

Rzewne ustępy, poświęcone rodzinie, prawdziwie są niespodzianką dla czytelnika, ogół bowiem przywykł widzieć w Talleyrandzie, pysznego i zimnego samoluba. Z uczuciem kreśli on obraz matki swojej. Ilekroć, mówi, odwiedzałem ją, wybierałem chwile, gdy była sama, aby nacieszyć się niezrównanym wdziękiem, z jakim powtarzała każde słowo. Nikt nie rozmawiał w tak czarujący sposób.

Nie miała najmniejszej pretensyi, mówiła jakby z niechcenia. Nigdy z ust jej nie wybiegł żaden dowcip, pragnęła podobać się tylko a nie błyszczeć. Wyrażenia łatwe, bogate, niezwykle, pełne delikatności, odpowiadały potrzebie jej umysłu. Ztąd też ja unikałem zawsze osób, rozprawiających stanowczo, posiłkując się formułami technicznymi w rozmowie. Nie wierzę w rozum ani w naukę ludzi, którzy chcą o wszystkim wyrokować. To co wiedzą zawdzięczają tylko pamięci i częstokroć są w błędzie“.

W pierwszej części pamiętników Talleyrand rozpisuje się długo o ministerstwie Choiseul'a, o polityce dawnego rządu. Rażą go błędy, których można było unikać; mimochodem kreśli w kilku miejscach obrazy różnych osób, a między niemi Markizy Pompadour i Dubarry. Żywemi barwy maluje dawne społeczeństwo francuzkie, tak potężne w tych czasach, a którego życie ubiegało tak czarodziejsko.

Szczegółowo mówi o traktacie handlowym, zawartym między Francją i Anglią 1786 roku. Traktat ten zadowalał gabinet Londyński i Wersalski, wielkie korzyści mogły z niego wyniknąć. Wszystko mu sprzyjało. Od r. 1763, zacieraly się wzajemne niechęci a po ogłoszeniu niepodległości Stanów Zjednoczonych przez Anglią, zniknąć poczęły dawne uprzedzenia. W miastach tymczasem powstała silna opozycja. Niepopularny traktat poburzył je przeciw rządowi. Przygotowania do rewolucyi dłużej zajmują uwagę męża stanu, niżeli dokonany przewrót. Usiłuje zrzucić z siebie odpowiedzialność za wypadki, w których miał tak wielką odegrać rolę.

„Jeśli historycy różnych przekonań, mówi on, wyszukują przede wszystkim ludzi, aby przyznać im zaszczyt lub też rzucić im w oczy kłatwę za udział, wzięty przez nich w rewolucyi francuzkiej i za nadany jęj kierunek, to podejmują pracę daremną. Rewolucya nie ma autora, ani wodza, ani przewodnika. Posiew jęj rzucili pisarze, którzy w wieku oświeconym i przedsiębiorczym, chcąc zniszczyć przesady, obalili podwaliny religijne i społeczne; popchnęli do nięj niedołężni ministrowie, którzy doprowadzili skarb do klęski i wywołali niechęć powszechną“.

Obszernie opowiada Talleyrand o stosunkach swoich z Napoleonem, od pierwszego ich zawiązania aż do ostatnich czasów. „Kochałem, mówi on, Napoleona, przywiązałem się mocno do niego bez względu na jego wady. Ciągnęła mnie ku niemu ta nieprzerparta siła, jaką wielki geniusz roztacza w koło siebie. Otrzymane dobrodziejstwa odplacałem najszczerzą wdzięcznością. To mnie usprawiedliwia przed własnym sumieniem, że wprzód oderwałem się od jego polityki a później od jego osoby, gdym spostrzegł, że naraża kraj na niebezpieczeństwo“.

Talleyrand usiłuje zrzucić z siebie w obec potomności zarzut przestępstwa, opowiada jak w 1813 roku odmówił ofiarowanego mu przez cesarza ministerstwa spraw zagranicznych, jak w roku 1814, obrażony cesarz wyrzucał w Fontaimbleau Caulincour'owi, że odwiódł go od podpisania wyroku śmierci na dawnego wielbiciela, który stał się najzaciętszym jego wrogiem. Odtąd mąż stanu, rozmiłowany niegdyś w Bonapartem, sądzi Napoleona z nieprzeblaganą surowością. Więzień św. Heleny oddaje mu szczerze wet za wet.

„Ten człowiek, mówi Talleyrand o cesarzu, obdarzony był potężną inteligencją, ale nie rozumiał prawdziwej chwały. Brakowało mu siły moralnej. Nie mógł znieść pomyślności z umiarkowaniem ani też nieszczęścia z godnością.

„W roku 1864, ciągnie dalej, przedstawiono jeszcze Napoleonowi projekt układu, z warunkiem że Francya pozostanie w granicach r. 1789. Napoleon odmówił. „Nie mogę, rzekł do Barbediena, zawierać przymierza na prawach dawnych granic. Burboni sami uczynić to mogą. Gotów jestem raczej abdykować. Powrócę bez

wstrętu do życia prywatnego. Potrzeby moje małe, dwadzieścia pięć franków na dzień, zupełnie mi wystarczy. Chciałem uczynić z Francji największy w świecie naród. Skoro nikt się nie chce, sam nie mogę dalej prowadzić wojny. Jeżeli naród żąda pokoju, na podstawie dawnych granic naszych, odpowiem na to francuzom: szukajcie sobie innego władcy, zbyt wielki jestem dla was!

Książę de Broglie protestuje w liście otwartym do dzienników przeciw niedyskrecyi „Timesa“. Opowiada jak pamiętnik przekazany testamentem Talleyranda najbliższej jego krewnej, księżnie Dino, przechodząc kolejno przez ręce godnych ufności osób, dostał się na koniec do niego. Drugi egzemplarz rękopisu nie istniał nigdy, nie może więc znajdować się w Londynie. Wiadomo tylko, że za życia jeszcze księcia, jeden z sekretarzy skradł mu wiele papierów, a co więcej naśladowując, do niepoznania pismo, puszczał w świat ustępy częstokroć pofalszowane. Prawdopodobnie ustępy drukowane w dzienniku angielskim, należą do owych skradzionych lub podrobionych części rękopisu.

Książę de Broglie oznajmia przytem, że od dwóch miesięcy zawarł już układ z nakładcą Colman Levy o publikacyą pamiętników Talleyranda. Dzieło całe obejmie cztery wielkie tomy. Dwa pierwsze wyjdą na widok publiczny w końcu bieżącego roku. Znaczna suma, jaką książę de Broglie otrzymał od wydawców, przeznaczoną będzie na założenie dobroczynnej instytucji.

Obchód sześćsetnej rocznicy założenia uniwersytetu w Montpellier, należy już dziś do przeszłości, odbył się bowiem w końcu maja. Pisma codzienne i tygodniowe dosyć się już nim zajmowały; nie będziemy zatem powtarzać urzędowych przemówień Prezydenta Rzeczypospolitej i dostojników uniwersyteckich. Następstwa przecież tej uroczystości, okazały się nazbyt ważne, abyśmy przemilczyły o nich mogli. Ważne one zarówno pod względem wyjaśnień historycznych, dotyczących ubiegłego stulecia jak i pod względem zamierzonych a koniecznych reform. Wiele czytamy rozpraw w tym przedmiocie i powtarzamy z nich to, co nas najsiłniej uderzyło.

Mowa ministra oświecenia, zapowiadająca zmiany w urządzeniu uniwersytetów, napełniła ogół radością, dostrzeżono w niej bowiem jakby zorzę odrodzenia intelektualnego, odrodzenia, którego naród od dawna oczekuje. Posłuchajmy co mówią zwolennicy decentralizacji naukowej.

Niegdyś był we Francji uniwersytet paryzki, błyszczący jak słońce na świat cały, a w koło niego dwadzieścia cztery prowincjonalne uniwersytety przyświecały jak gwiazdy. Każdy z nich żył własnym życiem, rządził się osobnymi prawami, utrzymywał się ko-

sztem własnym. Profesorowie i administratorowie wraz z młodzieżą, pobierającą nauki, tworzyli maleńkie jakoby państewko, kwitnące na łonie wielkiego hrabstwa, otoczone jego opieką, lecz posiadające własny samorząd.

Wszechnica paryska, największa najświetniejsza ze wszystkich, nosiła tytuł starszej córki królewskiej, ale była to córka pełnoletnia całkiem niepodległa. Uczniowie zależeli tylko od profesorów, ci zaś od siebie samych. Uczniowie i profesorowie uwolnieni byli od ciężarów, jakie obowiązywały innych obywateli. Nie płacili podatków, policya nie mieszała się w ich sprawy, załatwiał je sam rektor, strzegący pilnie nadanych mu przywilejów.

Ta zupełna swoboda wspierała dzielnie rozwój nauki i filozofii, to też nauka francuzka, skąpana w żywotnej atmosferze, rzucała na zewnątrz promienie światła, wszystkie ludy zmusiła do złożenia jej hołdu.

W ciągu ośmnastego wieku, na krótko przed wielką rewolucją, uczeni francuzcy rzucili już w umysł ludzki pierwsze posiewy wszelkich odkryć, jakimi chlubi się wiek obecny. Monteskiusz wyświecił ducha praw, Buffon odgadł przez intuicyą zasady geologii. Filozofowie francuzcy, zaczawszy od Fontenella rzucili się do badania nauk matematycznych i przyrodniczych, i uposażyli kraj tą filozofią pozytywną, którą pysznią się dziś Niemcy i Anglicy. Wszystkie te zdobycze wyszły z uniwersytetów niepodległych, używających zupełnej autonomii.

W roku 1794 konwencya narodowa zniosła uniwersytety, jako gniazda arystokratyczne. Później Napoleon uorganizował uniwersytet Francuzki w duchu centralizacyi państwowej, poddając pod zwierzchnią jego władzę wszystkie fakultety i szkoły w całym kraju. Ten to kierunek, zabijający indywidualizm prowincjonalny, spowodował upadek wielu gałęzi nauk w pierwszej połowie tego wieku. Oprócz kilku wyjątków, filozofowie francuzcy stali się po prostu artystami, bawili się w frazesy, a zaniedbywali idee. Wyższa nauka schroniła się do Niemiec i Anglii, tam bowiem znajdowała ogniska niepodległe, które zachowały obyczaje starych uniwersytetów francuzkich.

Dziś instytut narodowy, wyższy nad przesady i rutynę, ostrzega, że czas oddziaływać przeciw złemu. Zdania powyżej przytoczone, przeważają dziś we Francyi nad uporem zawziętych centralistów. Powtórzyliśmy je, aby dać poznać prąd, poruszający umysły w chwili obecnej.

Reforma nie nastąpi od razu. Słowa ministra zapowiadają ledwie jej początek, a przecież, jak mowiliśmy, słowa te głębokie sprawiły wrażenie. Zwolennicy decentralizacyi podnoszą je, szczerze im przyklaskując. Jeden z nich woła z uniesieniem.

„Niech nam powrócą choć karykaturę dawnych uniwersytetów! one zawsze dobędą z siebie życie, wyrobią same sobie odpowiednie

miejsce pod słońcem. I zakończy porównaniem, wziętém prosto ze świata fizycznego: „Kiedy przyroda chce rozdzielić dwa olbrzymie głązy, nie szuka na to prochu ani dynamitu, ale między szczeliny wsuwa maleńkie ziarnko. Z ziarnka wnet zakielkuje listek trawy, ta zieleni się chwilę i zamieni w odrobinę rodzajnej ziemi. Kiedyś na tę ziemię upadnie żołądz i wyrośnie z niej dąbek i zapuści korzeń w szczelinę pomiędzy kamieniami i rozsadzi je w końcu.

„Oto historia wszystkich instytucyi ludzkich. Pokolenia następują po sobie i usuwają napotkane w drodze zapory. Te pokolenia upadają kolejno, nie świadome nawet doniosłości własnych wysiłen, zrażone pozornym upadkiem. Ale wytrwała praca rośnie, a nakoniec zwycięża!”

Gdy to piszemy, wszystkie niemal czasopisma paryzkie zajęte uroczystością przeniesienia zwłok Mickiewicza z Montmorency na Wawel. Kiedy ukaże się kronika nasza, z głosu pełnego uniesienia, jaki pobrzmiwa w Paryżu na cześć wielkiego poety, zostanie tylko echo, ale w literaturze francuzkiej chwila tego zachwytu głębokie pozostawi ślady. Wyjaśnienia Renana i Rambaud, („Figaro”) pominąwszy innych, czém był Mickiewicz dla samój Francyi, wyjaśnienia, rozpow szechnione przez najpopularniejsze dzienniki, jak *Matin*, *Figaro*, *Temps* i t. d., mocno uderzyły uwagę całego społeczeństwa francuskiego Zdziwiło wszystkich, i to w szczególny sposób, wystąpienie Renana. Ten uczony, który od wielu lat, coraz to bardziej upadał, nie tylko już walcząc przeciwko dogmatowi, ale pozwalając sobie szydzić cynicznie z tego nawet, co świat uważa za prostą przyzwoitość, ten sam Renan w ocenieniu Mickiewicza podniósł się z bagniska, w jakim zagrzązł. Jeśli nie zaprotestował przeciw skandalom, długo wywoływanym przez siebie, to dał przynajmniej odczuć, że rozczytanie się w dziełach genialnego poety, sprawiło w nim nagłą ewolucyą. Świat katolicki, naturalnie, zadowolili się nie może tego rodzaju zadosyćuczynieniem, ale taki objaw ze strony Renana musiał uderzyć silnie umysły, przywykłe od wielu lat, karmić się jego pogardliwemi sarkazmami.

Mowa Renana tłómaczoną była na języki wszystkich ludów, które ścigają od dawna jego prace; ta mowa stanie się też ważną pobudką do pytania, kto to był ów Mickiewicz? czém było społeczeństwo, co wydało takiego olbrzyma? Uważamy za obowiązek pomieścić w kronice naszej ten objaw w literaturze francuzkiej, cechujący chwilę obecną,—dla tego przytaczamy tę mowę w całości.

„Panowie, kollegium francuzkie dziękuje wam, że pozwalacie mu wziąć udział w szlachetnej myśli powrócenia ziemi rodzinnej prochów znakomitego człowieka, którego polska pożyczyła nam, a dziś najśluszniej odbiera. Celem naszego kollegium: badać przyrodę

i tłómaczyć geniusz ludów przez ich język i literaturę, jest on jakoby wspólną ojczyznę dusz, gdzie wszystkie wzajem się spotykają. Ciało nie do nas należy. Zabierzcie więc te słynne szczątki, ożywione niegdyś promieniem geniusza. Adam Mickiewicz nie opuszcza nas całkiem, pozostaje nam bowiem jego pamięć. O ściany starodawnych sal naszych odbzmiewać będzie dalekie echo jego głosu. Nieliczni dziś świadkowie tych czasów przesławnych, mogą powiedzieć nam jeszcze, ile w słowie jego było czarodziejskiej potęgi. Złączone w chlubną jedność z dwoma drogiemi nam imony Quineta i Micheleta, imię Mickiewicza stało się dla nas symbolem, nierozdzielną częścią naszej dawniej chwały, dawniej nauki naszej.

„Bo oto przesławny wasz ziomek posiadał te zalety, co dają wybranym panowanie nad wiekiem swoim: świeżość, bezwiedny poryw ducha, wyrzeczenie się miłości własnej, słowem, to wszystko, co tworzy stan duszy, w jakim człowiek nie czyni, nie mówi, nie pisze tego, co chce, ale, co mu dyktuje geniusz, stojący po za jego obrębem. Ten geniusz, to głos wieku, nad którym on panuje, a który żąda, jak ów chory szamoczący się w boleści, aby pieszczono jego rany, aby siłą słowa ukojono trawiący go szal gorączkowy;—więcej jeszcze: to głos krwi, to wewnątrz głos całego plemienia. Mickiewicz posiadał te źródła twórczych natchnień.

I czemuż pani Sand współczuciem siostry od pierwszego słowa zrozumiała jego geniusz? Bo poznała, że to wielkie serce odczuło wszystkie nasze rany, że konwulsyjne szamotanie nasze wstrząsały niem do gruntu. Chwała w i e k u naszego leży w tém, że chciał urzeczywistnić niepodobieństwo, rozwiązać, co rozwiązaniem być nie może. Chwała mu za to!

Ludzie czynu, którzy zechcą urzeczywistnić olbrzymie to zadanie, okażą się wszyscy nieudolni; ludzie samym rozumem nie przełamają innóstwa sprzeczności; poeta, który nigdy nie wątpi, który po każdej klęsce zabiera się do dzieła coraz to z większym żarem, z coraz to potężniejszą siłą, on nie upada na duchu. Takim to był Mickiewicz, wierzył on w nieskończone odradzanie się społeczeństw. Znał najstraszliwsze udręczenia, ale nie znał rozpacz. Niewzruszona wiara jego w przyszłość pochodziła z głębokiego instyktu, z czegoś, co leży w nas i przemawia silniej niż smutna rzeczywistość. Tą siłą duch przeszłości, solidarności, stan, co nie umiera. Ludzie potężni, to ci, w których wciela się sumienie powszechne, którzy spełniają przeznaczenie swoje, tak jak pracuje mrówka, jak pszczoła przynosi miód do barci.

Zrodzony z tej gałęzi plemienia Aryów, co najwierniej zachowało pierwotne dary, z tej Litwy, co językiem swoim, spokojem ducha, powagą moralną, przedstawia nam najlepiej naszych zacnych i poważnych naddziadów. Mickiewicz połączony był z wiekami ubiegłymi tajemniczymi węzły, które dawały mu jasne widzenie przeszłości; zarówno atoli przenikał on i przyszłość wieszczym duchem.

Wierzył w siłę swego plemienia, ale wierzył przedewszystkiem w siłę Duchu Bożego, drgającą w piersi tętnem żywotnem, a więc przez tumany chmur widział jasny widnokrąg, co pocieszy ludzkość zbolalą. Ten wielki idealista był nadewszystko człowiekiem wiary, a ponieważ najwyższą pobudkę do wiary dają nam męczennicy, przeto jego prorocza wyobraźnia, pobudzona uczuciem, przedstawiała mu, że ludzkość nie napróżno tyle podjęła pracy, że nie napróżno cierpiało tyle ofiar!

Dla tego to światłe społeczeństwo francuzkie przygarnęło tak chętnie ten wielki i szlachetny umysł, złączyło go z tém, co mu było najdroższém, uczyniło go bez jego wiedzy prawie, członkiem triumwiratu walczącego w imię swobody. W dniu, kiedy geniusz słowiański zdobył miejsce w pośród narodowych geniuszów, badających nauki, i kiedy utworzenie katedry języków i literatur słowiańskich, postanowione zostało, myśl wysoko literacka przyszła wtedy kierownikiem spraw intelektualnych we Francyi, pomysł powierzenia tej katedry Mickiewiczowi. Poeta, człowiek, który uosabia duszę ludu, zna jego legendy, przeczuwa intuicyą pierwotne jego pochodzenie, wydawał się odpowiedniejszym do gruntownego zbadania cech plemiennych, niż erudyta zagrzebany wśród ksiąg w swym gabinecie.

Była w tém słuszność: żywa ląka, zasiana kwiatami, więcej znaczy niż zasuszony zielenik, co daje zaledwie słabe wyobrażenie życia. Pierwsze dwa tomy wykładu Mickiewicza, to drogocenny skarb oryginalnych źródeł, dotyczących starożytnej historii plemion słowiańskich, którą profesor wykladał jako erudyta, a odczuwał jako człowiek ludu.

Zarzucano mu, że wybiegał po za obręb programu. O! jakże trudno zamknąć się w ograniczonym programie temu, kto pełen nieskończoności! Takim, jak był ze swym wieszczym a śmiałym poglądem, z pragnieniem swém bez granic, z szlachetnemi uludami proroka, my dumni jesteśmy z niego, a jakkolwiek odroczone urzędową jego nominacyą, z chlubą zapisaliśmy jego imię na tablicy marmurowej obok imion słynnych poprzedników naszych. Miał za sobą najpiękniejszy wyrok, bo go podpisał z zapalem głos publiczny.

Z ziemi gościnnéj, gdzie spoczywał trzydzieści pięć lat, macie go przenieść do waszego S. Denis, do sklepień Wawelskich, gdzie spoczywają wasi dawni królowie. Będzie tam obok Kościuszki i Poniatowskiego, którzy sami w tym gronie umarłych nie nosili królewskiej korony.

Obok tych, co dzierżyli miecz w ręku, chcecie pomieścić natchmionego poetę, który był wyrazem waszego geniuszu, pełnego żaru i siły, waszych wytwornych legend, słowem tego, co was unosi i pociesza, co pobudza do łez i uśmiechu. Dajecie tu wielką naukę idealizmu, pokazując jak naród czerpie w duchu siłę żywotną!

Wielki, a sławny współbracie nasz, ty z głębi królewskiego grobowca, który przygotowało ci milion ziomeków twoich, pamiętaj

o Francji. Biedna Francya! ona niezapomina, bądź o tém przekonanym. Co raz ukochała, to ukocha na zawsze. Czemu przyklaskiwała w słowach twoich, temuby dziś jeszcze przyklasnęła, katedrę niedgdy ofiarowaną tobie, ofiarowałyby dziś jeszcze swobodniejszą. Możebyś nie śmiał przypominać z niej tak często dni zwycięstw i tryumfów, ale znalazłbyś w sercu twojem słowo, wskazujące powinność zwyciężonym. Idź do chwały, na jaką zasłużyłeś. Wracaj wśród hołdów ludu do twój ojczystej ziemi. My ograniczamy pragnienia nasze do tego jedynie, aby na grobie powiedziano, że byłeś naszym także. Polska pamiętała, że w dniach próby znalazła się liberalna Francya, która cię przygarnęła, przyklaskiwała twym słowom i ukochała Ciebie!

Powiedzmy taraz o wystawie, a raczěj o wystawach sztuk pięknych. Jednoś zerwana w towarzystwie artystów sprawiła, że zamiast jednego salonu mieliśmy w tym roku dwa osobne. Salon na polach elizejskich, pod przewodnictwem p. Bouguereau, otworzył się jak zwykle 1-go maja dla publiczności, zamknięto go ostatniego czerwca. Drugi salon na polu marsowém, pod kierunkiem Meisoniera, otworzony w parę tygodni później, dziś także należy do przeszłości. W pierwszym wszystko zostało po dawnemu, z tą tylko różnicą, że przebiegając trzydzieści składających go sal, napróżno szukamy tu prac mistrzów, do których przywykły oczy nasze, czyli, jak się wyrażają Francuzi, raz po raz napotykamy dziury, spowodowane usunięciem się takich malarzy, jak Meisonier, Puvis de Chavannes, L'Hermitte i tylu innych.

Mimo tych braków niesłusznie byłoby utyskiwać na ubóstwo. Munkaczy, który od lat kilku nic nie wystawiał, obrażony na administracyą, że nie przyjęła jego Chrystusa przed Piłatem, nadesłanego w parę dni po terminie, Munkaczy mówimy, ozdobił w tym roku wystawę wspaniałym utworem. Jest to wielki sufit przeznaczony do pałacu sztuk pięknych w Wiedniu; przedmiotem obrazu *O d r o d z e n i e w e W ł o s z e c h*.

Pierwszy plan zajmują olbrzymie wschody, białe, marmurowe, dalej po za balustradą, ugrupowani malarze, rzeźbiarze, architekci, w malowniczych strojach tej epoki. Wśród nich odbija poważna postać podeszłego Leonardo da Vinci i promieniejąca postać młodego Rafaela. Z wysokiego balkonu na dalszym planie, przygląda się Papież Juliusz II. Skrzydlate geniusze w postaci niewiast, z palmami w dłoni, otaczają wieńcem grupę wielkich artystów. Obraz, utrzymany w jasnym tonie nadzwyczaj harmonijnym, zapełnia całą nieomal ścianę wielkiej sali.

Naprzeciw tego sufitu, pomieszczono inny Henryka Levy mniejszych cokolwiek rozmiarów, wykonany do sali balowej w ratuszu paryżkim. Artysta obrał nazbyt traiczny przedmiot. Miasto Paryż w postaci niewiasty, z chorągwią trójkolorową w ręku, składa w ofierze

Wolności, również usymbolizowanej, działwę swoją poległą w jej obronie. Pierwszy plan zapełniony całym stosem pomordowanych starców, niewiast i dzieci. Krytycy słusznie zarzucają, że mimo zalet pędzla i kolorytu, podobny przedmiot nie odpowiada miejscu przeznaczonemu na wesołą zabawę

W tymże wstępnym salonie uderza w oczy wielki obraz Juliusza Lefebra, osnuty na średniowiecznym podaniu, pod tytułem *Lady Godiva*. Feudalny baron, dziedzic miasta Coventry, uciskał poddanych swoich w nieludzki sposób. Dnia jednego, gdy mieszczanie, obciążeni nowym podatkiem, błagali go o litość, obecna temu żona podjęła gorąco ich sprawę. Okrutnik przyrzekł uczynić zadosyć jej woli, jeśli skromna kobieta odważy się przebiezdz miasto konno bez odzieży. Lady Godiva chwyciła go za słowo. Widzimy ją na białym koniu w wąskiej ulicy miasta. Domy zamknięte szczelnie, okna pozasłaniane, w mieście pusto jak na cmentarzu. Konia prowadzi strojna niewiasta dworska. Lady Godiva dosiada go spokojnie, oblicze jej pełne niewinnego uroku, zwoje płowych włosów jedyną jej odzieżą. Napis pod obrazem zmniejsza znaczenie legendy, mówi bowiem, że srogi baron zagroził śmiercią każdemu, kto by śmiał wyjść za próg, lub wychylić głowę przez okno. Nie byłoby pięknie, gdyby wdzięczny lud usunął się z własnego popędu.

Widzimy tu jeszcze wielki obraz hiszpańskiego malarza Checa, przedstawiający wyścigi w starożytnym cyrku rzymskim. Na pierwszym planie leży na ziemi wóz zdruzgotany. Dwa konie padły, dwa drugie gwałtownie się szamocą. Na to, inny wóz czterokonny nadbiega w szalonym rozpędzie. Widzowie patrzają przerażeni.

W śmiałych rzutach pędzla, ruch, życie, niesłychana siła talentu. Rzecz dziwna, artysta otrzymał za ledwie trzeciorzędny medal, głos powszechny tymczasem przysądził mu pierwszą nagrodę. „To skandal nie do przebaczenia! woła z oburzeniem pierwszy krytyk tutejszy, cała wina malarza, iż się nie urodził w Paryżu. Sąd dowiódł przez to, że członkowie jego nie znają się na sztuce i nie mają pojęcia sprawiedliwości!”

Z wielkich obrazów, wspomnijmy tu jeszcze *Sonatę przy księżycu*—pędzla Beniamin-Constant. Ten kolorysta, zwykle jaskrawy aż do zbytku w swoich obrazach wschodnich, wpadł dzisiaj w drugą ostateczność. Ukazał Bethovena przy fortepianie, w ciemnym pokoju, w pośród nocy. Promień księżycy pada tylko przez okno na bladą twarz artysty. Dwaj towarzysze złożyli instrument, słuchając zachwyceni.

Bouguereau wystawił dwa obrazy mistrzowskiem oddane pędzlem: jeden ukazuje żebraczki. Zarzucają tylko, że łachmany i nogi ich zbyt czyste, a ztąd całość trochę konwencyjonalna. Na drugim widzimy trzy święte niewiasty zbliżające się do grobu Zbawiciela. Pomrok dokoła ciemny, z głębi sklepienia tylko uderza światłość, a wśród niej anioł z rozpostartymi skrzydłami oznajmia iż mart-

wychwstanie. Obraz ten odznacza się w dziale religijnych utworów. Oprócz niego zasługuje na wzmiankę *Ostatnia Komunia S-g o K l a u d y u s z a*, wykonana przez p. Aubert, według tradycji szkolnych. Inni malarze dla oryginalności, tworzą z przedmiotów świętych rodzajowe obrazy. Najdziwaczniejszy z nich, okazuje nam pasterzy przy żłobku betlejemskim, odzianych w arabskie burнусy, w kapeluszach na głowie.

Sceny z życia wiejskiego ludu zajmują dział ogromny. Folkloryzm, rozwijający się we Francyi, dodał bodźca malarzom do przedstawiania prac rolniczych w polu i pod strzechą wieśniaczą. Naczelnik szkoły ludowej, Juliusz Breton, wystawił dwa obrazy, pełne poezji, nieustępujące najcelniejszym jego utworom. Jeden przedstawia praczkę powracającą do chaty z pękiem chust wypranych w rzeczulce. Idzie wesół, rada z dokonanej pracy, nie ugnie głowy pod ciężarem. Drugi obraz *Ostatnie kwiaty*, ukazuje nam ogród, zasłany pierwszym śniegiem. Róże kwitną jeszcze, ale łodygi ich pochyliły się ku ziemi. Dziewczyna wiejska zrywa je, układa z nich wiązkę. Słońko październikowe oświeca ją bladym promykiem. Smutno ję w duszy, snąc czuje, że to wiązka ostatnia i promyk ostatni.

Córka tego mistrza—Wirginia Demont - Breton, wystawia grono dziatek, bawiących się w ogródku.

Młody malarz Guignon, zwraca uwagę wielkim obrazem *Ż n i w i a r z y*. Zagony zżęte już do połowy: na ziemi leżą rozrzucone garście zboża; kłosa upadają pod sierpem żeńców. W oddali rysują się na widnokręgu drzewa. Słońce pełnym blaskiem pada na pole, w powietrzu czuć skwar południowy.

Przejdźmy z kolei do portretów. Wielka ich liczba, większa jeszcze w nich rozmaitość. Bonat śmiałym, lecz szorstkim pędzlem przedstawia rysy prezydenta Carnot, jakby wykute z twardego metalu. Wytworny Chaplin wykonał dwie śliczne niewieście główki, które omijają z pogardą realisci, szukający prawdy w samej tylko brzydocie.

W kilku pierwszorzędnych portretach uderzył nas nowy zwrot, godny naśladowania. Malarze przedstawiają model w odpowiednim mu otoczeniu, tym sposobem zamieniają portret w obraz rodzajowy. Munkaczy ukazuje księżnę S. na kózetce w wytwornym buduaru, pełnym dzieł sztuki i wschodnich makat, wśród palm i innych egzotycznych roślin.

Takiż sam indywidualizm odbija w portrecie pędzla Wenkera. Przedstawia on majstra cechu kowalskiego w fartuchu skórzanym, przed kuźnią: jedną ręką podnosi ciężki młot, w drugiej trzyma ozdobną zawiasę w stylu średniowiecznym. Siwa głowa pracownika, oddana z głębokim poczuciem artystyczném.

Panna Anna Bilińska, idąc za tym popędem, wykonała wielki portret młodego amerykańskiego rzeźbiarza, zajętego modelowa-

niem ogromnej grupy mitologicznej. Artysta pomazany gliną spoczywa chwilę po pracy. W kształtnych rysach promienieje myśl twórcza. Całość stanowi piękny i pełen życia obraz.

Liczba polskich utworów mniejsza niż w innych latach. Pan Rejzner wystawił własny portret, śmiało wykonany, p. Ciesielski udatny portret ojca swego; pp. Przepiórski i Kowalski wystąpili zarówno z portretami. Na szczególną uwagę zasługuje portrecik ślicznej jasnowłosej dziewczeczki w niebieskiej sukience, objętej białym futerkiem i w takiej-że czapeczce czworograniastej. Całość pełna wdzięku, harmonijna, oddana lekkim i pewnym siebie pędzlem panny Emili Dukszyńskiej. Czemu ten obraz zawieszony wysoko? Widzimy w tym pomieszczeniu niegościunność artystów systematycznie okazywaną cudzoziemcom.

W innym dziale sztuki wystąpił młody Wojciech Kossak. Wystawił on hr. Tadeusza Tyszkiewicza, pochwyconego przez kozaków, w odrocie armii Napoleońskiej z Moskwy. Konie oddane wybornie świadczą, że młody malarz, jest uczniem słynnego ojca, spadkobiercą niepospolitego talentu. Nagrodzono ten obraz zaledwie chlubną wzmianką, nowy dowód niegościunności francuzkiej.

O krajobrazach powiemy tylko, że szkoła dzisiejsza stara się utrzymać chwałę, zdobytą w świecie przez wielkich poprzedników, Corota, Teodora Rousseau i innych. Honorowy medal otrzymał w tym roku siedmdziesięcioletni Français, który mimo wieku śmiało włada mistrzowskim pędzlem. Świadczy o tym pełen poezji obraz, przedstawiający *P o r a n e k l e t n i*. Pierwszy to raz podobny zaszczyt spotyka pejzażystę.

Ogród oszklony bogato napełniony rzezbami. Do najpiękniejszych utworów należy grobowiec Flauberta; wykonany dłutem genialnego Chapu. Po lewej ręce umieszczony medalion z portretem głośnego pisarza. Po prawej *p r a w d a* w postaci niewiasty, trzyma w ręku symboliczne zwierciadło. Całość poważna—wykonanie mistrzowskie.

Wszystkie niemal sztuki piękne, nie wyłączając *T a n c a*, uosobione dłutem. Widzimy je, już nie w postaci klasycznych *M u z*, ale oddane swobodnie według fantazyi artystów. *T a n c e r k a* p. Chapu, dorodna i krzepka dziewczyna, lekką osłonięta draperyą, oddana z wielkiem życiem. *M e r c i e r* wykuł z marmuru piękny *s y m b o l m a l a r s t w a*, w postaci kobiety z paletą w ręku. Uczeń *M e r c i e r*'a, Labatut, wystawił symbol *R z e ż b y* w młodej dziewczycy, opartej o tors starożytny. *P i e ś n* znalazła świetnego przedstawiciela w młodym rzeźbiarzu *F e l i k s i e* Charpentier. Nie żadna to bachantka, ale młoda dziewczyna wiejska; stoi skromnie z oczyma spuszczone, śpiewa na jakąś rzewną nutę, znać to z postawy zadumanej. Pełen przyszości rzeźbiarz otrzymał złoty medal.

Z wielkich rzeźb monumentalnych, uderza w oczy spizowy *p o s a g* Duguesclin'a, w zbroicy i szyszaku, dłuta Hektora Lemerre. Postać bohatera pełna życia i siły.

Inny wielki posąg dłuta Fremiet'a, zamówiony do Madrytu, przedstawia malarza Velasquez'a na rączym biegunie, w malowniczym stroju z epoki odrodzenia. Dziwna myśl, malarz konno! ale Hiszpanie tak go mieć pragną, ze względu na to, że Velasquez malował tylu konnych monarchów i rycerzy.

Znajdujemy wśród rzeźb, utwory sześciu naszych artystów i artystek. Pan Marcinkowski wystawia piękną grupę chłopca z kogutem i marmurowy medalion Paderewskiego, p. Bogdański popiersie kobiety, pp. Boryczewski i Zawiski medaliony. Pani Androlli wystąpiła z dwoma udatnemi biustami; panna Aniela Wisłocka, utalentowana malarka, wystawia popiersie młodej kobiety. Przebywając w roku zeszłym we Florencyi, artystka nasza wzięła się tam do dłuta—po kilku miesiącach nauki w akademii sztuk pięknych, otrzymała medal na konkursie, co ją tém więcej zachęciło do tój gałęzi sztuki tak mało u nas uprawianej.

W dziale rysunków, zwrócił uwagę naszą portret na porcelanie młodej kobiety, wykonany przez pannę Helenę Duchyńską.

Z pałacu na polach elizejskich przejdźmy teraz na pole marsowe. Tu wszystko przedstawia się inaczej. W ogromnym pałacu sztuk pięknych organizatorowie wystawy zajęli pięć sal i dwie długie galerie pierwszego piętra, urządzili je z gustem i wytwornością. Wielki obszar pozwalał na pomieszczenie obrazów dwoma rzędami; łatwo też przypatrzeć się każdemu najdokładniej.

Perłą tego salonu jest obraz Meisoniera, pod. tyt. Październik 1806 roku. Przedstawia on bitwę pod Jena.—Gorący napoleonista, z miłością oddał chwilę tak ważną w dziejach nie samęj tylko Francyi, chwilę, która zmusiła upokorzone Prusy do ustąpienia od Warty i Wisły. Napoleon na białym koniu, otoczony gronem konnych oficerów sztabowych, ściga ze wzgórza wytężonym wzrokiem pole bojowe. Patrzy na pułk kirasjerów, pędzący cwałem do ataku. Każdy żołnierz, każdy koń, odznaczony dokładnie, perspektywa wybornie zachowana. Wszystko to porusza się, kipi, drga niezrównanem życiem. Tłumy otaczają tóż obraz, odzielony od widzów prętami żelaznemi. Nie łatwo do niego przystąpić, trudniej jeszcze oderwać się od niego.

Pociąga tóż do siebie ogromny obraz dekoracyjny Puvis'a de Chavannes, przeznaczony do muzeum w Rouen, z epigrafem *I n t e r A r t e m e t N a t u r a m*. Normandzką przyrodę wyobraża Sekwana, wijąca się po mokréj przestrzeni i jablonie obciążone owocem. Sztukę, przedstawiającą symboliczne postacie, ugrupowano razem, lub tóż pracujące osobno. Artyści malują, garnearze wydobywają z pieca sławną Roueańską ceramikę, robotnicy wykopują z ziemi archeologiczne zabytki. W gronie poetów poznajemy Kornela, roz-

myślającego nad Cydem lub Polieuktem. Wszystko to owiane jakąś mgłą tajemniczą, pełną oryginalnej poezji.

Inny dekoracyjny obraz L'Hermit'a, zamówiony do sali nauk ścisłych w Sorbonie, zasługuje również na uwagę. W pośrodku za stołem stoi zmarły już Saint-Clair-Deville, wśród retort i innych przyrządów i wyklada chemią zaciekawionym uczniom. Piękną to obraz, obok artystycznej wartości, ma jeszcze doniosłość historyczną, malarz bowiem sportretował z natury poważnych członków rady akademickiej i przekazał potomności rysy wielkich koryfeuszów świata naukowego.

Dwa inne obrazy L'Hermit'a pokazują włóścian przy żniwie i sianożęciu. Oba pełne życia i prawdy. Artysta należy do pierwszorzędnych malarzy scen ludowych.

Dwa religijne obrazy Lerolla przechodzą wartością wiele tegoczesnych utworów w tym rodzaju. Oba wyobrażają Św. Marcina. Na jednym: święty w hełmie i zbroi rzymskiej, odcina mieczem połę płaszcza i podaje ją skrzepłemu od zimna biedakowi. Drugi, nierównie piękniejszy, ukazuje świętego szermierza ujętego snem twardym. Chrystus otoczony aniołami w bieli, objawia się sennemu. Oblicze zbawiciela pełne nieskończonej słodyczy.—Obrazy te tchnące duchem głęboko religijnym, przeznaczone do dwóch ołtarzy w kościele Św. Marcina.

Na polu Marsowém każdy malarz ma prawo wystawić tyle obrazów, ile ma pod ręką; liczba ich nieograniczona. Korzystał z tego przywileju słynny Carolus Duran. Wystawił siedm portretów, które jakby słonecznym blaskiem oświecają długą galerią. Cztery z nich poumieszczane rzędem, przedstawiają cztery młode kobiety, w całej postawie, pełne wdzięku. strojne z całym przepychem w atłasy, koronki, gazy i aksamity. Każda przybrana w inny kolor, wszystkie te barwy, połączone razem, tworzą doskonałą harmonię. Świetny ten kolorysta, po mistrzowsku też maluje ciało: pędzel jego pełen życia, rozpromienia rysy modelów.

Pomijamy inne dzieła wysokiej wartości, musimy jednak wyznać, że obok tych, zbyt wiele niegodnych wytwornego salonu. Z naszych artystów dwóch tylko nadesłało tu utwory swoje. Pan Stanisławski wystawił zajmujące widoki Ukrainy i Krymu, pan Wacław Szymanowski śliczne, pełne życia Góralki, wystrojone świątecznie. Sztuka polska znalazła w młodym a utalentowanym artyście godnego siebie przedstawiciela.

Zaczem opuścimy salon na polu marsowém, uorganizowany pod prezydencją Meisoniera, powiedzmy tu jeszcze o nowym tryumfie słynnego artysty. Przed dwoma miesiącami p. Delakante, właściciel pysznego obrazu, podziwianego na zeszłorocznej wielkiej wystawie, pod tytułem rok 1814, ustąpił go za 500,000 franków

jednemu z przedsiębiorców, handlujących obrazami. W tydzień potem nabył arcydzieło milionowy amator sztuki p. Chauchard za 850,000 franków. Żaden dotąd artysta nie doczekał za życia podobnego tryumfu.

Odegrano w tych czasach po raz pierwszy w Paryżu dwuaktową operę Berlioza pod tytułem „Beatricze i Benedykt“, ułożoną blisko trzydzieści lat temu, na żądanie dyrektora teatru w Baden-Baden. Libretto ułożył także sam kompozytor, myśl do niego wziął z komedii Szekspira: *Wiele hałasu o nic*. Oto treść w kilku słowach:

Beatricze, bratanka Leonata, wielkorządcy Messyny, gardzi całym rojem zalotników, objawia wyraźny wstręt do małżeństwa. Ze swjej strony młody Benedykt, feudalny władca Padwy, ulubieniec don Pedra, księcia Aragonu, gardzi całym rodem niewieściem, odrzeka się małżeńskich związków. Niezrażony tém don Pedro, zastawia zręcznie sieci na uciekającą od siebie młodą parę, udaje zakochanego w Beatryczy, zwierza się Benedyktowi, że pozyskał jej serce. Hero tymczasem, córka Leonata, zaręczona z hrabią Klaudyuszem, udaje przed Beatryczą, że kocha Benedykta i pozyskała jego miłość. Komedya wybornie się udała. Dwa serca podniecane zazdrością przemówiły nakoniec. Benedykt zaślubia Beatrycę.

W r. 1862, sztukę Berliosa przyjęto w Baden-Baden grzmiącym oklasków, ale żaden teatr paryżki nie myślał jej przedstawiać. Imię Berlioza było oddawna pod klątwą. Tygodniowy felieton jego w *Debatach*, kreślony jadowitym piórem, zwrócił przeciw niemu cały ówczesny świat muzyczny.

Skutkiem tej nienawiści, opera jego *Benvenuto Cellini*, przedstawiona w roku 1838, niesłusznie została wygwizdaną. Dyrektorowie paryżcy, nie śmieli narażać się na nową katastrofę. Minęło ćwierć wieku, a żaden utwór Berlioza nie ukazał się na ziemi paryżkiej. Nakoniec dyrektor lirycznego teatru Carvallo, zdobył się na odwagę, przedstawił *Troyan* w roku 1863. Piękna ta partycja zniszczyła poniekąd uprzedzenia i mimowolne wywołała oklaski. Ale prawdziwy tryumf Berlioza datuje dopiero od roku 1866, kiedy przedstawiono po raz pierwszy *Potępienie Fausta*.

Krótko maestro cieszył się tryumfem swoim, umarł w roku 1869. Zapoznany i znieawidzony za życia, stał się po śmierci chwałą narodu, przedmiotem czci powszechniej. Francya chlubi się nim, każdy utwór jego z najwyższym przyjmuje zapalem. „Mamy Berlioza, mówią z dumą francuzi, nie zazdrościmy Niemcom Wagnera“.

Nieznana dotąd opera „Benedykt i Beatrycze“, wywołała szczerze zadowolenie, a zarazem zbudziła żal w paryżanach, iż tak długo musieli czekać na takie gody.

Imię Lamartina przyświeca jak zorza w romantycznym okresie literatury francuskiej. Zaledwie że pola ociekły ze krwi po rozpaczliwych walkach olbrzyma wieku przeciwko sprzymierzonej Europie, ozwała się natchniona pieśń poety, ukolysała wzburzone umysły, oczarowała je niepojętym urokiem. Nigdy do owych czasów, język francuski nie zadzwonił tętnem tak harmonijném jak w zwrotkach Lamartina, które dziś jeszcze po upływie lat sześćdziesięciu zachwycają miłośników pięknej literatury.

Prąd romantyczny nowe rozbudził geniusze. Piorunujący głos Wiktora Hugo przygłuszył rzewne dźwięki poprzednika, wytworna, ale skażona realizmem pieśń Alfreda Musseta, silniej poruszała umysły ziomków, niż eteryczne tony śpiewaka medytacji. Lamartine stał jeszcze na świeczniku, ogół z uznaniem powtarzał jego imię, ale słowo mistrza nie poruszało tłumów, nie budziło poklasku.

Poeta snąć nie odczuł tej zmiany. U schyłku dni, przywieziony do ubóstwa, sam niegdyś szczodroblivy do zbytku, odwołał się do szczodrobliwiej niegdyś Francji. Nie widział w tém upokorzenia, przeciwnie, sądząc rzeczy całą, godną poety naiwnością, przekonany był że naród uczuje się szczęśliwym, sypiąc złoto pełnemi garściami temu, który rzucał mu hojnie „swoich myśli przedzę i swoich uczuć kwiaty“. Inaczej się stało. Zmateryalizmowana Francja, jeśli nie odmówiła datku, składała go niechętnie, z pogardliwém lekceważeniem.

Dziś jednak nastąpił zwrot w umysłach. Francja pragnie pośmiertnym hołdem okupić niewdzięczność, okazaną żywemu mistrzowi słowa. Przed dziesiątkiem lat, rodzinne miasto Macon zbudowało mu grobowy pomnik w Saint-Point, wykonany biegłym dłutem Falguierra. Paryż ze swęj strony wzniosł spiżowy monument w Passy, w bliskości willi, gdzie poeta zakończył dni w ubóstwie i zapomnieniu.

Po tych spóźnionych hołdach nastąpi w tym roku inny, wspólniejszy, cała Francja weźmie w nim udział. Zarząd akademicki w Macon zapowiedział stułetni obchód urodzin Lamartina, przypadający w październiku. Ogłoszono już program. Komitet, złożony z członków akademii miejscowej, powołał poetów i literatów z całej Francji. Przyjęte będą wszelkie prace: studia, życiorysy, rozprawy, utwory poetyczne, z zastrzeżeniem, że odczyty prozą nie zajmą więcej nad pół godziny, że utwory poetyczne nie przejdą dwustu wierszy.

W przeddzień uroczystości, odbędzie się wspólna pielgrzymka do Saint-Point. Mowy przed pomnikiem grobowym, przeplatano

będą muzyką. Nazajutrz nastąpi w Macon, w wielkiej sali, rozdanie nagród laureatom. Franciszek Coppée delegowany od akademii francuskiej, oceni poetyczne utwory Lamartina. Inny akademik, Juliusz Simon, opowie polityczne życie poety, ukaże w Lamartynie męża stanu. Gounod przysposabia oratoryum, które wykonane będzie na tém uroczystém zebraniu.

Nastąpi potem bankiet, przeplatany mowami. Artyści opery paryzkiej i teatru francuskiego, odśpiewają pieśni Lamartina i wypowiedzą najcelniejsze jego poezye. Przedstawią tu na scenie główne ustępy z dramatu *Poussain Louverture*.

Wiadomo było powszechnie, że marszałek Mac-Mahon pisze pamiętniki; zapowiedziana ich publikacja budziła powszechną ciekawość. Otóż dzieło opuściło już prasę, ale nikt nie widział go na o-czy. Z polecenia autora drukowano tylko sześć egzemplarzy. Marszałek ofiarował je najbliższemu krewnym i to z wyraźnym zastrzeżeniem, że książka nie wyjdzie na chwilę z ich rąk, że z wyjątkiem u. przywilejowanych, nikt nie odczyta z niej najmniejszego ustępu. Rzecz widoczna, że autor, drukując pamiętniki za życia, pod okiem własnem pragnął je na przyszłość zabezpieczyć od sfalszowania tekstu i opuszczeń, jakich zbyt często pozwalają sobie wydawcy pośmier-tnych publikacyi.

W chwili, gdy kończymy kronikę naszą, otrzymujemy od pana Konstantego Chmieleńskiego, dwie książeczki przez niego napisane, ozdobione ładną ilustracją. Autor urodzony w mieście Tours, włada świetnie językiem francuskim. W jednej z tych książeczek skreślił z życiem obraz Paryża, w drugiej opisał malownicze wybrzeża Normandyi. Poprzestajemy dziś na prostém doniesieniu o tój publikacyi, która wyższe ma znaczenie od zwyczajnego przewodnika; w przyszłej kronice przypatrzymy się bliżej pracy ziomka, znanego tu pod pseudonizmem *Constant de Tours*.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa: 1) Jak się uczyć i jak uczyć innych. Napisał A. Dygasiński. Warsz. 1889 str. 239. 2) Jak mówić po polsku? Gramatyka popularna. Napisał A. G. Bem. Warsz. 1889. Str. XI+342. Errata II. Spis rzeczy IV. 3) Jak pisać po polsku czyli Stylistyka języka polskiego. Napisał Władysław Korotyński. Warsz. 1889 str. IV, 213.

Podjęte w r. 1889-ym przez znaną zaszczytnie księgarską firmę pp. G. Gebethnera i R. Wolffa w Warszawie wydawnictwo pedagogiczne powitała prasa polska z wszechstronną życzliwością ¹⁾, bo przedsięwzięcie, „mające na celu dostarczenie ogółowi treściwych, popularnych podręczników we wszelkich gałęziach wiedzy ludzkiej“, obiecywało wielkie korzyści dla postępu i systematycznego rozwoju umysłowości naszej za pomocą książek polskich, przedstawiających w treściwej osnowie dokładny obraz wiedzy przez szkołę dotychczas zdobytej. Prospekt wydawnictwa budził tylko pod tym jednym względem pewną wątpliwość, że zapowiadał książki, przy których pomocy mógłby pragnący nauki obejść się zupełnie bez nauczyciela, a nie wskazywał ani wieku samouka ani stopnia nauki; z obawy bowiem przed zarozumiałością powierzchownej wszechwiedzy nie umiano sobie na razie wyobrazić praktyki zapowiedzianej z taką śmiałością metody.

Czy pierwsza w tém wydawnictwie książka p. Dygasińskiego pod tyt. „Jak się uczyć i jak uczyć innych?“ wyłożyła dokładnie nie tylko szerszą myśl, ale i obiecujący plan szanownych wydawców, przystępujących z ufnością do dzieła tak poważnego?

Uczyć się—znaczy nabywać wiadomości, których się nie posiada, a więc czerpać ze źródeł, znajdujących się na zewnątrz uczącego się—z otaczającej przyrody, od innych ludzi lub z książek, to jest również od innych ludzi, ale za pośrednictwem pochodzącego od nich wykładu nie ustnego, lecz utrwalonego na piśmie. Niezależ-

¹⁾ Zob. Bibl. Warsz. 1889. T. 1. Str. 153 i 154.

nie od tych trzech źródeł, nikt nie jest w stanie wydobyć sam z siebie wiadomości poważnych i prawdziwych; nawet mrzonki oraz pomysły wyuzdanej fantazyi mają zawsze jakiś punkt wyjścia rzeczywisty, bywają spaceniem pojęć, nabytych na jednej z owych trzech dróg lub opierają się na podaniach i przykładach innych ludzi. Właściwą i przyrodzoną człowiekowi jest tylko *zdolność* do nauki—psychologiczny dar obserwacji, kombinowania faktów, abstrakcyi, syntezy i analizy, systematyzowania pojęć, utrwalania i zatrzymywania ich w pamięci. Zdolność to czysto formalna, bez treści i dlatego bezzasadnie krańcowy sensualizm (Condillac i encyklopedyści XVIII wieku) usiłował wytłómaczyć powstawanie tej zdolności z wrażeń zewnętrznych, to jest z obserwacji zmyłowych, które przecie dają tylko treść pojęć, ale nie formy ich przyswajania i przerabiania. Z drugiej strony, niektórzy marzyciele, pod wpływem krańcowego idealizmu oraz teorii Platona o poprzedniem życiu i przypomnieniu, uważali formalną zdolność do nauki również za treść zarodkową, to jest przypuszczali, że człowiek właściwie nie uczy się nic nowego, ale tylko sobie przypomina pojęcia, których zarody w nim istnieją, podobnie jak np. w żółędzi spoczywa zaród całego rozłożystego dębu. Wszelako i w tym nawet razie niezbędne są pewne bodźce oraz wpływy, bez których owa wiedza, rzekomo w zarodzie istniejąca, nie zdola rozwinąć się należycie, podobnie jak z porzuconej w kącie żółędzi dąb sam przez się nigdy nie wyrośnie.

Owe bodźce i wpływy nazywamy wychowawczemi i skoro tylko mowa o uczącym się, nieodzownie występuje konieczność uczącego czyli nauczyciela. Uczyc kogoś może ten tylko, kto już dawniej posiadał wiadomości, na których uczniowi jeszcze zbywa: jakim więc sposobem mógłby ktoś uczyć sam siebie, to jest udzielać sam sobie wiadomości, których nie posiada? Czy możliwem jest takie przepełnienie jednego i niepodzielnego *ja* na podmiot i przedmiot, na świadomego nauczyciela i nieświadomego ucznia? Tak więc pojęcie samouctwa, nie dające się filozoficznie uzasadnić, a nawet zawierające w sobie wewnętrzną sprzeczność logiczną, utrzymać się nie może i mówiąc właściwie, samouctwo, niezależne od wymienionych trzech dróg nabywania wiadomości, jest zgoła niemożliwem: opiera się ono na złudzeniu, gdyż istotnie, ile razy mowa o samoukach, w gruncie zawsze mieli oni nauczycieli, od których wyszły pierwsze wskazówki, którzy nadali popęd dalszej rzekomo samodzielnej nauce. Wszak i tak zwana praca samodzielna uczniów już po części w szkołach niższych i średnich; a zwłaszcza w uniwersytecie, gdzie jak wiadomo, profesorowie swemi wykładami przedmiotu nie wyczerpują, lecz tylko podają wskazówki oraz torują drogę dla studyów samodzielnych—nawet to kształcenie się uniwersyteckie, choćbyśmy je nazwali samouctwem, chociaż tu to miano byłoby stosowniejsze niż gdzieindziej; samouctwem jednakże nie jest. Zdaje się więc, że podobnie jak wzmiankowani powyżej marzyciele, zarówno

z obozu sensualistów jak i krańcowego idealizmu, formalną zdolność do nauki błędnie pomieszali z jej treścią, tak dziś niektórzy nieogledni pisarze pedagogiczni, wysławiając i zalecając samouctwo, nie dostrzegają, że sławią i polecają *przykładanie się do nauki* oraz wytrwałą *pilność*: dopuszczają się więc także pomieszania pojęć.

Ową pracowitość i pilność częstokroć trudno nawet odróżnić od tego, co ludzie nazywają szczególnym uzdolnieniem lub genialnością, a co może w znacznej mierze jest owych przymiotów wynikiem.

Zwykle więc, jako „samouków“ podziwiamy takich ludzi, którzy przykładaniem się i pilnością uzupełnili braki wykształcenia, otrzymanego w domu, w szkole i od nauczycieli. „Samoukiem“ tedy jest ten, kto chce i zdoła uczyć się z pożytkiem, zawsze jednak korzystając z rad, wskazówek i przykładów, które bądź dawniej otrzymał, bądź później znalazł w obcowaniu z ludźmi lub książkach. Wszak i sam p. Dygasiński powiada: „człowiek sam musi czuć, myśleć, działać, jeśli ma zostać rzeczywistym (prawdziwym?) człowiekiem; wyręczyć go zaś w tej w pracy nikt nie może“ (str. 4). Co prawda, dodatek końcowy tu zbyt czuły, bo przecie wszystkim wiadomo, że np. nauczyciel nie może uczyć się za ucznia. Nakoniec same dzieje ludzkości oraz doświadczenia codzienne uczą, że w żadnej gałęzi działalności, czy to umysłowej, czy estetycznej, czy nawet technicznej i przemysłowej, nie zajaśniał żaden mąż wybitny, któryby nie przeszedł dobrej szkoły: ośmielamy się tak wierzyć, pomimo wszelkich pochwał, któremi pan D. obsypuje „samouctwo“, pomimo nawet przytaczanych przez niego przykładów, gdyż te są niezbyt przekonujące. Karol Wielki rzekomo już w wieku dojrzałym nauczył się pisać, ale przedtém już ktoś nauczył go czytania, a więc „samoukiem“ nazwać go nie można. Linneusz i Newton, powiada p. D., byli w szkole nieukami, Arago zaś zaledwie w 14 roku życia nauczył się czytać: świadczy to, jak mniemam, o ich powolnym rozwoju umysłowym, nie zaś o cudownej sile „samouctwa“ bo przecież ci mężowie byli w szkołach. Podobnie i nasz Rej nie jest tak „uderzającym przykładem, ile samouctwo zrobić może“, jak chce autor, bo nie zabłysnął ani gruntowną znajomością łaciny, której rzekomo sam się nauczył, ani też samodzielnością geniuszu twórczego w piśmiennictwie: pomimo bowiem wszelkich zalet jego utworów, nikt dotychczas, oprócz pana D. nie nazwał go pisarzem „genialnym“ (str. 9).

Niekiedy sam p. D. miarkuje się w swym zapale dosamouctwa gdy np. powiada: „nie przeceniajmy wartości samouctwa... liczne niebezpieczeństwa grożą takiemu, ktoby sam, bez żadnej pomocy, wykonywał pracę *samowychowania* (sic). Samouk musi korzystać z rad i wskazówek innych ludzi, musi się także zwracać do książek i t. d.“ (str. 5). Zgadza się więc to z podaniem powyżej przez nas określeniem jedyne go rodzaju samouctwa, który w rzeczywistości istnieje i o którym poważnie mówić można; ale nie zgadza się z wie-

lu innymi ustępami I rozdziału w książce pana D. jak np. z następującym: „złe metody wychowawcze, jak powszechnie wiadomo, *zabijają* w człowieku *interes dla wiedzy*, przystępują *uczucia* moralności, ale w obec *samowychowania* rezultaty tego rodzaju *wydają się* nam być *niepodobieństwem*“ (str. 4). Jeżeli dobrze zrozumieliśmy ten frazes, nie celujący zresztą bynajmniej gładkością oraz poprawnością wysłowienia, znaczy to, że szkoła i nauczyciele wytwarzają często-kroć ludzi głupich i złych, ale „samouctwo“ niewątpliwie obdarza rozumem i cnotą!

Przejdźmy jednak od uwag teoretycznych do kwestyi, mającej w danym razie pierwszorzędną doniosłość praktyczną, a mianowicie: ponieważ całe wydawnictwo pedagogiczne Gebethnera i Wolfa, którego niniejsza książeczka pana D. stanowi wstęp i propedentykę, ma być przeznaczona dla „samouków“, to potrzebną byłaby wiadomość, jakiego to mianowicie wieku osobniki i na jakim stopniu rozwoju umysłowego zostający mają korzystać z tych podręczników? Jasnej i stanowczej, a tak potrzebnej, jak się zdaje, odpowiedzi na to pytanie u pana D. nie znajdujemy. Spróbujmy więc ulubionej mu metody indukcyjnej, ażeby z rozrzuconych tu i owdzie półsłówek wytworzyć rozwiązanie postawionej kwestyi. Oto na str. 6 czytamy „małe dzieci samoukami być nie mogą; tego rodzaju praca przystoi tylko *dojrzewającemu i dojrzałemu* wiekowi“. Zdaje się nam, że najpierwszej umiejętności — czytania nietylko dziecko, ale nawet człowiek dorosły nie zdoła nabyć bez nauczyciela, który musi go żywem słowem uczyć wymawiania głosek: może więc tu, oprócz wieku ucznia, ma pewne znaczenie także natura przedmiotu nauki, ale mniejsza o to tym razem. Tak więc niniejsze podręczniki przeznaczone są dla ludzi „dojrzewających i dojrzałych“. Ale nie wiemy jeszcze: czy dla takich, którzy nigdy nie uczyli się niczego? Bynajmniej, bo oto na str. 4 czytamy: „na wychowawcu ciąży obowiązek, ażeby *po wyjściu ze szkoły* prowadzili dalej dzieło własnego udoskonalenia“ a udoskonalenie to, mówiąc nawiasem, autor uważa tylko za dodatek, uzupełnienie i rzecz drugorzędną, w stosunku „do pracy fachowej“ (str. 6 i poniżej jeszcze str. 43).

Tak tedy z podręczników „samouctwa“ mają korzystać młodzieńcy i ludzie dojrzały „po wyjściu ze szkoły“. Ale z jakiej szkoły? Odpowiedzi na to szukamy daremnie. Jedynie z elementarnego charakteru tak wskazówek, zawartych w książeczce pana D. jak i następujących po niej podręczników wolno wnosić, że ten szereg dziełek przeznaczony jest dla takich, którzy mało co więcej posiadli nad naukę czytania, a więc dla dawnych wychowawców szkoły o najniższym zakresie początkowym. Ponieważ jednak do szkół takich nie uczęszczają „ludzie w wieku dojrzewającym i dojrzałym, jeno dzieci, należy więc przypuszczać, że „samouki“, dla których podjęli pracę pan D. z kolegami, powinni, po przebyciu szkółki elementarnej, zaczekać lat kilka, może nawet kilkanaście i wtedy do-

piero, gdy wstąpią w okres „dojrzewający“ zabrać się do prowadzenia dalej własnego udoskonalenia, przy pomocy podręczników. Jak długo ma trwać ta pauza, prawdopodobnie poświęcona „pracy fachowej“? Do odpowiedzi na to pytanie już nie możemy dojść metodą indukcyjną czy syntetyczną. Podobnie trudno nam z powyższymi danymi pogodzić niektóre napotykanne w dalszym ciągu dziełka wskazówki, polecające „samoukom“ np. Słownik geograficzny (str. 75), jedenastatomową Historią konsulatu Thiersa, 15 tomów Źródeł Dziejowych (str. 83 i 84) oraz niektóre inne dzieła, zbyt obszerne nawet dla studiów uniwersyteckich, a używane jedynie przez uczonych specjalistów.

W pierwszych sześciu rozdziałach autor porusza zostające w związku ze sprawą wychowania najrozmaitsze kwestye ogólne i zasadnicze. Treści tu nie brak: mamy tu bowiem, oprócz uwag pedagogicznych, ustępy z logiki, zadania psychologii, kwestye z zakresu etyki oraz estetyczne, a to wszystko w zakresie niezmiernie zacieśnionym, gdyż rozdziały, prawie równo rozmiarzone, nie zawierają więcej jak po 4 do 5 stroniczek. O gruntowność a nawet popularność wykładu w takim zakresie trudno. Zresztą dla „samouków“ przeważna część owych wywodów jest zbyt czułą i mało korzystną, gdyż nie brak tu zdań i poglądów zbyt jaskrawych, jednostronnych, oraz nacechowanych sprzecznością logiczną. Tak np. w rozdziale I znajdujemy taką definicyą pamięci, nie wiem czy zrozumiałą dla samouków: „pamięć nie jest jakąś ogólną władzą, ale raczej własnością procesów psychicznych“ (str. 14). W rozdziale V na str. 30 autor, tłumacząc metodę indukcyjną, powiada, że stawia ona hipotezę na podstawie obserwacyi jednego tylko faktu (tak mieli postępować przytoczeni tu Kepler, Archimedes i Newton); następnie, według pana D., ową hipotezę czy wnioski sprawdza my dalszemi obserwacyami. Zdaje się jednak, że badacz empiryczny potrzebuje jak można największej ilości spostrzeżeń (i przy tém jak można najdokładniejszych) i z téj dopiero większości wnioskuje o reszcie podobnych zjawisk i objawów; nasz autor zaś to gromadzenie obserwacyi nazywa sprawdzaniem. Gdyby kto na podstawie jednéj tylko obserwacyi chciał stawiać hipotezy ogólne: widząc np. pszczoły, gdyby wniósł, że wszystkie owady miod robią, albo słysząc śpiew słowika, gdyby pospieszył się z hipotezą, że wszystkie ptaki śpiewają, a potem dopiero ją się sprawdzania owych, tak pospiesznie wytworzonych wniosków, straciłby nadaremnie dużo czasu i zachodów, a samą metodę okryłby śmiesznością. Niewłaściwie téż autor używa wyrazu indukcyja zam. w wnioskach, gdyż indukcyja jest to metoda: nie można więc powiedzieć, że „Archimedes obserwował fakt...“ a następnie utworzył indukcyją“ ani téż, że „indukcyja stała się prawdą“. Z mniejszą jeszcze ścisłością logiczną mówi autor o dedukcyi (str. 31), a podając określenie i wzór sylogizmu, zapomniał wyjaśnić ró-

źnicy pojęć ogólnych czyli rodzajowych od gatunkowych i indywidualnych, wskutek czego wzajemny stosunek sądów, wchodzących w skład sylogizmu, oraz sama droga wnioskovania pozostały niezrozumiałemi, gdyż wiadomość o samych tylko nazwach „przesłanek“ niczego jeszcze nie tłumaczy. Brak owego wyjaśnienia sprawia, że i przytoczony przez autora przykład błędnego sylogizmu pozostaje niewytłómaczonym i wypada poprzestać jedynie na głoślowaném „żąd nie wypada“ (str. 32). Mówiąc w rozdz. VIII o usterkach językowych (co właściwie należy do stylistyki, a raczj do gramatyki, ze stylistyką połączonj) pan D. niepotrzebnie gani archaistyczną staropolską formę *imieniowi* (str. 45). Nie zasługują też na bezwzględne potępienie wyrazy obec: *bagajela, kwatery, pensya, werwa, szansa* (str. 46). *Redagować*—podane jako jednoznaczne ze swojskim *oddziaływać* (przez pomyłkę zam. *reagować*). Słusznie karci błędy gwary, jak *dryzda, frajda, kwandrans* i t. d., ale wypadało dodać, że to gwara warszawska, wykaz zaś błędnych form i wyrażeń możnaby znacznie pomnożyć (*pomału, stalować, nieomal, pięknę, paru, załapać, otworzyć do kuferka, kop, ciąg* i t. p.). Na str. 45 w uwadze o błędnym rządzie słów *żądać, wymgnąć* i t. d. opuszczono wyrazy *kogo? co?*, w skutek czego cała uwaga stała się niezrozumiałą, gdyż zaleca jedynie przypadek 2-gi jako prawidłowy, nie wspominając, z jakim przypadkiem używają słów tych błędnie. To, co autor mówi o *dobrodźwieku* (sic), który „zależy już to na powtarzaniu jednego i tego samego wyrazu, już to od u z w i ą z k o w a n i a (!) wyrazów, nadania im nie z w y k ł ę g o (?) znaczenia“ (str. 51) jest i niepoprawne i ciemne; zresztą przytoczone przykłady owego „dobrodźwieku“ skłonniejsi byłibyśmy uważać za błędy stylu niż za zalety.

Dalj idą uwagi o nauczaniu przedmiotów pojedynczych. O wskazówkach, tyczących się wykładu matematyki, chemii, przyrodzawstwa i t. d., nie podejmujemy się wyrokować; uwagi zaś, odnoszące się do innych przedmiotów przeplatane są licznemi paradokсами, pełnemi sprzeczności logicznych. Najpierwiej to już stanowi wielką wadę tej pedagogiki, że autor najczęściej mówi o s z k o l e i n a u c z y c i e l u, tracąc z oczu cel książki, którym przecie miało być przeważnie, jeśli nie wyłącznie, ułatwienie „samouctwa“. Pobieżne, tu i owdzie rozrzucone wskazówki w tym przedmiocie są albo niewystarczające albo niepraktyczne. Tak w rozdz. IX, mówiąc o nauce języka rodzinnego, autor słusznie zaleca „samoukom“ ćwiczenia piśmienne—wypracowania, listy, prowadzenie pamiętnika i t. d.; ale wiadomo, że jeżeli gdzie, to tu najbardziej kierownictwo i pomoc nauczyciela są niezbędne; potrzeba przecież, aby ktoś ćwiczenia prowadził, zwracał uwagę ucznia na mniej stosowne zwroty, wskazywał lepsze sposoby wysłowienia i t. d. Jak ominąć ważny ten szkopol w „samouctwie“—jeżeli tylko ominąć go można—pan D. nie

wyjaśnia wcale (str. 54 i dalsze). Podobnie, wspominając o trzech odmiennych sposobach pisania wyrazów, zakończonych na *ia* i *ya*, autor poprzestaje na zalecaniu, aby trzymać się jednego któregoś bądź sposobu, ale już stale i konsekwentnie (str. 57). Taka swoboda wyboru w kwestyi naukowej, wygląda nieco dziwnie. Goniący za sławą reformatorską zwolennicy naprawy ortografii polskiej znajdują tu jednak słuszną uwagę, że: „pisownia nie wpływa na nasze wymawianie“. W wykazie książek do czytania (str. 59—60), nie wiem, czy dla „samouków“ na stopniu elementarnym byłyby odpowiednie takie dzieła jak dramata Słowackiego, poezye Konopnickiej lub humorystyczno-satyryczne utwory Lama.

W rozdz. X o nauce języków obcych znajduje się na str. 65 słuszną radą przystępowania jak najprędzej do czytania dzieł obcych przy pomocy słownika: istotnie bowiem tą drogą dochodzi się w niedługim czasie do coraz to dokładniejszego rozumienia treści, która z początku była zoledwie na w pół lub mniej jeszcze zrozumiałą. W sprzeczności jednak z tą radą zostaje ustęp na str. 68, gdzie mowa o połączonych z taką lekturą „nadzwyczajnych trudnościach. a i najlepszy słownik nie wiele ulgi przyniesie“. Pociesza jednak autor samouka gołosłownym ogólnikiem: „jednakże umysł ludzki i z tego wybrnąć potrafi“, dodając anegdotkę o pewnej osobistości, która rzekomo, posiadając w swém osamotnieniu jedną tylko książkę — powieść W. Skota, doszła do zrozumienia treści, pomimo zupełnej nieznajomości języka angielskiego.

W rozdz. XI o geografii wciąż mowa tylko o nauczaniu i szkole; o „samouctwie“ znajdujemy zaledwie dwie czy trzy wzmianki; wskazówek zaś dla samouka — prawie żadnych. Autor uważa, iż analityczny — to jest tradycyjny sposób nauczania geografii właściwym jest dla wieku dojrzalszego, a więc chyba także dla „samouków“ którzy, jak wiemy, muszą być już w wieku starszym; nową zaś metodę, którą nazywa „syntetyczną“, polegającą na rozpoczynaniu od miejsca rodzinnego, od którego przechodzi się następnie do okolic najbliższych, potem do dalszych i t. d. poleca dla dzieci (str. 73), ale przytęm nie wspomina, że ta metoda, zastosowana np. w podręczniku A. Jeskiego, posiada szkopol pierwszyorzędny, o którym warto byłoby szerzej pomówić. Mianowicie do nauczania geografii tą metodą byłaby potrzebną niezmierną ilość odrębnych podręczników, gdyż ułożony np. dla dzieci, zamieszkałych na Żmudzi, nie mógłby się już przydać dla mieszkańców Szląska, Ukrainy i t. p.

Rozdział XII, zawierający uwagi o nauczaniu historii, mógłby dostarczyć krytykowi najbliższego materiału. Tak np. pan D. wąpi, czy „dzieci kupców, rzemieślników, rolników i t. p. będą mogły naśladować czyny wielkich wodzów i królów“. Mniema nadto, że w nauczaniu historii nagromadza się za wiele nadzwyczajnych faktów, wydarzeń romantycznych (?), które zaszczipiają pogardę dla powszedniego życia“ (str. 78). Wniosek z tej krytyki do-

tychczasowej treści historii taki: „trzeźwo rzeczy biorąc, należałoby uwagę uczniów odwrócić od wrzawy wojennej, od intryg i pompy różnych dworów, a skierować ją ku siedliskom (?) pracy wynalazczej, nauki i sztuki“ (str. 79). Autor zapomniał, że chociaż nikt już nie uważa za historią samego tylko kalendarza królów oraz dziejów wojennych, to jednak niepodobna całkiem z tej nauki wyrzucić czynów bohaterskich i osobistości wybitnych dla tej prostej przyczyny, że my dziś wprawdzie możemy podzielać niechęć p. D. względem „wrzawy wojennej i dworów“, ale ludzkość przez długie wieki i wieków dziesiątki innego była zdania, gdyż najlepsze jej siły, najwybitniejsze zdolności i czynność najenergiczniejsza napływały i skupiały się właśnie ku „wojnom i dworom“. Zresztą pogląd autora doprowadziłby do wniosku wcale nie demokratycznego ani postępowego: wypadłoby bowiem, że jedynie dzieciom generałów, ministrów, hrabiów i t. p. godzi się opowiadać dzieje wejen perskich i punickich, mówić o Arystydesie, Katonie, Leonidasie i Scypionach, o czynach Aleksandra W., o Hannibalu, Napoleonie i t. d.; dla młodzieży zaś „kupieckiej, rolniej, rzemieślniczej“ i t. d. wystarczy historia odkryć i wynalazków, dzieje rolnictwa, rzemiosła ciesielskiego, handlu, szewstwa, stolarstwa i t. d. Według tego byłyby potrzebne specjalne i odrębne podręczniki historii—arystokratyczne i demokratyczne! A przecież syn rolnika lub kupca jest lub ma zostać człowiekiem, i jako człowiek może i powinien podziwiać wielkie czyny bohaterów; którzy również byli ludźmi. Sam pan D. sprzecznie z powyższą dyatrybą, zaraz później przyznaje, że „poznanie ludzkich charakterów, dążności i czynów koniecznie prowadzi do wykształcenia rzetelnych sądów moralnych i kształci rozumnego obywatela“ (str. 79), Zbytecznym wydaje się nam także ostrzeżenie autora, że „wierzenia religijne nie dają się ująć sam ić (!) z potęgami nadprzyrodzonymi“ (str. 80), gdyż nie wiem, czy mógłby kto uważać za jedno potęgi nadprzyrodzone i wiarę w nie. Krytykując metody wykładu dziejów, pan D. zaleca najnowszą metodę niemiecką, którą nazywa „koncentryczno-syntezytyczną“, ale jej nie przedstawia jasno i dokładnie (str. 83). Warto jeszcze wspomnieć, że w ciągu całego tego rozdziału autor mówi wyłącznie o szkołach, dzieciach i nauczycielach, zaniedbawszy sprawy „samouctwa“: sam nawet ten wyraz znajduje się tu tylko raz jeden (str. 82, a wyraz „samouk“ również raz tylko na str. 83, na czele spisu dzieł, z których samoukowie korzystają mają; wymieniono tu zaś, jak już wspomniałem, pomiędzy innymi także 15 tomów Źródeł dziejowych, 11 tomów Thiersa, 10 tomów Macaulaya, nawet Tucydysa! (niewiadomo czy w oryginale?).

Z rozdziału XIII o naukach przyrodniczych, przytoczę tu tylko bez komentarzy jedno zdanie autora, charakteryzujące zapewne jego kierunek filozoficzny: „całe *nowożytne myślenie* (?) zabarwiło się przyrodniczo“ (str. 87).

Dziwnie jakoś pośród innych, poświęconych metodyce i dydaktyce, wygląda rozdział XVIII, gdzie mowa o... emancypacji kobiet! Mamy więc tu zdania i poglądy Platona, Kanta, J. J. Rousseau, (którego nikt z panem D. nie nazwie filozofem genialnym str. 166), wreszcie Stuarta Milla—wszystko to zaś dla „samouków“ na stopniu elementarnym! Następują dowodzenia samego autora, z których się okazuje, że między obu płciami istnieją „różnie fizyologiczne i psychiczne“ (str. 168), z których jednak „trudno zrobić jakiś pedagogiczny użytek“ (str. 170), chociaż nam się zdaje, że zarówno wymagania logiki jak prawa natury w traktowaniu dwu osobników, posiadających różnice, nakazują postępować odmiennie. Głosuje więc pan D. za *zupełnie jednako- wém* kształceniem obu płci, uważając „konkurencją z mężczyznami“ za jedyny próbiez uzdolnienia kobiet do wszystkich zawodów (! str. 172) i utrzymuje, że *po męzku* wykształcona kobieta dokładnie spełni obowiązki żony, matki, gospodyni i t. d. (str. 174). Niepodobna tu nam wchodzić w polemikę z tak radykalnym poglądem emancypacyjnym; zauważymy więc, że na razie ostatecznym rezultatem, do którego dążą wywody autora, jest twierdzenie następujące: „są *niektóre* zawody (czemuż nie *wszystkie?*), w których kobiety bardzo odpowiednio pracują, nie ustępując w *wielu* razach mężczyznom; do zawodów takich należy np. nauczycielstwo“ (str. 176). Że kobiety mogą być dobrymi nauczycielkami—wiedzieliśmy o tém z doświadczenia na długo przed początkiem idei emancypacyjnych i do uzasadnienia téj prawdy, nie potrzeba było ani Platona, ani Kanta, ani teoretycznych wywodów pana D. Zresztą te ostatnie wywody, jak zwykle u naszego autora, wpadają w sprzeczność i tém szkodzą raczej bronionej tezie: czytamy tu np., że nauczyciele płci żeńskiej (sic) wykazują często *małą bystrość umysłową i rozporządzają za szczerpami zapasami wiedzy*, wyuagradzają to jednak (!) wyższym stopniem cierpliwości i pobłażliwości (str. 177). Słyszeliśmy, że cierpliwość i pobłażliwość są dla nauczyciela potrzebne; ale żeby te przymioty mogły *wynagrodzić* małą bystrość umysłową i nieuctwo—o tém za prawdę nikt nigdy nie słyszał i szkoda, że pan D. tego osobliwego poglądu bliżej nie wyjaśnił. Tymczasem zaś taki „nauczyciel płci żeńskiej“, „posiadający mniejszą bystrość umysłową“ i mniej wiedzy niż mężczyźni, nie może być chyba uważany na równi z „nauczycielem płci męskiej“, bo przecie sam p. D. żąda od nauczycieli wykształcenia gruntownego i w całym niniejszym rozdziale i w następnym na str. 181. Rozdział kończy się porównaniem „walki kobiet o swe prawa z zapasami... patrycyuszów i plebejuszów rzymskich!“

W rozdziale XX znajdujemy dziwną płątaninę określeń i pojęć estetycznych z etycznymi. „Być szczęśliwym albo nieszczęśliwym—ot o rezultat procesów, zwanych uczuciami“ powiada autor (str. 191). — błędnie, gdyż zasadniczą cechą uczuć stanowią: *przyjemność i nieprzyjemność*, dążność zaś do szczęścia jest wynikiem idei

dobra, które wprawdzie razem z ideami piękna i prawdy stanowią jeden z żywiołów treści uczuć, może nawet w istocie rzeczy mają źródło wspólne, jak to przypuszczali już Sokrates i Platon, ale w życiu potocznie i w mowie zwykłej wyróżniają się i nie mogą być za jedno uważane. Malarstwo i rzeźba, któremi tu autor się zajmuje, nie wynikły z pogoni ludzi za szczęściem, ale z popędu do urzeczywistnienia idei piękna w celu osiągnięcia bezinteresownej przyjemności estetycznej. Usiłując wyjaśnić różnicę pomiędzy naukowym, a estetycznym punktem widzenia, pan D. mówi: badacz się poświęca dochodzeniu prawdy, chodzi mu o poznanie *istoty i wykrycie rzeczy*. Artysta *ima rzecz bezpośrednio* i t. d. (str. 192). Autor zapomniał, że takięj bagatelki jak poznanie istoty i wykrycie przyczyny nigdy jeszcze żaden badacz nie osiągnął; na czem zaś polega owo „bezpośrednie (?) imanie“ artystyczne, ma rzekomo wyjaśnić podany przykład drzewa, ale tu dowiadujemy się jedynie, że artysta oprócz lipy i pokrywającego ją kwiecica, dostrzega także: pszczoły, wróble, popołudniowe słońce, cienie, lany zboża, chaty wsi i szafirowy baldachim nieba. Wszystkie więc te akcesorya lipy oraz jej otoczenie stanowią owo imanie bezpośrednie? Przytoczę jeszcze dwa zdania. „Przyroda, mówi autor, wychowuje w rodzaju ludzkim artystę (!), dobierając do tego celu umysły najwrażliwsze i t. d., artysta zaś jest to „człowiek *odznaczający się* tém *tylko* od innych ludzi (sic), że jest wrażliwszy, że zwraca uwagę na takie rzeczy, które dla innych są niespostrzegalne (!) Ponieważ *to* (co? zapewne owa większa wrażliwość) jest dobór przyrodniczy, przeto *geniusz sztuki* (?) nazwaliśmy środkiem, którego przyroda używa do przeprowadzenia dzieł swoich“ (str. 193). Jeżeli dodamy, że autor, jako wyznawca szkoły, odrzucającej wszelkie ideały, nie wierzy również w abstrakcyę i typy (a jednak sam nie mógłby wypowiedzieć jednego zdania bez używania pojęć abstrakcyjnych, a również i w geometryi istnieją pono abstrakcyę jak np. linia, trójkąt i t. d.)—będziemy mieli, zdaje się, dostateczną charakterystykę estetyki pana D., przeznaczonęj dla „samouków“, a opartęj widocznie na darwinizmie, który jako hipoteza wyłącznie zoologiczna, nie wiem czy może służyć za podstawę definicyj estetycznych.

Mówiąc w rozdziale XXIV o gimnastyce, autor, jak wszyscy, powołuje się na Greków starożytnych. Podobno jednak nasi zwolennicy gimnastyki zapominają, że owe ćwiczenia u Greków były przygotowaniem do igrzysk i popisów publicznych, które w życiu świata starożytnego odegrały rolę tak ważną, u nas zaś nie istnieją. Nadto świadectwa historyczne nie uprawniają nas do wniosku, jakoby Grecy, dzięki swojej gimnastyce, odznaczali się nadzwyczajną krzepkością, byli wolni od chorób lub żyli dłużej od innych ludzi. Mówimy to dla tego, że dziś kult gimnastyki sztucznej przechodzi w przesadę, a w szkołach wielu krajów europejskich za przykładem podobno Francyi, pałająćj żądzą odwetu na Niemcach, gimnastyka

stała się musztrą wojskową, niezawsze wiekowi i siłom dziatwy odpowiednią. Niepodobna więc odmówić słuszności trafnym zarzutem Herberta Spencera, które przytacza autor (str. 233); w każdym razie nawet doświadczenie z lat dawnych (w Polsce) i czasu obecnego (w Anglii) przekonywa, że gimnastyka naturalna, swobodna i nieskrępowana — przechadzki, bieganie, jazda konna, pływanie, wiosłowanie i t. d., wyrabiają skutecznie siły i zachowują zdrowie młodego pokolenia.

W ostatnich rozdziałach poświęconych nauce rysunku, śpiewu, robót ręcznych i gimnastyki, nie wypadło autorowi prawie całkiem wspominać o samouctwie: zbyt widocznym bowiem musiało być niepodobieństwo nabycia tych wszystkich umiejętności bez nauczyciela. Przy końcu więc raz jeszcze stwierdza się wypowiedziana przez nas na początku uwaga, że gdy mowa o samouctwie, trzeba pamiętać, do jakich mianowicie przedmiotów można ją zastosować. Zresztą i w ogólności i w szczegółach jak to nasz rozbiór wykazuje, sprawę samouctwa autor w swém dziełku nie traktował systematycznie ani konsekwentnie i pod żadnym względem jej nie zbożcił, nie ułatwił ani nie posunął na nowe tory, traktując rzecz dorywczo, chaotycznie i według pomysłów własnej fantazyi, mającej mało co wspólnego z wymaganiami pedagogiki. Spisu treści rozdziałów dziełka szukaliśmy na próżno, a przydałby się w tym labiryncie encyklopedycznym, natłoczonym taką różnaitością poruszonych lub traktowanych pobieżnie przedmiotów i kwestyi.

W całym dziełku dosyć licznie rozsiane są wykroczenia przeciwko czystości języka — pojedyncze formy i wyrażenia niepoprawne oraz wady stylu. Do pierwszych nalażą np.: *młodego człowieka* (str. 4 i 225); wątpli w *prawdy wiary* (str. 29); oddawać pojęcia *przez wyrazy* (str. 51, podob. s. 193); w istotę języka *wniknąć* (str. 54); *spalają* (str. 79); *różnych od siebie narodów* (str. 80).

Do pomyłek korekty wypada zapewne zaliczyć np. *Wilkowski zam. Wilkoński* (str. 59) oraz *Sermo venus zam. verus* (str. 222. Zresztą dzieło Celsusa, o którym tam się wspomina, bez wielkiego dla „samouków“ pożytku, napisane było po grecku pod tytułem *Logos alethes*.

Nie możemy też uznać wytworu poznańskiego „greka“ — na wzór wyrazu „lacina“ urobionego (str. 32), ani też nowotworu „dobrodźwięk“ (str. 51). Skoro już wyrazy „samouk“ i „samouctwo“ zostały niejako utarte, można je tolerować, ale „samowychowanie“ i „samowychowawca“ są to nowotwory, trącające niemieczyzną¹⁾.

Jako próbki wadliwego stylu, niech posłużą następujące przykłady: „Zasłynęli dla tego *ponieważ* sami prowadzili“ i t. d. (str. 4). „*Ille*croć człowiek nie może wyjaśnić sobie dostatecznie jakiegoś zjawiska, *to* *zawsze* jednak wyobraża sobie jego przyczynę“ (str. 18). „Poznanie prawdy na jakiejbądź niwie jest ciężkim *trudem* *wysilków*,

¹⁾ Równie jak metoda poglądowa szkolnictwo i t. p. *Przyp. Red.*

jakkolwiek daje wewnętrzne zadowolenie, a przeto każdy sumienny pracownik wie dobrze, że wszystkich rozumów nie posiadał i przeto jest on skromny“ (str. 20). „Wierzenia religijne nie dają się utożsamiać z potęgami nadprzyrodzonymi“ (str. 80). „To bowiem. czego uczymy się w szkole, potrzebne jest każdemu człowiekowi, a więc to nie stanowi jeszcze nauczycielki“ (str. 180). „Użytecznymi są także zagadki, ponieważ rozwijają ciekawość i pobudzają do uważnego zastanowienia, ale powinny one być zrazu bardzo zrozumiałe i takie, ażeby jego (?) dziecko mogło odgadnąć“ (str. 184). „Z językiem krajowym znać się dobrze“ (str. 185). „Człowiek pozostawał bez żadnego odnośzenia się do świata zewnętrznego“ (str. 191). „Uczucie dla piękna“ (str. 192). „Kobieta prawa swoje zwycięża“ (? str. 177). (Dok. nast.).

L. W. Szczerbowicz

Stanisław hr. Rzewuski. Hrabia Witold. Powieść. Warszawa 1890.

Oceniając dzieło literackie, historyk znajduje się w daleko szczęśliwszem położeniu, niż krytyk rzeczy współczesnych. Przed oczami historyka bowiem leży stos dokumentów, na których podstawie łatwo można odtworzyć w wyobraźni postać duchową pisarza, ocenić warunki, wśród jakich żył i rozwijał się, wytłumaczyć rodzaj i kierunek jego twórczości; co do krytyka zaś, ten jeżeli ma zwłaszcza do czynienia z pisarzem, znajdującym się dopiero w epoce rozwoju, zazwyczaj zupełnie lub prawie zupełnie sobie nieznanym, — stoi w obec szeregu trudnych do rozwiązania zagadek. Dawniej wymagano od niego, żeby omawianą książkę w zajmujący sposób streścił, żeby zaznaczył, co mu się w niej podoba, a co nie, a już najwyżej, żeby wykazał reminiscencye w pomysłach lub wykonaniu z jakiego powszechniej czytanego autora: główna trudność polegała na tém, żeby dowcipnie wyśmiewać i zgrabnie chwalić. Dziś w obec innych żądań, estetyczne upodobania krytyka cofają się w głąb, nagona lub pochwała ustępuje na plan drugi, a najważniejsze zadanie jest w tém, żeby utwór, z którym się ma do czynienia postawić we właściwem świetle, żeby „rozklasyfikować“ go, tak jak naturalista robi z nieznaną sobie rośliną czy owadem, zaliczyć do jednej z istniejących już gromad, lub wskazać, do której ustrojem swoim zbliżony jest najwięcej, opisać jego charakterystyczne i indywidualne cechy, słowem, załatwić się z nim w sposób metodycznie naukowy. Aby temu mózdz sprostać, trzeba się wielu rzeczy domyślać, wiele zgadywać, naturalnie w domysłach i zgadywaniach nader często się mylić, bo jak pięknie Taine powiedział, dzieło sztuki jest tylko muszlą, na której ślimak ślady swojego istnienia odcisnął; poznać, jakim był w rzeczywistości jest największém, ale i najcięższém zadaniem. Nicunikiuno a prawie nieprzeczwyciężone te trudności wykazują niezawodnie, że teoria „estetyczno-psychologiczna“ w zastosowaniu do

współczesnej krytyki ma jeszcze bardzo wiele poważnych braków; może z czasem znajdzie się ktoś, co ją udoskonalić potrafi. Tymczasem musimy, chcąc nie chcąc do jej wymagań się stosować, musimy robić wysiłki, żeby wywiązać się z nich w sposób jak najmniej niezadawalniający i strzedz się niechybnych prawie na tak karkołomnej drodze niebezpieczeństw.

Mamy naprzykład do czynienia z pisarzem młodym, nie wyrobionym.

Nie można jeszcze powiedzieć, że ten kierunek, jaki wybrał, będzie wytyczną całej jego przyszłej literackiej działalności. Kilka dramatów, ułożonych przez niego, przyjęto na scenie z bardzo miernym powodzeniem, bo raziły drastycznością pomysłów i sytuacji, a choć czasem nie brak im było pewnych przeblysków talentu, jednak wiało z nich powietrze tak dziwnie nie swoje i duszne, że publiczność nie bez obawy i strachu słuchała, a krytyka odzywała się o nich z widoczną łatwo dającą się zrozumieć niechęcią. Teraz pisarz ów przerzucą się na pole powieści dotychczas zupełnie dla siebie obce. Łatwiej już nieco scharakteryzować jego wyobrażenia i pojęcia. W dramatach z natury rzeczy autor stawał na stanowisku obiektywnym, co mu jednakowoż nie przeszkadzało przeprowadzać za ich pomocą tendencyi o kierunku bardzo skrajnym, w utworze powieściowym nie waha się za to być subiektywnym więcej niż trzeba. Co krok można się spotkać z dygresjami, nie mającemi związku z samą bajką, a stanowiącemi jedynie ujście dla poglądów filozoficzno-etycznych autora. Zaraz z kilku pierwszych stronic dowiedzieć się można, że ma wstręt do „polskiego szowinizmu“, a uwielbienie dla wszystkiego, co jezt francuskie: i ta myśl snuje się po całej książce od pierwszej do ostatniej strony. W dalszym ciągu nauczy się czytelnik, że wszystko, co mamy, zawdzięczać winiśmy tylko Francyi, która jest alfą i omegą oświaty, cywilizacyi, literatury: że nasi poeci, Mickiewicz zwłaszcza, także byli ludźmi wielkimi, ale szkoda, że ich poezye były nacechowane takim „szowinizmem“ (! str. 190) i mistycyzmem, za to Balzac, a nadewszystko Musset stanowią ostatni wyraz poetycznej sztuki. Oprócz nich jest jeszcze „dwóch genialnych dramaturgów, którzy szeregiem swych arcydzieł stworzyli nowy rodzaj poezyi dramatycznej, nowy odcień satyrycznej obserwacyi“ — pp. Meilhac i Halevy, autorowie „Pięknej Heleny“ „Życia paryskiego“, „Perikoli“, utworów opartych na bardziej ludzkich motywach, na prawdziwszych pobudkach psychicznych, niż tysiączne arcy-poważne sztuki ¹⁾.

Prócz tego, kto zechce, będzie miał dowiedzione jak na dłoni, że kobieta sprzedająca miłość za pieniądze „nie jest bynajmniej potworem moralnym, ohydą, wzgardy godną istotą: jest tylko kobietą

¹⁾ Hrabia Witold. Str. 367 i 368. Cytata dosłowna.

słabą, piękną, pragnącą korzystać z niedługich lat piękności“ (str. 369), i że takie pojmowanie rzeczy jest właśnie „wzniosłą filozofią“. Cała idea książki wskaże, że człowiek jest stworzony do miłości i przez miłość tylko żyje (naturalnie mowa o miłości w jej najniższym znaczeniu) bohaterem jest mężczyzna żonaty, tracący majątek dla operetkowej ladacznicy, bałamucący szesnastoletnią dziewczynkę i zaczynający romans z pięćdziesięcioletnią kokietką, — a jednak człowiek zacny i szlachetny, jeno słaby i ulegający potężnemu uczuciu, ogarniającemu pierś jego, kochający wszystkie owe cztery kobiety (nie wyłączając żony) miłością nie równą co do stopnia, ale rzeczywiście i płomienną, bo „czyż jedno przywiązanie wystarcza sercu ludzkiemu? czyż nie kochamy wielu istot w życiu? (str. 452). A zresztą „nie ma nic bezwzględnie na świecie: wszelką zbrodnię, pomyłkę, namiętność przebaczyć i zrozumieć należy, nie warto radować się, ani oburzać niczém... Mielibyśmy się mylić? Czyżby te i tym podobne poglądy miały być tylko wyrazem stanu umysłowego hrabiego Witolda a nie hrabiego Stanisława? Pragnęlibyśmy bardzo, żeby tu zachodziło nieporozumienie. Łatwo bowiem byłoby pojąć duszę bohatera powiesić. Wychowany zapewne w domu z imienia tylko polskim, zdany na opiekę płatnych bon i guwernerów, nie uczony przez niedbałą matkę ani pacierza, ani tego, czego nas wszystkich zaraz po paciorku uczą: nie przywiązany do tego kraju zupełnie niczém wyjechał bardzo młody i bardzo bogaty gdzieś w świat bez żadnej opieki, rozpoczął życie rozpuszne, nadtargał zdrowie i wyzbył się najprostszych pojęć jakiegokolwiek moralności; wykształcił się na tym Offenbachu, którego tak uwielbia, przesiąkł paradoksami Dumasa syna, oswoił się z obrazami Zoli; „Pana Tadeusza“, lub „Ody do młodości“ ani znał... taki człowiek, łatwo można pojąć, że takie zasady wygłaszał. Inaczej trudno byłoby sobie wytłumaczyć proces duchowy człowieka o podobnie zgnilych i wypaczonych poglądach. Jeżeli więc jest tak, jeżeli się mylimy, to niech nam będzie wolno przynajmniej zapytać, dla czego pan Rzewuski robi swojego bohatera tak nad wszelki wyraz sympatycznym: tu już pomyłka jest niemożliwa, wrzenie jest niezaprzeczenie inne. A dziwnym zbiegiem okoliczności autor „Hrabiego Witolda“ pisze po polsku tak źle, że książka wygląda, jak gdyby bardzo nieszczególne tłumaczenie. Każde prawie zdanie jest pomyślane i zbudowane po francusku i z trudnością, często nader niezgrabnie wtłoczone we frazes polski.

W dramatach, które się znało jedynie ze słyszenia, etyka wydawala się nam podobnej wartości co tu; złyj polszczyzny jednak nie było znać zapewne dzięki dobrej grze znakomitych aktorów, — a przecież jest to szczegół dla charakterystyki pana Rzewuskiego nie mało ważny. Czy przynajmniej powieść, jako dzieło sztuki jest napisana dobrze, czy ma jaką artystyczną prawdziwą wartość? Trzymając się zasady przytoczonej powyżej, że „nie ma bezwzględ-

nego na świecie“, nie możnaby naturalnie wydać potępiającego wyroku. Są książki złe, napisane genialnie, i przez to właśnie wywierające wpływ olbrzymi: ale do tych „Hrabia Witold“ z pewnością nie należy. W krytykach, których przedmiotem był dotychczas pan Rzewuski, przyznawano mu prawie jednoznacznie talent. Nie chcemy i nie śmiemy twierdzić przeciwnie: może on i jest, ale tak przysypany w każdym razie mnóstwem rzeczy wzbudzających wstręt i odrazę bez rekompensaty artystycznego zadowolenia; że go dojrzeć bardzo trudno. Najzagorzalszy przeciwnik Zoli naprzykład żadną miarą nie będzie mógł dowieść, że nie ma w jego powieściach wspaniałości pierwszej miary, wynagradzających chociaż w części to, co tam jest obrzydliwego. Trzeba przytém przyznać, że autor „Hrabiego Witolda“ nie bierze sobie bynajmniej Zoli za wzór, i w poczet wielbicieli naturalizmu nie może być wcale policzony. Naprzód jest na to zanadto tendencyjnym; autor *Dziela* i zwolennicy jego szkoły wypierają się tego, jak najuroczyściej i zapewniają, że pragną jedynie życie we wszystkich jego objawach na gorącym chwytać uczynku i oddawać je wiernie — przedmiotowo, bezstronnie. Do tego żadną miarą pan Rzewuski pretensyi mieć nie może. Postacie stwarzane przez niego, są raczej wytworami niezdrowej fantazyi niż wzorami z rzeczywistego życia: nieznanomość naszych stosunków i naszego kraju widoczna jest na każdym kroku; obserwacya bardzo płaska, płytka, powierzchowna razi co chwilę niespodziankami bardzo dziwnymi. Co do bohatera powieści, o tém czy jest prawdziwy i istotny, mógłby chyba rozstrzygnąć lekarz-psychjatra: w każdym razie wydaje się wysoce nieprawdopodobne, żeby tak moralnie zgniły człowiek, rozpustnik, uwodziciel, szuler, nie wahający się od biednego sługi wyludzać krwawo zapracowanych oszczędności, mógł być człowiekiem o tak delikatnych i uszlachetnionych uczuciach: gdyby je miał, niezawodnie powstrzymywałyby go one nad brzegiem przepaści, w którą wpadał. Zresztą, gdzie on ich miał nabyć? Z pewnością nie w rodzicielskim domu, ani nie w objęciach ładacznic: może go tak wykształcił Offenbach, „ten maestro, który był niekiedy natchnionym prawie wieszczem (str. 453). Hrabia Rzewuski zapewnia, że gdzieś podobno kiedyś bohater jego odbywał studia w uniwersytetach niemieckich, tam przejął się „najwznioślejszemi teoryami Hegłów, Schellingów i Fichte'ów“ (!!!), tam poznał „zagniatwany mechanizm serca ludzkiego i nauczył się wiecej sympatycznej (!) i łagodnej filozofii życiowej, na rezygnacyi i tolerancyi opartej“ (str. 196). Jako ciekawy dodatek do jego charakterystyki warto dodać, że był „trochę nieśmiałym liberałem, Ignącym więcej do sceptycyzmu“, ale że wierzył w Boga. Jednym słowem: niczego nie brakuje tej postaci prócz logiki... Obok hrabiego Witolda są w powieści tylko dwie postacie jeszcze wysunięte na plan pierwszy; obie kobiece. Żona, hrabina Ludwika, stanowi godną do swego męża parę: jako historyczka w najwyższym stopniu także mogła-

by być poddana raczej lekarskiej aniżeli literackiej analizie. Byłby to jeszcze argument nie nie znaczący, bo naprzód podobno to prawda, że każdy z nas jest pod pewny u względem umysłowo chory — a potem łatwą mógłby znaleźć p. Rzewuski wymówkę w Szekspirze, w królu Learze na przykład; wprawdzie i na to można mu odpowiedzieć dwoma łacińskimi przysłowiami: *Est modus in rebus* i *Quod licet Jovi...*, ale oprócz tego, hrabina pastwiąca się nad mężem w sposób najhaniebniejszy, dręcząca go najokropniej, nie dająca pieniędzy na najzwyczajsze potrzeby, — a pragnąca przytém, żeby o dawniej kochance zapomniał i stał się porządnym człowiekiem (a najwyraźniej chce tego, mimo, iż wprost co innego mówi), — ta hrabina, mająca uchodzić za usposobienie i charakter polski, — odznacza się przedewszystkiem przez to, iż we wszystkiém, co mówi i robi, przedewszystkiem oburza na siebie i od pierwszej chwili do ostatniej, od owiej rozmowy z adwokatem, aż do lubieżnego pocałunku, złożonego na trupie rozpustnika, postępuje sobie nie histerycznie ale idiotycznie, pominawszy już to, że nie wzbudza litości nad sobą, ale wstręt mimowolny. Co do Kici, ostatecznie najpodobniejsza jeszcze jest do ludzi, wynagradza też to dostatecznie zupełną pospolicotą i brakiem wyrazu, zarówno jak i wszystkie inne podrzędniejsze w powieści postacie. Gdyby chciały wykazywać fakt po fakcie wszystkie niekonsekwencye, niedorzeczności i obruszające każdy smak estetyczny ustępy, możnaby o książce pana Rzewuskiego na pisać książkę drugą — bezwątpienia tylko wówczas, jeśli by pod jakimkolwiek innym względem zasługiwała na uwagę. Ponieważ jednak pragnęłyby się jaknajgoręcej, żeby „hrabia Witold“ zginął w literaturze naszej bez echa i bez wspomnienia, a już w najgorszym razie służył jako odstrasający przykład zupełnie nieudanej próby, — poświęcanie mu dużo miejsca byłoby niekonsekwencyą nie do darowania.

Niestety — metodę „esto-psychologiczną“, którą chcieliśmy zastosować z początku, musieliśmy w środku porzucić, sprowadziłyby nas ona na tory nadzwyczaj nieprzyjemne, gdyby zmuszała do skreślenia moralnego i psychologicznego portretu autora na podstawie przeczytanej książki — a nadzwyczaj trudne, gdyby kazała wyszukiwać jakiegóż gromady podobnych owiej powieści literackich zjawisk. Psychiatria i pornografia składają się w niej na mięszaninę równie oryginalną, jak niezwykłą. Znamy w naszej literaturze (jeśli wolno w tym wypadku tego słowa użyć) jedną tylko autorkę, któraby z panem Rzewuskim godnie rywalizować mogła, panią Gabryellę Zapolską. Z pisarzy zagranicznych — francuzkich, (bo tych pan Rzewuski uważa tylko za ideały, godne naśladowania) Zola z pewnością wyparłby się „Witolda“, bo w nim jest wszystko oprócz naturalności i prawdy; wyparłby się go i Bourget, boby się przestraszył podobnej psychologii; wyparłby się i Maupassant, (do którego stosunkowo najwięcej jest zbliżony) dlatego, że niedostrzegliby w nim tej zrzeczności, bez

jakięj utwory owęj szkoły stają się długimi anegdotami o brudnej treści. Podobno „hrabia Witold“ jest przełożony na język francuzki. Nad Sekwaną może nie będą wiedzieć, że to przekład z polskiego i złudzeni pewnym podobieństwem zgnitego ducha, jaki zeń wieje, oraz nazwiskiem na *ski* zakończonem, będą go czytać z uprzedzeniem przychylnem, może z większą rozkoszą będą go czytać gdzieindziej, jeżeli romans i na inne języki, w których mu będzie więcej do twarzy, zostanie przełożony; ale u nas z pewnością każdy prawie odrzuci nieciekawą książkę z niechęcią. Hrabia Rzewuski dobrzeby więc doprawdy zrobił, gdyby dalsze książki swoje przedkładał wprost przed sąd francuzkięj (lub innęj) publiczności. Doprawdy bowiem doznaje się pewnej ulgi na myśl, że się już skończyło o tej powieści pisać i nad nią myśleć.

J. K. Ehrenberg.

Wincenty Rapacki. *Hanza*; powieść z XV wieku. Warszawa, 1890. Trefniś nowelle, obrazki i szkice. Warszawa, 1890 r.

Jako pisarz, p. Rapacki w jedną tylko stronę zwraca uwagę, — w stronę dziejów krajowych: to chram jego pomysłów, i jego kult autorski. Oczytany w przedmiocie ukochanym, wybiera dla swych celów szczegóły, i od głośnego „Wita Stwosza“, od lat piętnastu zatem, układa je w formę dramatu lub powieści. Ostatnią tego rodzaju produkcją jest „Hanza“, powieść z XV wieku. Utwór jakby sądzić można po zbyt ogólnym tytule, nie wehłania całości, nie kreśli historii tej wielkiej instytucji, która tak potężną rolę odegrała w wiekach średnich, lecz dotyka jej pobieżnie, i tylko w odniesieniu do Krakowa, kreśląc nie licznemi, ale dosadnemi rysami stosunek jej do mieszczan i municypalności krajowej, akcyę ograniczając do kilku jedynie miesięcy roku 1410, mało co poprzedzających ów wielki pojedynek dziejowy między światem teutońskim a wszechsłowiańskim i przeważnie polskim, rozstrzygnięty pod Grunwaldem.

Lubo Rapackiego i ukształceni czytają i czytać mogą z zajęciem, pisze on jednak popularnie, dla mniej świadomych i maluczkich. Takiemu czytelnikowi, który mniej się jeszcze wtajemniczył w arcana dziejowe, serce krwawić się będzie, wstyd uderzy mu do czoła, na widok smutnego obrazu ¹⁾, jaki ów stosunek Hanzy do Krakowa przedstawia. Kto tam panem, kto sługą — pomysli sobie, — w tym grodzie, w tej stolicy króla Polskiego i wielkiego księcia Litwy? Hanza ma tam swoją osobną jurysdykcyą osobne prerogatywy, sądy, duchowieństwo, wojsko; imponuje miejscowym ludziom rozumem, bogactwem, siłą; drwi z miejscowych władz, głośno oręduje interesy niemieckie, wyrzywa ludność, uszczupla

¹⁾ Powieść p. Rapackiego nie opiera się na gruncie historycznym. Zob. Bibl. Warsz. 1890. Zesz. na mies. czerwiec str. 497. *Przyp. Red.*

grunta pod nogami żywiołu rodzinnego: a wszystko to bezkarnie. Cóż na to król, wojewoda, stany? Ano nic. Hanza działa na mocy dawnych, zaprzysiężonych nadań, statutów, przywilejów. I czy podobna aby kilku, wypasionych handlarzy obcych, trzymało w szachu miejscową ludność i władze? Nieodzwonnie: bo za tymi handlarzami stoi nieprzebrane złoto, uczynność ludów i władców współplemiennych; związek ten sam w sobie podtrzymują dwa silne filary: jedność i karność, organizacja gmachu obmyśla z góry najdrobniejsze szczegóły, konieczne do podtrzymania całości, której cementem jest bezwarunkowe posłuszeństwo i poświęcenie jednostek dla ogółu, powolnych jak machiny skinieniu głównego rozkazodawcy. Ci handlarze, to ludzkie głowonogi o potężnych ssawkach, działający siłą, przebiegłością, podstępem, pochlebstwem, przekupstwem, no i rozgałęzioném po wszechświecie szpiegostwem: nikt lepiej nie potrafi odkryć, gdzie leży słaby, ażeby go zdusić, nikt z większą rafineryą nie pastwi się nad bezbronnym, nikt zręczniejszemu nie wymknie się silniejszemu. Oto obraz tej hanzeatyckiej drużyny, jaki rozstrzelonemi rysami roztacza się w tym utworze Rapackiego. Gdyby nie zbyt widoczne świadectwa, że autor studyował epokę gdzieindziej, ze źródeł właściwych, można by mniemać, że tanim kosztem zdobywa koloryt, pod zmienionemi nazwiskami kresląc z pod ręki wizerunek dyplomacyi, manipulacyi, otoczenia i rządów księcia Bismarka, bo nawet to, co hanzeatycznie się generała Steinmetza o poznańczykach: „das posener Vieh!“ Naprzeciw takiego obrazu usposobienia Hanzy występuje miejscowy, na którym widnieje ludzkość, słabość, niedołęztwo, serce gołębie, umysł barani. I to czytelnika najbardziej boli. Gdyby też nie to...

Na tle dopiero tego ogólnego kontrastu psycho-społecznego przejawia się z fantazyi czerpany wypadek powieściowy. Na czelu Hanzy krakowskiej stoi *Olderman*, *Reinhold von Bonar* z *Ingermanlandu*. Dawnemi laty uwiódł młodą piękność, *Agatę Ziębiankę*, córkę mieszczanina krakowskiego; byłby się nawet z nią ożenił, gdyby ustawa Hanzy, tolerująca związki nieprawie z miejscowemi, surowo przywódcom nie zabraniała prawych, ochraniając przez to plemienną czystość sojuszników. Żeby jednak swęj ofiary, dla której żywi niewygasłe uczucie, nie pozbawiać poczesnego miejsca w społeczeństwie, *Reinhold* wydaje ją za mąż za jednego z osiadłych w Krakowie Niemców, handlarza różańców; co mu nie przeszkadza utrzymywać z nią dalej najczulszych stosunków, z wiedzą męża, którego *Agata* całą duszą nienawidzi, wciąż sercem oddana dostojnemu uwodzicielowi. Wreszcie autor niedość jasno określa ten związek w związku: jestże to cynizm, jestże to platonizm? W każdym razie coś, co rzuca szkaradny cień na panią *Agatę*, zkaład podnoszoną do jakiegoś ideału,

do męczeńskiej aureoli pokutniczej, na stanowisku kochanki i matki. Tak, bo ta sympatyczna dla autora, a dla nas obmierzła ścierka niemiecka, jest matką, matką nieszczęśliwą, równie jak żoną. Nieszczęśliwą, ponieważ Reinhold odjął jej syna, nie chcąc, ażeby jego potomek, lubo nieprawny, wsiąkł w ludność polską: kochając go zarówno jak matkę, sposobi go na Niemca, wychowuje zagranicą i przeznaczają do Hanzy. Ale szczerp się nie przyjmuje, ciąży ku drzewu macierzystemu. Ten opór Rudolfa, młodego sokoła, którego na to chowano „ażeby braci sokołów uniował“, stanowi główną przyprawę powieściową, bardzo, jak na romans, umiarkowaną, ale dość zręcznie między wypadki społeczne wplecioną. Intrygi, zdumiewające zuchwalstwa i łotrstwa hanzeatów, doprowadzające to ukochane dziecko Reinholda Bonara do śmierci, sprawiają nareszcie to, że ten koryfeusz niemieckiej Hanzy z oburzeniem porzuca związek, żeni się z Agatą i wciela w ludność miejscową. I on to zapewne ma być protoplastą słynnego później rodu Bonarów w Polsce.

W tem rozwinięciu powieściowem charaktery małą odgrywają rolę. psychiczny koloryt ich błady, tak iż z pod niego w niektórych figurach głównych, jak Reinhold i Agata, nawet wartość moralną, zwłaszcza u ostatniej nie w dostatecznym występuje oświetleniu. Interesującym i sympatycznym, rozumie się dla nas, jest młody Rudolf; ale i tu, chcąc los jego, dla potępienia Hanzy, uczynić tragicznym, autor zaryzykował fakt wątpliwego prawdopodobieństwa. Pomimo całego zuchwalstwa hanzeatów, czy podobna przypuścić, ażeby młodzieńca w dniu wesela, z pośród rodziny i tłumu przyjaciół, jacyś ludzie obcy, zamaskowani, podejrzani, wprowadzili z domu jak cielę na rzeź, kiedy dość było jednego skinienia, okrzyku, ażeby tych opryszków zdemaskować, pogruchotać im kości. Nie romantyczna też strona stanowi zaletę tego utworu, przeciwnie, wygląda ona nawet nieco prymitywnie, jakby z czasów Niemcewicza, cała waga opowiadania polega na żywiole historycznym, na ogólnym ruchu społecznym, którego rozkład na sceny pojedyncze interesem romantycznym związane, uchyla rzeczywiście jeden rąbek z dziejowego tła odnoszącego się do czasu i miejsca. Charakterystyczną uwerturą do tego dramatu stanowi pochod taboru hanzeatyckiego do Krakowa przez Szlązk, i zdradliwy nań napad nikczemnego Przemysława, ks. Oświęcimskiego, oraz rabunek taboru przerwany wybuchem prochu wiezionego na sprzedaż. Pełnym również charakterystyki jest opis wewnętrznego ustroju biura Hanzy krakowskiej, sceny wybijania fałszywych monet, wyklinania i odklinania Wierzyńka, jak również ku końcowi, szturm do Sukiennic i ich obrona.

Oprócz historyczności, powieść ma barwę ogólnoplemienną i mocno tendencyjną, a więc jednostronną. Autor, zlekka dotykając niezaradności polskiej i słabości rządu, usiłuje, pod posta-

cią Hanzy, w najczarniejszych kolorach przedstawić charakter Niemców w ogóle i krzywdy nam przez nich zadane potęgować. Wygląda to na okrzyk słabego pisklęcia przeciw drapieżnemu ptakowi. Wszak tak biegłemu w sprawach polskich autorowi znane jest przysłowie: „kijem tego, kto nie pilnuje swego“, przysłowia przez naszą mądrość narodową utworzonego, ale nigdy nie praktykowanego. Nie my to będziemy ukrywali krzywdy od wrogiego słowianom plemienia przez nas poniesione; ale kto temu winien? Kto winien że się zmarnowały przeciwgermańskie wielkie czyny naszych Bolesławów? Cóż sami Bolesławowie: pierwszy, przez długoletnie szamotanie się to nad Weltawą, to nad Dnieprem, z opuszczeniem oczyszczonych kresów nad Elbą i Salą, drugi przez rozdrobnienie z trudem odzyskanych dzierżaw pomiedzy stado książątek. Kto winien, zapuszczeniu raka teutońskiego w ziemię Dobrzyńską i pozostawieniu następnie obciążonych mu pod Grunwaldem kleszczów, by się rozrosły w potworę, nurtującą po dziś dzień. Kto winien, że podli Piastowie Szlązcy woleli przełajdaczyć ojcowiznę obcym niż połączyć się silnym węzłem z ojczyzną wspólną? Kto winien, że toż samo czynią dziś jeszcze względem komisji kolonizacyjnej ci, co niedawno na morderczo-słuszny zarzut księcia Bismarka wołali w uniesieniu patryoty cznym: „Nie pójdziemy do Monacco“. Kto winien nareszcie, że dla braku inicjatywy cywilizacyjnej, trzeba było, z postępem czasu i potrzebą reform, pożyczką u obcych obciążać ustawicznie hypotekę społeczną. Krzywdy? Krzywdąż to, ulepszenie rolnictwa, zaprowadzenie rzemiosł, organizacya cechów, urządzenie stosunków handlowych i t. p.? Trudna rada: piękne za nadobne, za naukę trzeba płacić, i nikt jéj darmo nie daje; a skuteczniej jest i pożyteczniej powiedzieć całą prawdę, niż grać na jednej strunie faktu, choćby najpopularniejszej. Pan Rapaeki przedstawił Hanzę z jéj strony ohydnej; na boku zostawił całą jéj stronę cywilizacyjną i postępową. Mycoją i z téj strony znamy, cóżbyśmy dali za to, gdyby podobne zjawisko mogło być wyjść z naszego ducha i z naszej inicjatywy, nie byłoby dziś u nas ani kwestyi niemieckiej, ani kwestyi żydowskiej. Powiada nareszcie w końcu, że po bitwie pod Grunwaldem, w Krakowie „Hanza wlokła czas jakiś nędzny żywot, aż wreszcie wyrzucono ją z miasta, jako sprzęt niepotrzebny“. I to wymaga sprostowania. Wyrzucono ją z Krakowa, w téj formie w jakiej istniała wtedy, ale niemniej pozostała ona w całym kraju, w formie szlachetniejszej i bardziej podbijającej, w takiej formie istnieje ona do dzisiaj, z siłą niemniejszą niż przed wiekami. Łódź, Zgierz, Pabianice, Żyrardów, czy to nie Hanza? Niech autor przejrzy spisy fabryk i rękodzieł po całym kraju i zbada ich początek. Niedosyć na tem. Handlarze przedmiotów mechanicznych niebawem przemieniają się w handlarzy myśli. Czem od wieków zasilaliśmy umysł na drodze nauki, jeśli nie myślą niemiecką? Zkąd

przychodziły nasze teorye i systematy prawnicze, historyczne, pedagogiczne, jeżeli nie z Niemiec. Do jakich źródeł zaglądamy dziś jeszcze przeważnie, jeżeli pragniemy poznać w tym kierunku z gruntu przedmiot jaki? I to się nazywa wyrzuceniem Hanzy! Autor ma zupełną słuszość co do faktu usunięcia jakiegoś obskurnego kantoru, ale skoro z powodu tego kantoru wyjechał na pole ogólne, oto pokazuje się, jak małego znaczenia był ten facyk w stosunku do istoty rzeczy. Dzięki próżniactwu i przesądowi samymi się oddali w niewolę Hanzy.

Tę gorycz przeciwko Niemcom wylewa i dalej autor w zbiorze drobiazgów, od pierwszego z kolei, zatytułowanych „Trefniś”; zatytułowanie niedorzeczne, ale ponieważ pochodzi z kądinąd, musimy temu zwyczajowi złożyć hołd, choćby dla konsekwentności z samemi sobą: wszak prawda panowie wydawcy? Owoż znajdujemy tu jeszcze, pod ogólnym tytułem „Z dziejowego pomroku“, cztery odnoszące się do stosunków naszych z Niemcami wspomnienia, którym w opracowaniu p. Rapackiego najwłaściwiej służyłaby mogła nazwa anegdot historycznych. „Hundsfield“, opisuje bohaterską obronę Głogowa, przeciw obleżeniu Niemców, zakończonemu ową sławną bitwą zwycięzką, której pobojuwisko nazwano „psiem polem“. Zachodzi tylko kwestya, czy bitwa według tego opisu istniała w rzeczywistości, czy jedynie w wyobraźni Marcina Galla, nieposledniego na swój czas poety. A jeżeli nie istniała, a w każdym razie, jeżeli jest przez krytykę historyczną mocno zakwestyonowana, to czy godzi się powtarzać i utrzymywać rzeczy niesprawdzone ze wszystkimi przyborami dramatycznymi, niby fakta niewątpliwe? Prawda, że toż samo uczynił i Kraszewski, ale to niensprawiedliwia. Do takiej samej kategorii należy i „Zasadzka“ uczyniona jakby przez Krzyżaków przeciw Jagielle już po bitwie Grunwaldzkiej. Bezgraniczne łotrostwa krzyżackie i podłości wszelakiego rodzaju jakich się to szanowne bractwo dopuszczało, uprawdopodobniają i te zasadzki na życie lub wolność Jagielle podczas traktatów o pokój i nie mamy nie przeciw powtórzeniu tego faktu kronikarskiego, choćby dla charakterystyki plemiennój. Ale autor, przy okazji, puszcza się na dowolne wywody polityczne, przechodzące granice dozwolone dla fantazyi, i tęp, zdaniem naszym, grzeszy. Nie ma on dość słów uwielbienia dla Witolda, potępienia dla Jagielle, którego intrygom i niedołęztwu przypisuje zgubne powstrzymanie zwycięzkiego pędu oręża polsko-litewskiego po bitwie pod Grunwaldem, i na króla zwała całą winę, że nie domordowano do końca tój potwory, nadużywającej znaku Krzyża św., — czego jakoby tak pragnął Witold. A z kąd autor wie o tych życzeniach tego, jak go nazywa, Achillesa Litwy? Achilles grecki nigdy nie prowadził konszachtów z Trojanami, tymczasem owego litewskiego widywaliśmy nieraz w obozie

krzyżackim, zmwiającego się przeciw Litwie. I teraz po walnej bitwie, jak najświeższe poszukiwania domyślać się pozwalają, jego to raczej sprawą było powstrzymanie wojsk na drodze do Malborka, bo mu chodziło o zapewnienie sobie gdzieś jakiejś udziałności, więcej niż o cokolwiek innego. Proszę przejrzeć choćby studia Smolki. Nie przeczymy, że Witold, to rycerz, „chevalier sans peur“, ale nie „sans reproche“, jak mu to p. Rapacki w swém bezwarunkowém uwielbieniu przyznaje. Z powodu ostatnich ryczałtowych rugów poznańskich, przypomina autor („W setną dwudziestoletnią rocznicę“), jak na 120 lat przed tą chwilą, ów urangutang historyczny, zwany Fryderykiem Wielkim, przemocą porwał z dziełnic polskich siedem tysięcy dziewcząt na łup dla swych grenadyerów, dla poprawienia rasy krzyżackiej; i oczywiście krzyczy na ten gwałt, którego wspomnienie istotnie targa wnętrzości z oburzenia... na tych co go dopuścić dozwolili. A nie był to przecież pierwszy tego rodzaju policzek, otrzymany od dawnego wassala, który się niczego podobnego względem sąsiadów nie dopuszczał. Dlaczego?... Kto pierwszy puszcza taki policzek bezkarnie, zasługuje na obfite ich żniwo, według ówczesnego uczucia godności szlacheckiej, mniejszą było hańbą tolerować obce gwałty we własnym domu, niż poddać się w nim warunkom porządku i siły, koniecznym do utrzymania powagi. Tego oświetlenia brakuje w zestawieniu dwóch odwrotnych, ale analogicznych faktów napędzania i wypędzania nas z siedzib własnych przez sąsiada. Za to niebrak oświetlenia skromnego „Kartce z epopei saskiej“, gdzie podczas urody, wydanej na cześć króla Augusta II, u jednego z magnatów, giną trzy żony, król zabiera żonę gospodarza, gospodarz wetuje sobie tę stratę na rządcy, a rządcą na karbowym, któremu z kolei radzą szukać dla siebie odwetu. Anegdota co do obyczajów i postępu etyki społecznej charakterystyczna i zwięźle zakończona, równie jak „kamień węgielny“, zakładany przez Stanisława Augusta pod pałac Łazienkowski, w chwili gdy król, jako właściciel majątku w Galicyi, otrzymuje od jęj gubernatora rezkrypt o złożenie przysięgi homagialnej. Na czele tego szeregu faktów głęboko upokarzających i do pewnego stopnia historycznych stoi ów tytułowy „Trefniś“, rodzaj biografii młodzieńca z chłopskiej chaty, Józefa Sikory, który, dzięki wrodzonemu dowcipowi, wzięty przez biskupa lubelskiego na trefniś, ucieka podczas ruchawki Napolenijskiej skrycie z pałacu, a za powrotem w r. 1812, jako oficer wyższy, staje się wybawcą dawnego chlebobdawcy wobec morderców francuzkich. Opowieść ma zaletę rzeczywistości osób i faktów. Cała ta część zbioru odznacza się gładkością i prostotą formy opowiadawczej, ale i z treści i sposobu traktowania wygląda tak, jakby przeznaczoną była na artykuły do wypisów, do czego też przydałaby się istotnie przy pewnych modyfikacyach.

Z drugiego działu, zatytułowanego „Z życia“, jeden obrazek „Powaga Gminy“ stanowi dobrą humoreskę, przedstawiającą wszystko dokumentnie robiącego i dokukumentnie głupiego chłopca, który wszelako pozorami samodzielności i powagi zyskuje zaufanie gminy, powierzając jej mu ster interesów. Dwa inne mają charakter nowelli. — W „Dwóch nieszczęściach“ zamyka się żywot serdecznego człowieka prawie bez żadnej przyprawy powieściowości; ale zato „Romans Antka Grudy“ mieści jej nawet za wiele. Ma on wyborową charakterystykę fantazyi młodego Antinousa wiejskiego, który neony kokieterią emancypowaną i bogatąj dziedzićki, odbywającą na nim próbę swoich wdzięków, topi w tym stosunku stangreta do pani serca i rozumu, upaja się nim, marzy, dopóki nie nastąpi straszna chwila przebudzenia. Rzecz prowadzona interesująco, ma tylko tę wadę, że jakkolwiek energiczna sama przez się, blednie na wspomnienie „Ulany Kraszewskiego“, której (może najniesłuszniej) zdaje się być, z przemianą płci, naśladowaniem, do tego stopnia, że i tu ofiara zabawki pańskiej kończy samobójstwem w tej samej formie i w tych samych warunkach jak i tam, gdyż sprawczyni tej katastrofy, za powrotem od ślubu, spostrzega przed pałacem, jako pierwszy widok wiszącego na drzewie Antka.

Dział „Z za kulis“ kreśli rozmaite figury teatralne lub mające związek z teatrem, po większej części bezimienne. Jeden tylko artykuł „Dyrektor-obywatel“ wyraźnie i imiennie charakteryzuje znakomitego kierownika sceny, Pfeifra, i stanowi zasłużoną jego apologią: reszta, razem wszystko wzięwszy, odsłania poniekąd rąbek psychologii aktora i wprowadza w szczegóły tego życia teatralnego, mającego swój typ odmienny. Dwa tam zauważyliśmy ciekawe spostrzeżenia. W artykule „Naiwna“ wykazuje autor, że dostrzegane w życiu te rozkoszne i pociągające przymioty naiwności, jakim przyklaskujemy w teatrze, nie stanowią bynajmniej rękojmi, że równie zachwycającemi będą w teje samej osobie na scenie teatralnej, i że pod tym względem można się bardzo omylić. W innym artykule „Na ołtarzu sztuki“, otrzymujemy wskazówkę, że pewna forma, pewien nastrój przechodnich uczuć rzeczywistych w aktorze, nie tylko nie pomaga (jakby się zdawało) do odtworzenia uczuć podobnych na scenie, ale przeciwnie, przeszkadza. Popiera to autor z własnego i p. Modrzejewskiej doświadczenia przykładem. Sławna artystka, pod bezpośrednią wiadomością o śmierci ukochanego brata nastrojona boleśnie, ażeby nie tamować powodzenia pierwszych przedstawień „Wita Stwosza“, pomimo boleści ofiarowała się grać, tuszyła sobie nawet, że boleść rzeczywista tém więcej przyczyni się do uwydatnienia idealnej boleści roli. Zawiodła się. — „Wszystkie piękne miejsca roli, powiada autor, tak subtelnie opracowane przez artystkę, znikły, zatarły się; było tylko łkanie lez nieklamanych,

których publiczność nie odczuła“. Spostrzeżenie to swoje kończy też autor uwagą estetycznie nader przekonywającą i zasadniczą:— „Z własnych cierpień nie uwije sobie artysta wieńca“— dodamy, z cierpień bez pośrednich, gdyż z drugiej strony, suma ich, oddziaływa na nerwy, pobudza je do nadzwyczajnej czułości, co w sztuce, zwłaszcza dramatycznej, ważną odgrywa rolę.— „W chwili tworzenia, powiada słusznie p. Rapacki,— władze ducha muszą być w równowadze. Trzeba boleć stratę jak każdy, a potem zapomnieć o niej... Kto chce władać sercami innych, musi wprzód zapanować nad własnem. Odległe tylko wspomnienia przebytych smutków, bólów lub radości, gdy napłyną do duszy, mogą z niej wydobyć czarujące tony uczuć i ludzi potęgą prawdy, bo „co ma ożyć w pieśni, musi zginąć w rzeczywistości“— Na tém słowie poety niemieckiego zamyka się dział oraz cały zbiór myśli i obrazków, tak szczęśliwie zatytułowany „Trefniem“.

Wszystko to, o czém tu zdaliśmy sprawę dość szczegółową pisze autor językiem niekoniecznie bogatym w obrazy oryginalne, ale jędrnym i o szczeropolskim zacięciu, posiadającym pewien rodzimy humor. Styl jego jest gramatycznie poprawny, obcy wszelkim naleciałościom; widać w nim nawet godną uznania dbałość o uszanowanie czystości szaty narodowej i logiki języka, tak, że na obie książki dostrzegliśmy tylko jeden przypadkowy znadź lapsus c a l a m i (Trefniś, str. 35):— „Odjeżdża z Bessarabii, gdzie lizał się z ran z a d a n y c h“, wszak lizać się można tylko z ran o t r z y m a n y c h.

Kazimierz Kaszewski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na politykę europejską: Polityczne znaczenie układu między Anglią i Niemcami w sprawie afrykańskiej; porozumienie między Francją i Anglią co do protektoratu nad Madagaskarem i co do położenia kolonii francuzkich na zachodnim wybrzeżu afrykańskim. Ces. Wilhelm II w podróżach.—Stosunek Państwa Kongo do Belgii.—Stosunki na półwyspie bałkańskim.—Imponujące położenie cesarstwa rosyjskiego wobec państw europejskich pod względem finansowo-ekonomicznym i politycznym.—Ameryka środkowa wśród zaburzeń rewolucyjnych.—Zamach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej na produkty europejskie.—Zjazd lekarzy polskich w Krakowie, Tow. pedagogicznego w Bochni i historyków we Lwowie.—Zamknięcie wydawnictwa „Kłosy” w Warszawie.—Wykaz liczby lekcji tygodniowych w gimnazjach męskich w Cesarstwie i Królestwie.—Z dziedziny sztuk pięknych: Nowy obraz Jana Matejki „Zaślubiny Kazimierza Jagiellończyka z arcyksiężniczką Elżbietą, córką cesarza Albrechta r. 1453”.—Odtworzona cęła Ś-go Stanisława Kostki w Rzymie.—Wykaz przyczyn przymusowej sprzedaży dóbr w Królestwie Pruskiem, a mianowicie: w W. Ks. Poznańskiem, Prusach Wschodnich i Zachodnich i na Szląsku.

Wśród ciszy, jaka w miesiącu lipcu panowała na polu polityki europejskiej, zaznaczyć trzeba fakt wielkiego znaczenia politycznego w dokonaniem zbliżenia się Anglii do Niemiec przez układ, określający sferę polityki kolonizacyjnej w Afryce wschodniej między Anglią a Niemcami. Za przyznany sobie przez Niemcy protektorat nad Zanzibarem i zapewnienie swobody działania w wyraźnie zakreszonych granicach zrzekła się Anglia na rzecz Niemiec wyspy Helgoland, mającej niepoślednie znaczenie dla obrony północnej granicy posiadłości niemieckich. Rozrost potęgi niemieckiej w Afryce stał się jedną z pobudek, przyspieszających zawarcie

przez Anglią pewnego układu międzynarodowego, który nietylko ubezpieczył dalszy rozwój interesów kolonialnych angielskich bez ofiar znamienitszych; ale zakończył okres dobrowolnego politycznego odosobnienia Anglii. Bez formalnego przystąpienia do t. zw. trójprzymierza stanęła Anglia przynajmniej co do najbliższej przyszłości po stronie sprzymierzonych mocarstw Europy środkowej. Mając przygotowane szczegółowe studyum o tój tranzakcyi międzynarodowej, które Czytelnicy w zeszyście wrześniowym „Biblioteki Warszawskiej“ czytać będą, poprzestajemy w tój chwili na kronikarskiem zaznaczeniu samego faktu.

Francya, patrząc podejrzliwém okiem na każdy śmielszy ruch zagranicznej polityki państw sprzymierzonych i Anglii, skorzystała z tój sposobności, aby również w drodze układu z Anglią, zdobyć sobie wyłączny protektorat nad Madagaskarem i zapewnić sobie różne korzyści na północno-zachodnich brzegach Afryki, które sięgają w sferę jęj wpływów kolonialnych.

Nie mogąc się poszczycić bezpośredniemi relacyami z gabinetami europejskiemi, nie umiemy, za przykładem naszych wielkich i nawet małych gazet codziennych, odgadywać tajemniczego politycznego znaczenia podróży cesarza Wilhelma II-go, który zwiedziwszy kraje i dwory państw skandynawskich, potracił o Belgią, odwiedza Anglią i przygotowuje się do wycieczki do Rosyji.

Nie bez znaczenia politycznego jest także nowe usankcyonowanie przyszłości Niepodległego Państwa Kongo przez Sejm brukselski, przez umowy międzynarodowe o tameczny system celný, tudzież przez umowę odrębną między Niemcami a królem Belgów o wzajemne wydawanie przestępców w Afryce.

Niepewne wciąż stosunki polityczne na półwyspie bałkańskim z powodu niemilknących coraz wyższych aspiracyj bułgarów, serbów i greków nie zagrażają na razie pokowi europejskiemu, zwłaszcza, że pojednawcza polityka Wysokiej Porty (mianowanie 3 biskupów bułgarskich w Macedonii) nie podsyca gwałtownego wybuchu zawistnych antagonizmów na wschodzie.

Pomyślny stan finansowości w cesarstwie rosyjskiem, przy niewzruszonym od dłuższego czasu kierunku polityki międzynarodowej, pozwala temu najpoważniejszemu stróżowi pokoju europejskiego zwracać w dalszym ciągu główną uwagę swoją na rozwój sił wojskowych i na porządkowanie wewnętrznych organów państwa.

Kiedy w Europie układają się stosunki pokojowo, chociaż pokój ten może tyle kosztuje, co niejedna wojna, to w Ameryce środkowej wybuchają coraz szerszej plomienie rewolucyjnych rozruchów. Argentyna, Guatemała, Honduras, nie mówiąc już o bardziej południowej Brazylii, wszczynają kolejno walki już to wewnętrzne już zewnętrzne pomiędzy sobą.

Zatwierdzenie przez kongres washingtonski ceł prawie zakazowych od produktów europejskich, przywożonych do portów Unii północno-amerykańskiej przeraziło w sposób jaknajgwałtowniejszy nawet najgorliwszych obrońców ceł od zboża i mięsa w Europie, która sądziła, że rosnące coraz bardziej swoje budżety wojskowe będzie mogła łączyć dochodami z ceł od zboża i wieprzowiny Stanów Zjednoczonych, wydających bardzo mało na swoje wojska.

Z pomiędzy wypadków, zasługujących na bliższą uwagę naszego społeczeństwa, zapisujemy w kronice niniejszej kilka faktów szerszego znaczenia.

W drugiego połowie m. lipca odbyły się w obrębie Galicyi trzy większe zjazdy naukowe: lekarzy polskich w Krakowie, Towarzystwa pedagogicznego w Bochni i historyków we Lwowie. Pierwszy budził żywszy interes w kołach lekarskich, drugi pomiędzy nauczycielami szkół ludowych, których sprawy obchodzą Towarzystwo pedagogiczne; trzeci zaś, dotyczący kwestyi naukowych ogólniejszych, będzie przedmiotem sprawozdania szczegółowego.

Z końcem ubiegłego półrocza, czasopismo illustrowane „Kłosy“, po dwudziestu pięciu leciach istnienia, był swój zakończyło.

Wydawca w „Kartce z historii Kłosów“, umieszczonej w numerze ostatnim, powody ich zwinięcia w taki sposób wyjaśnia: „Czasy i pojęcia się zmieniły. Zasady humanizmu, przez Kłosy krzewione, zbankrutowały: zaczęto ludzkość cechować i sortować, i—jak dla bydła—różne dla niej stwarzać przegrody. Nie pytają się więcęj jak kto pracuje, ale kto pracuje. Powstali fałszywi prorocy, w których wierzyć zaczęto; Kłosy zaś, nie schodząc z raz obranej drogi, straciły popularność a z nią i prenumeratorów. Niektórzy ze współpracowników utrzymywali, że moje wyznanie szkodzi piśmie; nie chciałem wierzyć, żeby współziomkowie moi, pod których dach przez 30 lat wnosiłem chleb duchowy, urabiany rękoma Krasickich, Słowackich, Naruszewiczów, Libeltów, Kraszewskich, Grottgerów, Matejków i t. p., szli za hasłem Hartmannów. Podobne twierdzenie uważałem za ciężką obelgę, społeczeństwu naszemu wyrządzoną, nie wierzyłem w nie i pismo dalej wydawałem, tracąc na niem coraz to więcęj“. (Straty te w ostatnich ośmiu leciach wynosiły przeszło 90,000 rubli). „Ze strat tych materialnych bynajmniej się nie chępię i poniesienie ich za usługę sobie nie liczę, bo krajowi naszemu nie zbywa, chwala Bogu, na ludziach, którzy dla jego dobra daleko więcęj tracą. Gdy jednak napaści na mnie, wrzekomo z tytułu wydawania „Kłosów“, stawały się coraz częstszymi, o nie tylko żaden głos nigdy w obronie mojej nie stanął, ale znikąd nigdy ani jednego nie zaznałem

słowa zachęty, postanowiłem pismo, które widocznie musi być zbyt zbytnie, a mnie ani moralnej ani materyalnej nie daje satysfakcyi, doprowadzić do lat i wraz z tym okresem ćwierćwiekowym je zamknąć“.

Kierownik literacki „Kłosów“ Adam Plug, przyczynę ich upadku upatruje z jednej strony w konkurencyi, wytworzonej im przez nowo-powstałe czasopisma, z drugiej zaś w złej woli prawie całej prasy, a szczególnie pewnych jej organów, które wszelkimi sposobami starały się im szkodzić.

„Gazeta Polska“ w poważnym a uczciwym artykule, poświęconym pamięci czasopisma zgasłego, przytoczywszy słowa jego wydawcy jako też i kierownika, takie od siebie dorzuciła do nich uwagi:

„Nie ulega kwestyi, że w sprawie upadku więtości, „Kłosów“, za czém poszło ich zamknięcie, odegrały rolę dwa czynniki, mające charakter społeczny, a mianowicie: ogólny upadek czytelnictwa, oraz niesumienna dziennikarska taktyka napaści, coraz bardziej rozwielniająca się w prasie. Oba zresztą te czynniki są z sobą w związku. Publiczność coraz mniej czyta, bo coraz bardziej traci szacunek dla prasy, która sama siebie nie szanuje. Coraz mniej czyta wreszcie z powodu, że nie wszystkie wydawnictwa mają chęć dogadzać coraz bardziej psującemu się smakowi, który tu i owdzie zatruwają z dnia na dzień pieprzne przyprawy obelżywych polemik. Kto w tym chórze nie wydobywa z siebie najostrzejszych, najbardziej syczących tonów, ten przestaje być słyszany i słuchany. Kto na brutalne napaści nie odpowiada tą samą monetą, uważając ją za uwłaczającą publicystyce, lecz zachowuje się zawsze spokojnie i poważnie, ten zaczyna powoli wyglądać tak, jakby nie miał racyi, jakby sprawa jego była złą i niepodobną do obronienia, albo też złożoną w ręce niedołężnych obrońców. Jeśli się nie mylimy, w takiem położeniu znalazły się „Kłosy“. Atakowane z rozmaitych stron, szły dalej spokojnie swoją drogą. Tymczasem, gdy jedni czytelnicy odwrócili się od nich dla ich spokoju właśnie, przyzwoitości i powagi, szukając gdzieś indziej pieprzniejszej strawy, inni, nie mający tej pobudki, słysząc ciągle nagany i zarzuty, powoli zaczęli wierzyć, że choć „Kłosy“ nie są znowu tak złe, gdzieś indziej może znajdą za swoje pieniądze coś lepszego. I poszli gdzieś indziej. Na szczęście, nie brak nam jeszcze pism, które wołałyby zupełnie zamilknąć, niż pięściami dobijać się głosu, łokciami torować sobie drogę, obelgami zwalczać współzawodników. Nie mniej zjawisko przybrało już dość znaczne rozmiary, aby nie miało zasługiwać na uwagę ludzi poważnych. Że upadek „Kłosów“ nie jest z niem bez związku, dowodzi to, jak już zło urosło“.

Mniej więcej w tym samym duchu przemawiały i „Tygodnik ilustrowany“ i „Gazeta Warszawska“, słusznie ubolewając nad upadkiem czasopisma, które przez lat 25 uczciwie dobru powszechn-

nemu służyło, co i większość opinii publicznej potwierdziła. To jednakże nie przeszkodziło kilku nieprzejednanym organom prasy naszej jeszcze i na ściernisku „Kłosów“ zwykle harce wyprawić;—szczególniej zaś jeden z nich przeszedł w tym względzie wszystkie inne; bo gdy tamte, mimo jawną złą wolę, przyznały im przecież pewne zasługi i zgodziły się na to, że zamknięcie ich jest wypadkiem godnym pożałowania, on sam tylko, głośno, otwarcie wydał okrzyk tryumfu, a nawet ostro skarcil przeciwnie zdanie.

Co do nas, ponieważ „Kłosy“ od samego początku aż do końca swego istnienia w bliższych zostawały stosunkach z „Biblioteką“, zrazu przez ś. p. K. Wł. Wóycickiego, który jednocześnie był obu pism redaktorem, potem znów przez Adama Pługa, który jest jednym z członków komitetu redakcyjnego „Bibl.“, a także i przez kilku wspólnych współpracowników; lepiej więc niż ktobądź inny byliśmy obeznani, nie tylko z kierunkiem zwinętego dziś wydawnictwa, ale i z zasadami i dążnością tych ludzi, którzy je prowadzili i możemy zaświadczyć, że był to kierunek uczciwy, oparty na znajomości potrzeb moralnych społeczeństwa, ożywiony najlepszymi chęciami i natchniony szczerem pragnieniem jego dobra. „Kłosy“ były organem konserwatywnym, ich konserwatyzm atoli nie był ani wstecznictwem, ani zastołością, rade bowiem witały i przyjmowały to wszystko, co dobrego postęp przyniósł, a że dla pewnej frakcyi prasy naszej czuć w nich było odór stęchlizny i zakrystyi, to ztąd jedynie, że mamy takich postępowców, w obec których każdy jest zacofanecem i obskurantem, kto nie zerwał z tradycją i z religją, kto nie poniewiera szlachty i duchowieństwa. „Kłosy“ tego nie uczniły: w pięćdziesięciu ich tomach znajduje się spory zasób zajmujących wspomnień z przeszłości, opowiadań historycznych, pamiętników, życiorysów, korespondencyi z czasów dawniejszych, tudzież opisów i rysunków starych zamków i świątyń, albo miejsc rodzinnych ludzi wsławionych i zabytków cennych przeszłości; znajdują się w nich obrazy treści religijnej, znajdują się ilustracje obrzędów kościelnych w dni doroczne, znajdują się biografie i portrety zmarłych albo nowo obranych papieży i biskupów, — tracą zatem stęchlizną i zakrystyą. Wprawdzie wszystkie pisma ilustrowane całego świata miewają dosyć rzeczy tego rodzaju i nikt ich za to ani o wsteczństwo, ani o ultramontanizm nie oskarża; wprawdzie dość ich jest i w „Tygodniku ilustrowanym“, a jeszcze więcej w „Biesiadzie literackiej“, i tym to uchodzi na sucho: „Kłosom“ tylko liczone to za winę, im tylko ci, co to wszystko uznali za rzeczy niepotrzebne i za szkodliwe, zarzucili, że się z potrzebami czasu nie liczą, mimo że w licznych korespondencyach z głównych ognisk ruchu umysłowego, w kronikach, przeglądach i studyach naukowych, literackich i artystycznych, oraz w wiadomościach bieżących zaznajmiały swoich czytelników z życiem społecznym, zaznaczając wszelkie zdobycze istotnego postępu.

Zresztą dosyć jest przejrzeć listę pisarzy i artystów, którzy w ciągu ćwierćwieku zasilali „Kłosa“ swemi pracami, a wśród których znajdują się ledwie nie wszyscy najcelniejsi przedstawiciele umysłowości naszej, dość jest ją przejrzeć, by utwierdzić się w przekonaniu, że na niwie, takimi uprawianej rękami, musiało być sporo kłosów wybornych.

Tak też było istotnie, i słusznie powiedziała „Gazeta Polska“, że równie wydawca, jak i redakcyja „Kłosa“ sumiennie i z godnością spełniali swoje względem publiczności obowiązki.—Czemuż więc ta publiczność odwróciła się od nich? czemu przez obojętność swoją dała upaść pismu takiemu? Niestety! dożyliśmy fatalnych czasów, w których zapanował hypnotyzm i znaczna część społeczeństwa naszego składa się z ludzi, w sam raz nadających się na media i ulegających bardzo łatwo wszelkiej sugestyi. Owóż znaleźli się hypnotyzerowie, którzy potrafili wmówić w te media rzeczy niebywale i zdyskrydytować osobę wydawcy, a z nim i jego czasopismo, i zmusili go do ustąpienia z placu. Nad szkodą, jaką przez to wyrządzili i piśmiennictwu i sztuce i pisarzom i artystom i czytelnikom, rozwodzić się nie potrzebujemy, bo łatwo ją zrozumie każdy człowiek rozsądny, a bezstronny, zakończymy tylko ten nekrolog życzeniem, aby znakomici hypnotyzerowie nasi nadal już zaniechali sugestyi tego rodzaju, a raczej, aby się publiczność jej tak biernie nie poddawała; bo za ubodzy na to jesteśmy, aby się narażać na coraz nowsze doświadczenia tego rodzaju.

Zaznaczywszy te wstrętne zjawiska okolicznościowe, ubolewamy szczerze nad upadkiem organu, spełniającego umiejętnie i wytrwale chwalebne zadanie podtrzymywania perydyczności naukowej, łączącej nas z zachodem; bo fakt taki nie jest bynajmniej zaszczytnym świadectwem dla żywotności naszej indywidualności społecznej i narodowej, nie opierającej się przecie ani na współzawodnictwie klik publicystycznych, ani też teoryj filozoficzno-politycznych.

Z N. r. 28-go „Kraju“ (25 lipca 1890 r.), czerpiemy wiadomość, że Rada państwa, w połączonych departamentach ekonomii państwa i praw, i na ogólnym zebraniu, rozważywszy wniosek ministra oświecenia, uchwaliła następujący wykaz liczby lekcyj tygodniowych w gimnazyach męzkich:

Religia: Klasa przygotowawcza 4 godziny, I kl. 2 godz., II kl. 2 godz., III kl. 2 godz., IV kl. 2 godz., V kl. 2 godz., VI kl. 2 godz., VII kl. 2 godz., VIII kl. 2 godz.; razem 16 godzin. *Język ruski* z językiem cerkiewno-sławiańskim, literatura i logika: Klasa przygotowawcza 6 godz., I kl. 5 godz., II kl. 4 g., III kl. 4 godz., IV kl. 3 godz., V kl. 3 godz., VI kl. 3 godz., VII kl. 3 godz., VIII kl. 4 godz.; razem 35 godzin. *Język łaciński:* I kl. 6 godz., II kl. 6 g., III kl. 5 godz., IV kl. 5 godz., V kl. 5 godz., VI kl. 5 godz., VII kl. 5 godz., VIII kl. 5 godz.; razem 42 godzin. *Język grecki:* III kl. 4 godz., IV kl. 5 g., V kl. 6 godz., VI kl. 6 godz., VII kl. 6 godz., VIII kl. 6 godz.; razem 33 godzin. *Matematyka:* klasa przygotowawcza 6 godz., I kl. 4 godz., II kl. 4 godz.,

III kl. 3 godz., IV kl. 4 godz., V kl. 4 godz., VI kl. 4 godz., VII kl. 3 godz., VIII kl. 3 godz.; razem 35 godzin. *Fizyka*: VI kl. 2 godz., VII kl. 3 godz., VIII kl. 2 godz.; razem 7 godzin. *Historja*: III kl. 2 godz., IV kl. 2 godzin, V kl. 3 godz., VI kl. 2 godz., VII kl. 2 godz. VIII kl. 2 godz.; razem 13 godz. *Geografia*: I kl. 2 godz., II kl. 2 godz., III kl. 2 godz., IV kl. 2 godz.; razem 8 godzin. *Język francuzki*: II kl. 3 godz., III kl. 2 godz., IV kl. 3 godz. V kl. 3 godz., VI kl. 2 godz., VII kl. 3 godz., VIII kl. 3 godz.; razem 19 godzin. *Język niemiecki*: II kl. 3 godz., III kl. 3 godz., IV kl. 3 godz., V kl. 3 godz., VI kl. 3 godz., VII kl. 2 godz., VIII kl. 2 godz.; razem 19 godzin. *Kaligrafia* i rysunki: klasa przygotowawcza 6 godz., I kl. 4 godz., II kl. 4 godz., III kl. 4 godz., IV kl. 2 godz.; razem 20 godzin. Ogółem wypada tygodniowo lekeyi dla uczących się obu języków nowożytnych: w klasie przygotowawczej 22 godzin, I kl. 23, II kl. 28, III kl. 29, IV kl. 29, V kl. 29, VI kl. 29, VII kl. 29, VIII kl. 29, razem 225 godzin. Lekeye języków nowożytnych tak są rozłożone, ażeby żyćcąc tego sobie, za decyzją dyrektora, po porozumieniu się jego z radą pedagogiczną, mogli użyć się obudwu; nie wykazującym postępów w przedmiotach obowiązkowych, pozwolenia na to udzielać nie można. Przy wygotowywaniu rozkładu nauk kazano wszelkimi środkami starać się o to, iżby wykład języka ruskiego, oraz obu języków starożytnych, szczególnież łacińskiego, przynajmniej w trzech klasach niższych, powierzać jednemu nauczycielowi języków starożytnych, ale pochodzenia ruskiego, zupełnie biegłemu w języku ojczystym i mogącemu wykładać go z powodzeniem. Nowy wykaz lekeyi przeznaczają na języki starożytne o 10 godzin mniej w porównaniu z wykazem teraz obowiązującym. Na wakacje letnie w gimnazjach i szkołach realnych, miejskich i powiatowych, przeznaczono dwa miesiące. Początek wakacyi oznacza minister oświecenia. Najjaśniejszy Pan powyższą opinią rady państwa 12 (24) czerwca 1890 roku Najwyżej zatwierdzić raczył i wykonać polecił.

Jan Matejko ukończył nowy obraz, przedstawiający „Zasłubiny Kazimierza Jagiellończyka z arcyksiężniczką Elżbietą, córką cesarza Albrechta w r. 1453“, mający być ślubnym podarunkiem Galicyi dla Arcyksiężniczki Maryi Waleryi. Chwila ta naszych dziejówpełna była blasku, a choć treść obrzędowa nie zawsze nadaje się w sztuce, nabrała pod pędzlem naszego mistrza żywego interesu. Sprawozdawca „Gazety lwowskiej“ ogłasza następujący opis tego nowego dzieła mistrza naszego. Obraz w rozmiarach 2.50 metra, a 1.80 szerokości, namalowany na desce, zwiększa jeszcze bogata rama, w której spletają się herby dostojnych narzeczonych z herbem kraju, który obraz ofiaruje. Postaci głównych w nowem dziele Matejki jest zaledwie sześć, w rozmiarach zbliżonych do natury. Kompozycya nie jest skomplikowaną, ale przy całej prostocie mistrz wprowadził olbrzymie bogactwo aparatów głównych figur, bogatych fałdowań szat świętecznych i niezrównaną liczbę szczegółów, w których celuje. Koloryzacya zlewa się w jeden jasny harmonijny bukiet w sile swego nastroju do monarchicznej weselnej chwili. O znakomitej charakterystyce postaci, o wdzięku panny młodej, nie potrzeba mó-

wić, bo to w pracach Matejki osobliwością nie jest, ale osobliwem jest to, że zdają się one tutaj żywe z całym swym wewnętrznym poruszeniem, wywołanem ważnością aktu ślubnego.

Dziejopisarze nasi zanotowali szczegóły, odnoszące się do małżeństwa króla i owo nieporozumienie, zaszłe pomiędzy dygnitarzami kościoła polskiego co do tego, który z nich ma ślub dawać i koronować pannę młodą. Pośrednictwo bawiącego podówczas w Krakowie Włocha, Jana Kapistrana, sprowadziło zgodę, ustaly kwasy, a Jan ze Sprowy, arcybiskup gnieźnieński, któremu przypadł zaszczyt koronowania królowej, oczekuje spokojnie w nowym obrazie Matejki, dopóki obrzędu ślubnego nie dokończy kardynał Zbigniew Oleśnicki. Obrzęd ten kończy się właśnie, nowożeńcy zamieniają obrączki ślubne, a stojący pośrodku obrazu w czerwonym stroju i kapie złotogłowej Zbigniew, podniesieniem rąk błogosławi młodej parze. Młody król polski stoi po lewej, arcyksiężniczka po prawej widza. Obok arcyksiężniczki z przodu wygląda głowa Kapistrana, z tyłu ku brzegowi obrazu królowa Zofia, matka oblubieńca. Umieszczenie całej tej grupy na wzniesieniu przed wielkim ołtarzem katedry krakowskiej spowodowało, że stojące na przodzie trzy figury: Jana Czyżowskiego, kasztelana, pazia, trzymającego helm królewski i żołdaka z kopią, widziane są tylko powyżej kolan. Tłumy pozostały po za granicami obrazu. Wspaniałą i wdzięczną jest osoba arcyksiężniczki w jasnoniebieskiej atlasowej sukni ze złotym haftem orła rakuskiego na stanniku — białe koronkowe rękawy przeszywane perłami, złotogłowy płaszcz grobstajami podbity, bogaty perłowy dyadem na głowie—tworzą coś bajecznego wykonaniem i prawdą. Sumiennosc wykonania doprowadzona do najwyższego stopnia, z czego można powziąć wyobrażenie o olbrzymiej pracy i o przeciągu czasu, jakich tego rodzaju utwór wymaga. Córa cesarska zwraca się frontem dla przyjęcia pierścienia z rąk nowożeńca. Król Kazimierz pochylony, celem włożenia pierścienia na palec Elżbiety, widziany jest nieco z tyłu w swęj aksamitnej, ciemnofioletowej szacie, zapiętej kosztownym pasem. Zwraca się twarzą ku widzom i z pewną dumą i grzecznością zarazem dopełnia czynności wspomnianęj. U nóg arcyksiężniczki leży kwiat róży, na progach rozesłana złocista makata, dalej obok Czyżowskiego na węzłowi korona i berło, które posłużą do koronacyi. Na pokryciu podstawy, unoszącej tę koronę, haft przedstawia herby kraju i arcyksiężniczki—rodowy Habsburgów. Na ołtarzu goreją woskowe świece, w gotyckich lichtarzach kopionanych z Biecza. Tryptyku widać zaledwie brzeg dolny—w głębi błyszczą sklepienia katedry“.

Cela św. Stanisława Kostki w Rzymie. Jak wiadomo, król włoski wziął na siebie wszystkie wydatki odtworzenia zburzonych trzech połączonych kaplic z celą św. Stanisława Kostki. Jak donoszą pisma codzienne, („Gazeta lwowska“) dzieło odbudowania

rażco postępuje. Architekci królewscy zachowali skrupulatnie rozmiary i kształty dawnych trzech cel, połączonych niegdyś w jedną kaplicę za pomocą dwóch wielkich arkad, wykonanych w dwóch ścianach. Mury, sufit, podłoga, mianowicie ostatniej kapliczki na prawo, to jest celi, w której umarł św. Stanisław, ocalały zupełnie, i kawałek po kawałku złożono je napowrót. Ocalały podobnie oba ołtarze: na lewo, przy którym Leon XIII. pierwszą swoją mszę odprawił, i na prawo, stojący w miejscu, gdzie święty młodzieniaszek wyzionął przeczystego ducha. Leżący posąg z różnobarwnych marmurów, dzieło Legrosa, przeniesiono także do środkowej kapliczki i stoi tam po dawnemu. Pod wielkiem, a nader lichém malowidłem Minardi'ego, które wisiało nad tym posągiem i wyobrażało Bogarodziecę w gronie panien i aniołów, przybywającą na spotkanie duszy Stanisława, wyszedł na jaw z pod lekkiej warstwy wapna wspaniały i misterny fresk z XVII wieku znakomitego pendzla. Fresk ten w całości przeniesiono do odbudowanej celi. Jedném słowem: pomimo zburzenia celi św. Stanisława, ułamki jej ocalone, wróciły do dawnego składu i kształtu i dzięki troskliwości i hojności króla Humberta, ludzją oko widza podobieństwem do dawniej izby, a raczej poiceszają je widokiem zupełnej tożsamości. Odtworzona cela będzie otwarta dnia 15 sierpnia, w dzień Wniebowzięcia, który jest rocznicą zgonu św. Stanisława Kostki.

W ostatnim zeszycie wydawnictwa biura pruskiego urzędu statystycznego, zestawiono cyfry przymusowej sprzedaży większej i mniejszej własności ziemskiej, z uwzględnieniem różnych przyczyn, które w roku finansowym 1886/7 sprzedaż publiczną dóbr spowodowały. Materiał ten („Słowo“ Nr. 169) jest w naszych stosunkach wielce pouczającym, dla tego zasługuje na szerszą uwagę czytelników.

Biuro statystyczne wykazało, że w roku finansowym 1886/7 odbyło się w Prusach 2,835 przymusowych sprzedaży własności ziemskiej. Przyczyną sprzedaży w znacznej części było ogólne przesilenie rolnicze, które szczególniej dało się uczuć we wschodnich dzielnicach Prus, a więc w Prusach Wschodnich i Zachodnich, w W. Ks. Poznańskim i na Szląsku, i to głównie większym właścicielom ziemskim. Rzadziej spowodowała subhastę lichwa, częściej stosunki familijne, chorooba właściciela, klęski elementarne, jeszcze częściej nierozważne kupno majątku z małym kapitałem, działy familijne... i wina samego właściciela.

Sprzedano z ogólnej liczby z powodu:

przesilenia rolniczego	5,900/0
lichwy i przepłacenia przy kupnie	3,090/0
stosunków familijnych i choroby	10,000/0
„ handlowych	6,730/0
klęsk elementarnych	6,180/0
objęcia w złych warunkach	19,550/0
regulacyi spadku	5,720/0
z własnej winy właściciela	41,950/0
innych przyczyn	0,860/0

W Bawaryi w tymże roku, z ogólnej liczby majątków sprzedanych, przypadało 22,20/0, a w W. Ks. Badeńskiem 38,90/0 takich, które sprzedano z powodu osobistej winy właściciela.

W Prusiech w roku 1886/7 sprzedano 183 majątków jedynie z powodu złej gospodarki, braku doświadczenia i nieumiejętności właściciela, 87 z powodu marnotrawstwa i namiętności do gry, 36 jedynie z powodu pijactwa właściciela, 52 z powodu lenistwa, 26 z powodu winy właściciela. Sprawiedliwość wreszcie zaznaczyć każe, że konieczność działów majątkowych doprowadzała do sprzedaży przymusowej najwięcej w Prusiech Wschodnich i w W. Ks. Poznańskiem. Wogóle zaś sprzedaży takiej ulegają stosunkowo najwięcej majątki wielkie, a w tych wypadkach nie właściciel sam doprowadza z własnej winy do sprzedaży, ale fatalne okoliczności, jak klęski elementarne, lub znaczny spadek cen produktów rolnych. Widzimy tedy z publikacyi pruskiego biura statystycznego, że nie jakieś klęski nadzwyczajne, na które bankrutujący właściciele ziemscy zwykle się uskarżają, lecz własna wina właściciela, brak dostatecznego wykształcenia fachowego, nieogłędność lub lekkomyślność, stają się powodem upadku rolnika i przymusowej sprzedaży jego mienia. Tak jest w Prusach; a patrząc na nasze stosunki ekonomiczne w ogóle, można się bez żadnych zastrzeżeń zgodzić na przypuszczenie powołanego referenta, że gdzieindziej prawdopodobnie jeszcze większy procent sprzedaży wynika z własnej winy właściciela.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Fertig: Bibl. Jagiellońska—Dr. Semkowicz: Wyd. archiw. lwowsk.—Finkel i Sawczyński: „Bibliogr. histor.“—A. Benis: „Materiały do hist. księgarstwa“.—Wład. Mickiewicz „Żywoć Adama Mickiewicza“.—Nr. 26-ty „Kraju“ poświęcony rozprawom o Ad. Mickiewiczu.—Prace o Mickiewiczu: Chociszewskiego, Bełzy, Wystouchowej.—Cybulski: Hygiena szkolna.—Falb Rudolf: Przewroty we Wszecławowie.—Berdau Feliks: Botanika leśna;—Flora Tatr;—Grzyby krajowe.—Dobrzycki, dr. Tyt. Chałubiński.—Franke Szkolnictwo przemysłowe na wyst. paryzkiej.—Jeske Aug. „Gramat. polska“; „Świat i dzieci“.—Libicki: Ustrój instyt. prawodawczych ros.—„Słownik geogr.“ Zesz. 122.—Janowicz: „K. Bolsumowskiego Solidy Bolesławowe“.—Krzyżanowski „Dyplomy Bolesł. wstydł.“—Leonard Lepszy „Turzonowie w Polsce“.—Luszczkiewicz Wł. „Restauracya w kościele P. Maryi w r. 1889“.—„Materiały do klimatografii Galicyi“.—Paczkowski: „D. gr. Kurfürst u. v. Kalkstein“.—Pawłowski „Hist. geogr. Karte v. Preussen u. Pommerellen“.—Książeczki dla ludu: M. Brzezińskiego, Br. Grabowskiego.—Prohaska. Materiały archiwalne z metryki litewsk. 1348—1607.—J. K. Plebański: „Olbrycht Karmanowski, poeta w XVII.“—Nr. 15-ty „Niwu“ z d. 1-go Sierp.—Aleks. Czołowski: Jezupol.—Zeissberg: D. Baseler Frieden u. d. 3 Thlung Polens (1794—1795).—„M. Massonius: Kants Transcendentale Aesthetik.

— Fertig. Pamiątka zwiedzenia biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Kraków. 1890. Kart. nl. 8.

— Dr. Semkowicz: „O potrzebie i sposobie wydania ważniejszych źródeł, znajdujących się w miejskiem archiwum we Lwowie“. Lwów 1890. 8 str. 12. Sz. prof. przedstawia najprzód w treściwym i gruntownym zarysie potrzebę uporządkowania i umiejętnego zbadania archiwum pomienionego, poczem wskazuje pomniki, które ze względu na swą treść i starożytność przedewszystkiem zasługują na ogłoszenie, mianowicie: I. Kodeks dyplomatyczny miasta Lwowa 1353—1772. II. Najdawniejsza księga radziecka 1382—1389. III. Księga inductów radzieckich 1460—1506. IV. Najdawniejsza księga resignationum 1441—1448. V. Najdawniejsza księga rachunkowa 1404—1426.

— „Bibliografia historyczna“ ułożona przez p. p. dr. Finkla i Sawczyńskiego, której wydaniem zajmuje się Komisya historyczna Akad. Umiej. w Krakowie, znajduje się już pod prasą.

— „Materiały do historii księgarstwa i drukarstwa w Polsce“ przedstawił dr. Artur Benis Komisji literackiej Akad. Um. w Krakowie, która ma je ogłosić drukiem w następnym tomie „Archiwum dziejów literatury i oświaty w Polsce“.

— Żywot Adama Mickiewicza podług zebranych przez siebie materiałów oraz z własnych wspomnień, opowiedział Władysław Mickiewicz. Poznań 1890. T. I.

— Redakcja „Kraju“ poświęciła Nr. 26, z d. 11 lipca, swego wydawnictwa niemal wyłącznie uczczeniu pamięci Ad. Mickiewicza.

— Chociszewski Józef. „Wspomnienie o życiu i pismach Ad. Mickiewicza“ na pamiątkę przewiezienia jego popiołów do ojczyźnej ziemi w 1890 r., dla ludu polskiego i młodzieży. Poznań 1890 st. 64.

— Bełza Wł. „Ostatnie chwile i pogrzeb Ad. Mickiewicza“. Lwów 1890 r.

— Wyslouchowa M. „O życiu i pismach Ad. Mickiewicza“. Lwów 1890 r. (Nakł. Tow. przyjaciół oświaty).

— Cybulski N. dr. prof. „W sprawie lekarzy szkolnych“. Kraków. Nakładem Red. „Przewodnika higienicznego“ (1890).

— Falb Rudolf. „Przewroty we wszechświecie, w państwie gwiazd, w dziedzinie obłoków, w głębi ziemi“. Z 3 wyd. niem. przełożył W. P. Warsz. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1890. 8. str. 223-ia.

— Berdau Feliks, prof. „Botanika leśna podług kursu wykładanego Instytucie rolniczo-leśnym w Nowej-Aleksandryi“. Spisana i wydana staraniem b. uczniów, z licznymi drzeworytami. Warszawa. 1890 r.

— Berdau Feliks: Flora Tatr, Pienin i Beskidu zachodniego. Warsz. 1890 r.

— Berdau Feliks: Grzyby krajowe trujące. Opisał i rysunkami anatomicznymi oraz tablicą chromolitograficzną objaśnił. Warsz. 1890.

— Dobrzycki Henr. dr. „Rzut oka na naukowo-społeczną działalność profesora Tyt. Chałubińskiego. Warsz. 1890.

— Franke. Szkolnictwo przemysłowe na wystawie paryzkiej 1889 r. Sprawozdanie. Lwów 1890.

— Jeske August. Gramatyka języka polskiego. Wyd. 6-te. Przejrzał i uzupełnił Wł. N—i. Warsz. 1890.

— Jeske August: Świat i dzieci czyli nauka o rzeczach etc. Cz. II. Pogadanki o zwierzętach i roślinach. Wyd. 3-ie Warsz. 1890.

— Libicki Stanisław: O wydawaniu praw i ustrój instytucji prawodawczych rossyjskich. Warsz. 1890. Rzeczą opartą na głębszych studyach, przedstawiona ze znajomością przedmiotu, zawiera pożądaną informacją do poznania organizacji najważniejszych instytucji państwowych.

Zeszyt 122 „Słownika geograficznego“, wyszedł z druku i zawiera, między innymi, artykuły: Soroki, Sosnowiec, Sosnowka, Soż, Spa, Spicymierz, Spiż, Sprynia, Srocko, Środa.

— Janowicz Andrzej. „K. Bolsumowskiego Solidy Bolesława z napisem słowiańskim“. (Odbitka z „Wiadomości numizm. archeolog.“). Krak. 1890 4-o str. 8.

— Krzyżanowski Stanisław: „Dyplomy Bolesława Wstydlivego dla katedry krakowskiej. przyczynek do dyplomatyki polskiej XIII w. (Odbitka z VIII tomu Pamiętn. Wydz. filoz. histor. Akad. Um.) Krak. 1890. 4-o str. 12 z 3 tabl. w fototypii.

— Lepszy Leonard: „Turzonowie w Polsce, przyczynek do historii mieszczaństwa“ (Odbitka z „Przegl. polsk.“) Krak. 1890. 8-o str. 18

— Łuszczkiewicz Władysław: „Roboty w kościele P. Maryi w r. 1889. Krak. 1889 8 str. 23.

— Materiały do klimatografii Galicyi, zebrane przez sekcją meteorologiczną Komisji fizyogr. c. k. Akad. Um. w Krakowie. Rok 1889. Sprawozd. Krak. 1890. 8 str. 241.

— Paczkowski Joseph: Der grosse Kurfürst u. Christian Ludwik von Kalkstein. Lipsk 1889 8-o str. 30. Rozprawa dla pozyskania stopnia naukowego doktora filozofii.

— Pawlowski J. N. „Historisch—geographische Karte vom alten Preussen und Pomerellen während d. Herrschaft d. deutschen Ritterordens etc. Graudenz 1890. Wyd. 4-e.

— Wodzicki K. i Taczanowski W. „Nasi wrogowie i przyjaciele wśród ptaków, z dzieł... wybrał M. B.(rzeziński). Warsz. 1890 8-o str. 78.

— Jurgis Durnalis, opowieść wiejska przez Brolisa. Warsz. 1890 8-o str. 44.

— Maszyny parowe i koleje żelazne dla ludzi wiejskich napisał W. Olszewski (M. Brzeziński). Wyd. 2-ie Warsz. 1899. sss. 48.

— Na służbę Bożą przez Bronisława Grabowskiego 8-o str. 46. Ostatnie te 4-y książeczki, przeznaczone dla ludu, odpowiadają zupełnie swojemu celowi, mogą zaciekawić i do czytania zachęcić lud wiejski; zasługują przeto na jaknajszersze rozprzestrzenienie.

— Prohaska Antoni dr. „Materiały archiwalne, wyjęte głównie z metryki litewskiej od 1348 do 1607“. Lwów. 1890. Nakł. J. S. hr. Dunina Borkowskiego, 8-o str. VIII i 114. Mamy w tym zbiorze akta, odnoszące się do sądownictwa, do lokacyi wsi i miast na prawie niemieckiem i średzkiem, rzucające pewne światło na stosunki wewnątrz Rusi w tój epoce, na warunki kolonizacyi tój części Rptój. Wydanie sumienne i nader staranne, jak wszystkie prace uczonego Autora.

J. K. Plebański: Olbrychta Karmanowskiego, poety wieku XVII-go — wiersze różne“. Warsz. 1890 8-o, str. 62.

— „Niwy“ Nr. 15-ty zawiera dalszy ciąg pracy p. Ludwika Górskiego p. t. „Pogląd na stan i ekonomiczne potrzeby małej własności ziemskiej w Królestwie Polskiem“. Autor, znawca naszych stosunków rolnych, skreśliwszy w poprzednich artykułach obecny stan gospodarstw włościańskich, tak, jak one się rozwinęły na podstawie reformy z r. 1864-go, przychodzi tu do drugiej części swego założenia, t. j. do potrzeb ekonomicznych wspomnianej własności. Autor w obec braku dokładnego materiału statyst. postępuje drogą wskazaną przez Le Playa i przez „Towarzystwo reformy socyalnej“, oraz niemieckiego „Verein für Social-Politik“. Mówi tu o próbie zestawienia budżetów rodzin włościańskich. Naturalnie nie można u nas było myśleć o takiej mnogości i dokładności owych budżetów, jakie pomieszczone bywają w organie wspomnianego towarzystwa francuzkiego, rozporządzającego w tym celu kolosalnemi środkami i siłami kilkuset współpracowników. Badacz nasz działał tu

własnymi siłami i na własną rękę, udało mu się jednak, przy pomocy garstki obywateli, „znanych—jak powiada—z dobrego gospodarstwa i przychylności dla włościan“, zebrać kilkanaście owych budżetów włościańskich z różnych okolic kraju—i one to właśnie, poparte osobistymi spostrzeżeniami, posłużyły mu za podstawę do niezmiernie ciekawych wniosków o obecnych potrzebach naszego włościanina. Nie wątpimy też, że szczególniej ta część doniosłej rozprawy p. Ludwika Górskiego, otwierająca nowe, nieznanne dotąd u nas pole badań, zwróci na siebie uwagę. Obok pracy powyższej, mieści „Niwa“ w ostatnim swoim numerze artykuł Józefa Keniga „Niemcy i Alzacya“, dalej sprawozdanie z najnowszej książki A. Małeckiego („Studia heraldyczne“), pióra Aleks. Rembowskiiego -- „Pamiętniki biskupa inflanckiego Józefa Kossakowskiego“—dalszy ciąg powieści W. Łosia „Ostatni na Ogininie Ogińczyk“, wreszcie „Pogadankę artystyczną“ Boles. Łaszczyńskiego o znaczeniu sztuki dekoracyjnej. Dodatek wypełnia „Pogadanka ekonomiczna“ A. Don., oraz dalszy ciąg powieści z angielskiego „Przy zamkniętych drzwiach“.

— Aleks. Czołowski: „Z przeszłości Jezupola i okolicy“. Lwów 1890. str. 163. (Sumienna ta praca była poprzednio drukowaną w „Przewodniku nauk. i liter.“).

— Zeissberg H. dr. von „Der Baseler Frieden, die dritte Theilung Polens, October 1794 bis Septbr, 1795. (Quellen zur Gesch. der Politik Oesterreichs, III). Wien. 1890 8-o, str. XI i 452.

— Marian Massonius: „Über Kant's Transcendentale-Aesthetik“. Eine kritische Untersuchung zur Erlangung der philos. Doctorwürde der philos. Fakultät der Uniwers. Leipzig vorgelgt. Lipsk 1890 str. 178.

N e k r o l o g i a.

Ś. p. Edmund Stawiski.

ur. 1813 † 1890.

† Dnia 9-go lipca r. b. w Podlężycach, powiecie Sieradzkim, zmarł **Edmund Stawiski**, w 78-ym roku życia zasłużony i powszechnie szanowany Ziemianin, Członek-Redaktor „Biblioteki Warszawskiej“ oraz „Encyklopedyi Wychowawczej“.

Ś. p. Edmund urodził się r. 1813-o we wsi Russowie pod Kaliszem. Wychowanie początkowe odebrał w szkole wojewódzkiej w Kaliszu, a skończywszy nauki gimnazyalne u ks. ks. Pijarów w Warszawie, wstąpił do b. Aleksandryjskiego uniwersytetu, krótko przed jego zamknięciem. Nieukończone z tego powodu studia akademickie uzupełnił ś. p. Edmund przez wytrwałą naukową pracę, przy pomocy dzieł pierwszorzędnych oraz podróży do Anglii, Niemiec i Włoch. Światły umysł i wysoka prawość charakteru wcześniej zwróciły nań uwagę współobywateli, którzy liczącego zaledwie 27 lat wieku wybrali na radcę Dyrekcyi Szczegółowej w Kaliszu (1840—1844). W r. 1846 powołany do Komitetu Tow. Kred. Ziemińskiego, urzędował tu przez lat 10 (do r. 1856), a wybrany ponownie w r. 1870 pracował sumiennie w tej najważniejszej epoce Towarzystwa bez przerwy aż do r. 1882-go, powoływany do licznych delegacyj, układających przepisy, rozwijające Ustawę Tow. z r. 1869.

Zwróciwszy już wcześniej na siebie uwagę przez studia, które w zakresie literatury rolniczej w r. 1851 rozpoczął drukować w „Bibliotece Warszawskiej“, nie mógł ś. p. Edmund pozostać w ukryciu, zwłaszcza gdy w r. 1857-m otworzyła się dla światłego ziemianina sposobność do pracy w zawiązanem Towarzystwie rolniczem, które powołane było nie tylko do poprawy samej praktyki rolniczej, ale i do przysposobienia prawidłowego rozwiązania i uregulowania stosunków włościańskich, stanowiących wówczas jedną z najważniejszych spraw społeczno-ekonomicznych w kraju. Powołany też w r. 1857-ym do Komitetu b. „Towarzystwa rolniczego“, brał żywy udział w pracach, dotyczących oczyszczania włościan i jednocześnie był rzeczywistym kierownikiem „Roczników gospodarstwa krajowego“, aż do chwili ich zamknięcia w r. 1861. W r. 1859 zaproszony został na Członka Korrespondenta Krakowskiego Tow. naukowego. W r. 1862-ym mianowany był Członkiem Rady Stanu Królestwa. Służba pu-

bliczna nietylko nie przeszkadzała mu w pracy naukowej, ale ją do pewnego stopnia uzupełniała. Zaproszony jednomyślnie przez Członków-Redaktorów „Biblioteki Warszawskiej“ do ich grona zasilał pismo to nietylko poparciem materyalnem, ale i poważnemi pracami naukowemi a około r. 1863 dokładał wiele starań, aby zorganizować przy redakcyi „Bibl. Warsz.“ osobne samodzielne wydziały dla nauk ekonomiczno-prawniczych, społecznych i przyrodniczych. Rozwój następnym wypadków w kraju rozwiął te piękne zamiary. W gronie obywateli-ziemian, którzy w r. 1873-im do 1879 wydali w Warszawie wielką „Encyklopedyą rolnictwa i wiadomości, związek z niem mających“ zajmował ś. p. Edmund Stawiski zaszczytne i wpływowe stanowisko nietylko jako współredaktor, ale i sumienny współpracownik. Gdy w roku 1880-ym podniesiono myśl opracowania „Encyklopedyi wychowawczej“, któraby przychodziła w pomoc nietylko nauce w szkołach publicznych i zakładach prywatnych, ale i w wychowaniu domowem, był ś. p. Edmund Stawiski jednym z głównych orędowników i opiekunów tej pracy obywatelskiej, od której stargane wiekiem siły zawcześniej usunęły go do skromnej ciszy wiejskiej.

Wylizanie wszystkich prac ś. p. Edmunda Stawiskiego, które rozsypane po wszystkich prawie poważniejszych czasopismach warszawskich, zapisały zaszczytnie nazwisko jego w dziejach piśmiennictwa krajowego, przechodzi granice obecnego wspomnienia pośmiertnego, zaznaczymy tylko te, które charakteryzują główne kierunki pracy nieboszczyka.

Studia swoje rozpoczął ś. p. Edmund Stawiski, podobnie jak większa część nowszych pisarzy naszych, w „Bibliotece Warszawskiej“, której do ostatniej chwili był Członkiem-Redaktorem. W rocznikach „Bibl. Warsz.“ z r. 1851 (T. I. Cz. 1-sza, str. 1—24; Cz. 2-a str. 401—427. T. III. Cz. 3-cia str. 438—475) i 1852 (T. I. Oddział 2-i Cz. 1-sza str. 419—448. T. IV. Cz. 2-a str. 189—223) czytamy obszerne studyum ś. p. Edmunda St. pod tyt. „Pozzukiwania do historyi rolnictwa krajowego“ w 2-óch oddziałach, podzielonych na osobne części, rozbiegające rozmaite przedmioty specjalne z zakresu historyi rolnictwa w Polsce od czasów najdawniejszych. Nie była to praca systematyczna, ściśle naukowa i krytyczna, ale radziła się sumiennie znanych ówczesnie źródeł, korzystała z postępu ówczesnej ekonomiki i badań historycznych, tak że wydana w r. 1858 w osobnej książce (Warsz. 8-o str. 384) ustaliła odrazu wziętość autora. W roczniku 1856-ym T. 4: ogłosił ś. p. E. St. „Wiadomość o pismach St. Kaczkowskiego“ (str.

231—240). W następnych latach znajdujemy prace ś. p. Edmunda przeważnie w „Rocznikach gospodarstwa krajowego“: „Studjum o literaturze ekonomicznej polskiej“; „Studia o handlu w dawniej Polsce“; „O kongresach naukowych“ i t. p.

Pod wpływem ogólniejszego ruchu literackiego około r. 1861-go uległ umysł ś. p. Edmunda St. pewnej ewolucyi, która się ujawniła w kilku rozprawach, technących pod pewnym względem sentymentalnym nieco idealizmem, narażonym następnie przez rozwój wypadków krajowych na bolesne rozczarowanie. „Bibl. Warsz.“ drukowała w tym czasie następujące prace ś. p. Edmunda: w r. 1862-im T. II-gi (193—209) czytamy pod ogólniejszym tytułem: „Studia moralne i społeczne“ rozprawę pod napisem: „O znaczeniu jednostki w społeczeństwie“; w roku 1867-ym Tom III-ci (strona 313—352): „Księga szkiców i fragmentów. O rozsądku“. W latach następnych powraca ś. p. Edmund na wdzięczniejsze pole ekonomiki. R. 1870. T. I (str. 71—90): „Urywki ekonomiczne“ (I. Niektóre zdania ekonomiczne J. S. Milla. II. Projekt szematu do klasyfikacyi naszej literatury ekonomicznej. III. Słódko o metodzie historycznej i porównawczej. IV. O idealach ekonomicznych). Autor nie wyczerpał na razie tej dyspozycyi przedmiotu, ale poprzestał w T. I-ym Bibl. z r. 1870-go na pogadance o J. S. Millu, a puścił się znowu na fale ideałów w następnej swojej pracy w 2-im tomie Bibl. Warsz. 1870 str. 173—194 pod tyt. „Głosy duchów“ (duch miejsca; duch czasu; duch ludzkości; duch złego; duch natury). Dopiero w 2-im tomie 1872-o r. str. 1—12 i 165—186) pod tytułem: „Studia ekonomiczne“ pisze o przedmiocie klasyfikacyi naszej literatury ekonomicznej, gdzie charakteryzuje wybitniejszych naszych pisarzy ekonomicznych.—Na tym też gruncie opierają się prace ś. p. Edm. w „Encyklopedyi rolniczej“.

Z dziedziny pedagogii napisał ś. p. Edm. wyczerpujące studjum w „Encyklopedyi wychowawczej“ s. v. „Ameryka północna“. — Nieodżałowaną byłoby stratą, gdyby się miała sprawdzić wiadomość, że praca Stawiskiego: „O upadku włościan w dawniej Polsce i usiłowaniach w celu polepszenia ich losu“, zaginęła, bo studjum to stanowiło miało 2-gą część dzieła „Poszukiwania do historii rolnictwa krajowego“.

O przymiotach społecznych i towarzyskich zmarłego zbyt cicho tu wspominać; — jednały one ś. p. Edmudowi serca wszystkich, szacunek i cześć ogólną za życia i zaną postać prawego, światłego obywatela przekażą potomności jako chlubę i wzór wzniosły. Cześć jego pamięci!

Dnia 28-o lipca r. b. zmarł w Targówku pod Warszawą, **Maksymilian Fajans**, artysta-litograf, właściciel zakładu litograficznego. B. p. Maksymilian urodził się w r. 1827-ym w Sieradzu, gdzie ojciec jego był kupcem. Wykształcenie artystyczne odebrał w b. warszawskiej szkole sztuk pięknych wśród grona artystów (Gierdziejewski, Sużyński, Kostrzewski, Święcki i w. i.), których nazwiska zasłynęły w dziejach sztuki naszej. Ostatecznie wyjechał do Paryża, zkąd wróciwszy, założył w Warszawie w r. 1852-im pierwszorzędny zakład litograficzny i chromolitograficzny. Wydał bardzo wiele publikacyi, odznaczających się wyborynym rysunkiem i wykończeniem, wyrównywajacém najpierwszym podobnym wydawnictwom zagranicznym. W r. 1854-ym ukazało się Maksymiliana Fajansa „Album brzegów Wisły“, „Kwiaty i poezye“ w r. 1858-ym, „Wzory sztuki średniowiecznej“, (Al. hr. Przezdziecki i E. Rastawiecki od r. 1853-o wydawane) prawdziwe arcydzieło chromolitograficzne, ozdobne „Kalendarze ścienne“, wreszcie „Kolekcyja portretów znakomitości społecznych“. Imię zmarłego zapisze z wdzięcznością historya krajowego przemysłu w którym u nas pierwszy zaprowadził litografią artystyczną.

KATALOG NOWYCH KSIĄZEK.

MIESIĘCZNIK DLA KUPUJĄCYCH I CZYTAJĄCYCH KSIĄZKI.

№ 4, 5 i 6.

Kwiecień, Maj i Czerwiec.

Rok 1890

Cena roczna kop. 60, z przesyłką rs. 1. Osoby, pozostające w stałych stosunkach z księgarnią Teodora Paprockiego i S-ki w Warszawie, Nowy-Swiat 41, otrzymywać będą „Katalog nowych książek“ co miesiąc regularnie, bezpłatnie.

Najnowsze książki.

(Książki poniżej wymienione nabywać można w Księgarni Teodora Paprockiego i S-ki, Warszawa, Nowy-Swiat 41.)

- | | <i>rs. kop.</i> | <i>rs. kop.</i> | |
|---|-----------------|---|-------|
| Atrykan. Zaida, niewolnica afrykańska, dramat w 5-ciu aktach. Wolny przekład z niemieckiego. Staraniem Komitetu krakowskiego Towarzystwa przeciw niewoli w Afryce. Z 3-ma drzeworytami. Kraków. 1889. | — 40. | tablicą chromolitograficzną objaśnił... Warszawa. 1890. — 45. | |
| Amicis Edmund (de). Na oceanie. Przekład z włoskiego. Warszawa. 1890. | 1 — | Bieliński Józef d-r. Stan nauk lekarskich za czasów akademii medyko-chirurgicznej wileńskiej, bibliograficznie przedstawiony. Przyczynek do dziejów medycyny. Praca uwieńczona pierwszą nagrodą konkursową imienia Adama Helbicha, przez Towarz. lekar. warsz. w d. 25 października 1888 r. Warszawa. 1889. | 4 — |
| Augustynik G. ks. Żywot świętego Grzegorza cudotwórcy. Warszawa. 1890. | — 16. | Bielska Marya. Historia pedagogii. Lwów. 1890. | 1 — |
| Bałucki Michał. Bilecik miłosny. Drobnostka sceniczna w jednej odsłonie. Wyd. drugie. Lwów. 1890. | — 40. | Bliziński Józef. Ciotka na wydaniu. Komedia w jednym akcie. Wydanie 2-gie. Lwów. 1890. | — 40. |
| Belot Adolf. Alfonsyna, powieść. Z franc. przełożyła Helena z hr. Russockich Wilczyńska. Lwów. 1889. | 1 — | — Komedye. Przezorna mama. — Pan Damazy. — Mąż od biedy. — Chleb ludzi bodzie. — Marcowy kawaler. — Rozbitki. — Ciotka na wydaniu. Wydanie wznowione pomnożone. Lwów. 1890. | 1 50. |
| Berdau Feliks, prof. Botanika leśna podług kursu wykładowego w Instytucie rolniczo-leśnym w Nowej-Aleksandryi. Spisana i wydana staraniem b. uczniów, z licznymi drzeworytami. Warsz. 1890. | 2 — | Bogusławski W. Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII w. Dzieło uwieńczone na konkursie Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu. Tom I (z mapą). Poznań. 1887. Tom I i 2. Za całość | 18 — |
| — Flora Tatr, Pienin i Beskidu zachodniego. Warsz. 1890. | 3 — | | |
| — Grzyby krajowe trujące. Opisał i rysunkami anatomicznymi oraz | | | |

- rs. kop.*
Boirac Emil. Zasady filozofii, tłumaczył Ad. Dygasiński, z. 2, 3 i 4. Przedpłata za całość, składającą się z pięciu zeszytów, w objętości mniej więcej 35—40 arkuszy druku, wynosi dla jednorazowo płacących rs. 4 kop. 25, z przesyłką pocztową rs. 5. Przedpłatę składać można także częściowo, po kop. 85 za zeszyt. Przy odbiorze pierwszego zeszytu płaci się i za ostatni, czyli rs. 1 kop. 70. Składający przedpłatę za całość otrzyma zeszyty 1—4 zaraz, a zeszyt ostatni natychmiast po wyjściu takowego—tam, gdzie przedpłata wniesioną została. Po ukończeniu dzieła cena znacznie podwyższoną zostanie.
- Boisgobey F. de.** Zamknięte usta. Romans w dwóch częściach. Warszawa. 1890. — 75.
- Chojecki Tadeusz.** O tuczeniu bydła opasowego. Podręcznik dla gospodarzy. Z 4-ma rysunkami. Warszawa. 1890. — 30.
- Coppée Franciszek.** Fijołki Henryki, powieść. Warsz. 1889. — 15.
- Cybulski N. d-r prof.** O stosunkach ekonomicznych w organizmie ludzkim. Odczyt. Kraków. 1889. — 45.
- Czego nas Kopernik o obrotach ziemi nauczył.** Ułożył S. K. Książeczka ozdobiona portretem Kopernika i 16-tu rysunkami. Warszawa. 1890. — 5.
- Dąbrowski Tomasz ks.** Kazania o Męce Pańskiej na trzy posty. Stanisławów. 1888. 1 20.
- Dickens Karol.** Wigilia Bożego Narodzenia, powieść. Przekład z angielskiego. Drugie wydanie, ozdobione 7-ma drzeworytami. Poznań. 1889. — 50.
- Dobrzycki H. d-r.** Rzut oka na naukowo-społeczną działalność profesora Tytusa Chałubińskiego. Warszawa. 1890. — 40.
- Erzepki B. d-r.** Szczątki dawnej polszczyzny. Poznań, 1890. — 30.
- Esmarch Frydoryk.** Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach. Pięć odczytów. Przekład z niemieckiego pod redakcją d-ra med. J. R. Rauma. Warszawa. 1890. — 45.
- Faber o. filipin.** O dobroci. Wolny przekład o. Prokopa kapucyna. Warszawa. 1890. — 30.
- Fabian Aleksander d-r.** Hypnotyzm w nauce a w praktyce. Odczyty na rzecz Towarz. osad rolnych wygłoszone w lutym 1888 r. Warszawa. 1890. — 60.
- Filochowski Roch ks.** Patriarchowie. Warszawa. 1890. — 15.
- Franke.** Szkolnictwo przemysłowe na wystawie paryzkiej 1889 r. Sprawozdanie. Lwów. 1890. — 40.
- Frings.** Rozmowy łatwe, zastosowane do życia towarzyskiego młodych panien, dla użytku szkół panieńskich, w trzech językach: polskim, francuzkim i niemieckim. Wydanie 9-te, poprawne. Rzeszów. 1890. — 75.
- Gliński Kazimierz.** Czarodziejka, romans. Warszawa. 1890. 1 20.
- Gotz Marcelli.** Mapa Królestwa polskiego. Warszawa. 1890. — 50.
- Grajnert Józef.** Bajki i przypowieści. Warszawa. 1890. — 10.
- **P o g a d a n k i** i astronomiczne (o świecie powszechnym). Warszawa. 1890. — 12.
- **Pogadanki o ziemi naszój.** (Jak się tworzy i z czego się składa?) Warszawa. 1890. — 8.
- **Złamana lilia.** Warsz. 1890. — 20.

rs. kop.
Grajnert Józef. Z warsztatu do pałacu, czyli jak Tomasz Sośniaczek z biednego sieroty wyszedł na budowniczego. Warszawa. 1890.— 10.

Holzwarth J. F. Historia powszechna, przekład polski, licznymi uzupełnieniami rozszerzony. T. VII. Część 2-ga. Dzieje nowożytne. Wiek ósmnasty. Warszawa. 1890. 2 50.

Honorat o. kapucyn. Okaż nam oblicze Twoje. Nabożeństwo wynagradzające (Réparatrice) do oblicza Pańskiego, do Imienia Bożego i niektórych tajemnic świętych. Warszawa. 1890. 1 —

Hostoński Karol. Pies, jego choroby i leczenie tychżo, ze szczególniejszém uwzględnieniem wścieklizny. Lwów. 1889. — 75.

Jeske August. Gramatyka języka polskiego. Wydanie 6-te. Przejrzał i uzupełnił Wł. N—i. Warszawa. 1890. — 50.

— Świat i dzieci, czyli nauka o rzeczach, wyłożona na podstawie nauki pogładowej. Część II. Pogadanki o zwierzętach i roślinach jako przygotowanie do wykładu zasad Zoologii i Botaniki (z tablicami kolorowanemi) dla dzieci od lat 7 do 10. Wydanie 3-cie poprawne. Warszawa. 1890. 1 80.

Kawecka z Seredyńskich Helena. Na ziemiach i wodach. Przygody okrętowego chłopca, podług Scipiona opowiedziała dla młodzieży... Z pięcioma chromolitografiami. Tarnów. 1890. 1 50.

Kempner A. St. Bismarck. Szkic. Warszawa. 1890. — 30.

Kosiakiewicz Wincenty. Druty telegraficzne. — Trzecią klasą. — Sar-na. — Michałowa. — Pierwszy kwiatek. — Samobójstwo. — List. — Wyrok śmierci. — Bogaci wujostwo. — Pan sądzia pckoju. — Fräulein. — Wuja-

rs. kop.
 szek smok. — Ważne przedstawienie. — Ex-aktor. — Mój sąsiad. — Tyłko dwa przedstawienia. — Majowe nabożeństwa. Warsz. 1890. 1 20.

Kowerski Jan. Wdowa kukała, sobie oszukała. Powiastka nagrodzona na czwartym konkursie „Gazety świątecznej.” Warszawa. 1890. — 10.

Kurara. Opowiadanie pani Colombi, z włoskiego przełożył M. Kłos. — 20.

Labiche E. Moja córeczka, komedia w jednym akcie, przekład z francuzkiego Adolfa Walewskiego. Wydanie drugie. Lwów. 1890. (Biblioteka teatrów amatorskich Nr 25). — 40.

Leczenie domowe. N. IV. Masaż. Sposoby wykonywania, zastosowanie i skuteczność w leczeniu chorób zewnętrznych i wewnętrznych. Według najnowszych źródeł naukowych opracował d-r J. Starkman. Z 25-ma rysunkami. Wydanie 2-gie. Warszawa. 1890. — 80.

— domowe. XX. Poradnik dla cierpiących na otyłość. Przyczyny, leczenie i zapobieganie, napisał d-r O. Maas, tłumaczył d-r J. St. Warszawa. 1890. — 50.

Leo Juliusz d-r. Finanse Galicji oraz projekt reformy skarbu krajowego. Kraków. 1890. — 75.

Libicki Stanisław. O wydawaniu praw i ustrój instytucyj prawodawczych rosyjskich. Warszawa. 1890. 1 —

Lucyan z Samosaty. Rybak, czyli zmartwychwstali filozofowie, z oryginału greckiego przełożył E. Weidel. Warszawa. 1890. — 40.

Łoś Wieniczyślaw. Przewodnik dla urządzających zbiory botaniczne i entomologiczne. Warsz. 1890. — 20.

- rs. kop.
- Mantegazza P.**, prof. antropologii we Florencyi. Wiek obludy, tłumaczył z oryginału Jan Lorentowicz. Warszawa. 1890. — 40.
- Marya.** Z dziejów boleści. Nowele. Wyrobniemy pióra. — Czarne rękawiczki. Warszawa. 1890. 1 —
- Mieszkania letnie.** Przewodnik. Warszawa. 1890. — 6.
- Mittelstaedt Jan.** Rozmyślanie nad nowym systemem ekonomii politycznej. Warszawa. 1890. 3 —
- Montepin Ksawery (de).** Macocha, powieść. Warszawa. 1890. — 60.
- Nagiel H.** Sęp, romans kryminalny. Warszawa. 1890. 1 50.
- Nagoda.** Własnymi oczyma. Nowele. Lwów. 1889. 1 80.
- Niewiadomski R.** Racyonalne projektowanie linii objazdowych na kolejach żelaznych. Warszawa. 1890. — 75.
- Nowele.** Z jednego kraju. Wykłąci. Warszawa. 1890. — 30.
- Nowicki M. d-r.** Zoologia dla niższych klas szkół średnich. Wydanie 6-te z 280 rycinami. Kraków. 1890. W oprawie 1 50.
- Oblężeni.** Epizod wojny meksykańskiej. Opowiadanie oficera francuzkiego. Warszawa. 1890. — 30.
- Odczyty kliniczne.** Serya II. Zeszyt 2. N-r 14. O leczeniu krwotoków poporodowych, przez Alfreda Dührssena. Warszawa. 1890. — 30.
- Olszowski Wincenty.** O szacowaniu drzewostanów leśnych. Warszawa. 1890. — 20.
- Panna (Stara),** powieść, przez autorkę „Johna Halifax,” tłumaczenie z angielskiego przez A. B. Warszawa. 1890. — 50.
- Paszkowski Leon.** Statystyczno-ekonomiczne studia o drogach żelaznych w związku z rozwojem ekonomicznym. Tom. I. Wiedeń. 1889. 6 —
- rs. kop.
- Pelczar Józef d-r ks.** Rewolucya francuzka wobec religii. Odczyt mianowany 23 lutego 1890 r. na dochód Towarzystwa wzaj. pomocy uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego, powiększony dopiskami. Kraków. 1890. — 30.
- Pilecki Stanisław.** Stój chwilo! powieść. Kraków. 1889. 1 50.
- Plebański J. K.** Geografia, jej znaczenie w szkole i literaturze. Odbitka z „Encyklopedyi wychowawczej,” znacznie rozszerzona co do literatury polskiej. Warszawa. 1890. 1 20.
- Pochodnia życia kapłańskiego.** (Memoriale vitae sacerdotalis). Przełożył ks. Hieronim Raczkowski. Warszawa. 1890. 1 50.
- Poliński Aleksander.** O muzyce kościelnej i jej reformie. Warszawa. 1890. — 50.
- Powieści i baśnie,** z różnych autorów zebrała R. M. Z rysunkami. Warszawa. 1890. — 10.
- Próchnicki Franciszek i Starke/Romuald.** Polska książka do czytania dla szkół wydziałowych i wyższych klas szkół ludowych. Tom I, dla klasy piątej. Wydanie drugie, opracował.. Lwów. 1889. — 90.
- Przegląd europejski.** Zeszyt I. Leon Winiarski. Stosunki społeczne w Anglii. Paryż. 1889. — 50.
- Radło ... E.** Ogrody czyli opis prowadzenia sadu, ogródka owocowego, ozdobnego, ogrodu warzywnego, inspektów, oraz wskazówki użytkowania owoców. Z licznymi drzeworytami w tekście. Warsz. 1890. 1 20.
- Rapacki Wincenty.** Hanza, powieść z XV-go wieku. Warszawa. 1890. 1 —
- Rechniowski W.** Konieczność i granice prędkości ruchu słońca.

- Odbitka z „Kosmosu.” Lwów. 1889. *rs. kop.*
— 20.
- Rej Mikołaj z Nagłowic. Żywot Józefa z pokolenia żydowskiego. 1545. Wydał Roman Zawiliński. Kraków. 1889. 1 20.
- Reussner Plato v. Najlepsza metoda języka niemieckiego do nauczania się pisać, czytać i rozmawiać w trzech miesiącach bez pomocy lub z pomocą nauczyciela. Kurs niższy. Wydanie VI. Z kluczem na końcu. Warszawa. 1890. — 60.
W sprawie — 75.
- Richebourg Emil. Dwie matki, romans w dwóch tomach, przekład Heleny Kłossowskięj. Warsz. 1890. 1 50.
- R. M. Cygańskie dziecko. Z powieści J. I. Kraszewskiego „Chata za wsią.” Z rysunkami. Warszawa. 1890. — 12.
- Rodoć M. Satyry. III. Warszawa. 1890. — 60.
- Rodziewiczówna Marya. Kwiat lotosu, powieść. Wydanie drugie. Warszawa. 1890. 1 20.
— Ona, powieść. Warszawa. 1890. — 75.
- Skórzewski Bronisław. O ekstenzywnem i intensywnem gospodarstwie i zkład plony i dochody pochodzą. Wykład z dnia 12 marca 1890 r., miany na wydziale ogólnym Centralnego towarzystwa gospodarczego w Poznaniu. Poznań. 1890. — 80.
- Smoleński Julian ks. 100 mów porzeczbowych, wypowiedzianych przy zwłokach osób różnego wieku i stanu. Zebrał z przedniejszych autorów łacińskich, francuzkich i niemieckich... Warszawa. 1890. 1 50.
- Smólska Natalia. Teorya rękawicznictwa. (Z tablicami i 25 rysunkami). Dzieło nagrodzone na wysta-
- wie pracy kobiet. Warszawa. 1890. *rs. kop.*
— 40.
- Stahl J. Robinson szwajcarski, przełożył Jan Chęciński. Z 12-ma rycinami. Wydanie 3-cie. Warszawa. 1890. Kart. *rs.* 1 kop. 20, opr. 1 70.
- Stalmach Paweł. Księgi rodu słowiańskiego. I. Ród słowiański. — II. Bogowiedza pogańskich Słowian. — III. Obyczaje, obrzędy, uroczystości, świątynie i kapłaństwo dawnych Słowian. — IV. Urządzeniespołeczne dawnych Słowian. — V. Dzieje starożytne Słowian. Z 6-ma obrazkami. Zebrał i wydał... Cieszyn. 1889. 1 60.
- Straszewicz Ludwik. Nasze czasy, opow. Petersburg. 1890. — 40.
- Suligowski Adolf. Drugi zjazd prawników i ekonomistów polskich i jego znaczenie. Warszawa. 1890. — 50.
- Szymański Adam. Szkice, tom II. Petersburg. 1890. 1 40.
- Teodorowicz L. Elementarz polski, czyli 24 lekcy czytania i pisanja, zebrał metodycznie i pogładowo... Wydanie 3-cie, poprawione i dopełnione. Warsz. 1889. Brosz. — 25.
Karton. — 30.
- Książka do czytania. Elementarza część druga, opatrzona 110 drzeworytami, zawiera: powiastki, przysłowia, bajki, zagadki, anegdoty, opisy, ćwiczenia piśmienne czyli naukę o rzeczach, szarady, łamigłówki, pieśni, podania, baśnie ludowe, legendy, rebusy, opowiadania z Historji Świętj i przypowieści z Nowego Testamentu. Wydanie 3-cie, poprawione i dopełnione. Warszawa. 1889. — 35.
- Tomkiewicz Stanisław. Oktawiana, epepeja współczesna w dwunastu pieśniach. Pieśń pierwsza. Kraków. 1890. — 50.

<p><i>rs. kop.</i> Trembecki Stanisław. Bajki. Warszawa. 1890. — 10. Udziela Maryan. Magnetyzowanie zwierząt. (Podług prof. W. Preyera w Jenie). Rzeszów. 1889. — 30. Werner E. Kupiec, powieść, przekład C. S. Warszawa. 1890. — 40.</p>	<p><i>rs. kop.</i> Yates Edmund. Dramat na bruku, powieść. Przekład z angielskiego. Warszawa. 1890. 1 20. Zaccone Piotr. Cela więzienna, powieść w 2-ch tomach. Przekład z franc. Warszawa. 1890. 1 —</p>
---	---

KSIĘGARNIA

Teodora Paprockiego i S-ki

w WARSZAWIE,

41. Nowy-Świat 41.

Poleca następujące dzieła, wydane własnym nakładem:

I. **Historya. — Bibliografia. — Literatura. — Estetyka. — Krytyka. — Biografia. — Sztuka. — Pamiętniki.**

Befcikowski Adam. Ze studyów nad literaturą polską. Wydanie pamiętkowe ku uczczeniu 25 cio letniej działalności literackiej autora, z życiorysem skreślonym przez d-ra Piotra Chmielowskiego. 4 —

Biegeleisen H. Pan Tadeusz A. Mickiewicza, studium estetyczno-literackie (z dodaniem facsimile karty z autografu „Pana Tadeusza” oraz podobizny medalionu A. Mickiewicza i kart tytułowych pierwszego wydania „Pana Tadeusza” w r. 1834). 2 50.

Chodyński A. Kieszonkowa kroniczka histor. miasta Kalisza. — 60.

Choliński-Jeske T. Epopea rycerska Niemców (Das deutsche Ritterepos), studium historyczno-literackie. — 75.

— **Henryk Heine**, portret literacki. 1 25.

— **Pozytywizm warszawski i jego główni przedstawiciele.** 1 —

— **Żydzi na tułactwie.** 1 —

Czajewski Wiktor. Mikołaj Rej z Nagłowic na sejmach. (Część obszernej pracy, nagrodzonej z funduszy X. X. Czartoryskich w 1879 r. na konkursie uczniów Uniwersytetu Jagielloń.). W nowym opracowaniu skreślił... — 30.

Dawid J. Wł. Szkice psychologiczne. Psychogeneza. — Uzdrawieni przez wyobraźnię. — O poddawaniu uczuć jako środka wychowania narodowego. — O drugorzędnych źródłach miłości. — Rozkosz cierpienia. — O prognostykach. — O snach i ich tłumaczeniu. — Tworzenie się pojęć. — Dwa rozbiory estetyczno-literackie. 1 50.

Laveaux L. hr. Pamiętniki. Wydał z rękopisu L. D. L. 1 20.

Martynowski F. K. Na przelomie sztuki polskiej. 1 —

Minkowiecki E. Spis bibliograficzny pamiętników, mających związek z historią lub literaturą polską. — 30.

Słowacki J. Gonczis z ducha. — List do J. N. Rembowskiego. — Wykład nauki. — Dziennik z r. 1847—1849. Wydanie pierwsze z pośmiertnych rękopisów, poprzedzone wstępem i objaśnieniami przez d-ra Henryka Biegeleisena. 1 80.

- Smoleński Władysław.** Stanowisko Waleryana Kalinki w historyografii polskiej. Studium. — 40.
 — Stanowisko Kazimierza Jarochońskiego w historyografii polskiej. — 30.
 — Towarzystwa nauk i literackie w Polsce wieku XVIII. — 50.
Tatomir L. Król i marszałek. Trzy chwile z życia Jana Sobieskiego (rok 1672 i 1673). — 30.
 — Życiorysy historyczne: Król Kazimierz Wielki i Mikołaj Wierzynek. Przyczynek do dziejów mieszczaństwa polskiego w wieku XIV. 1 —
Wiadomości bibliograficzne warszawskie, miesięcznik dla czytających i kupujących książki i pisma, wydawany pod redakcją Teodora Paprockiego. Rocznik I, II, III, IV po rs. 3, rocz. V 2 50,

II. Wychowanie.

- Boirac Emil**, prof. filozofii w liceum Condorceta. Zasady filozofii, przystępnie wyłożone na podstawie historycznej i opatrzone tematami rozpraw, które paryżski Fakultet nauk przedstawiał kandydatom do opracowania od r. 1866 do 1888. Przetłumaczył Adolf Dygasiński. Cena w prenumeracie 4 25.
Daniell A. Zasady fizyki, podręcznik z 257 drzeworytami w tekście, przetłumaczył z upoważnienia autora z najnowszego wydania angielskiego J. J. Boguski. Rs. 7 k. 50. W oprawie 8 50.
Dawid J. Wł. Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem od urodzenia do 20 roku życia. Przewodnik ułatwiający poznanie dziecka. — 60.
Dawid Wincenty. Krótka gramatyka polska. (Wydanie piąte, pomnożone i poprawione). — 40.
Eutropii historiae romanae selecta ad usum scholarum. Recognovit notasque et indicem rerum ac verborum latino-polonum adj. L. S. — 35.
Flinzer T. Metoda nauki rysunku, oparta na zasadach naukowych, z 44 rysunkami w tekście i 21 litografowanymi tablicami, przekład dokonany staraniem redakcji „Przeglądu pedagog.” 1 50.
Gargulski St. Książka obejmująca naukę czytania, powiastki, bajeczki, ważniejsze modlitwy, krótki katechizm z przygotowaniem do spowiedzi, sposób służenia do mszy św., z dodaniem nauki rachunków, przez doświadczonego pedagoga napisanej. Wydanie II, poprawione i powiększone. — 20.
Jevons W. Logika, objaśniona figurami i pytaniami, przetłumaczył z angielskiego Henryk Wernic. Kop. 75, w oprawie — 95.
Krynicki K. Rys geografii Królestwa Polskiego, z mapą Król. Pol. kolorowaną. Rs. 1 k. 20, w oprawie 1 40.
Meyer Maurycy d-r. Najnowsza ekonomia polityczna w jej głównych kierunkach na podstawie historycznej i krytycznie przedstawiona, przetłumaczyli Feliks Jeziorański i Józef Piasecki. 1 20.
Meyer Wilhelm M. W państwie gwiazd. Astronomia w pogadankach popularnych, przetłumaczył z niemieckiego Feliks Wermiński, z licznymi drzeworytami w tekście i kartą nieba. 1 50.
Mill K. K. Wykłady popularne zasad fizjologii i higieny, z dodaniem rozdziału o alkoholu, tytoniu i innych narkotykach, przetłumaczył z angielskiego z upoważnienia autora Henryk Wernic. Rs. 1 k. 50, w oprawie 1 70.
Murray. Zasady psychologii, przetłumaczyli z upoważnienia autora J. Wł. Dawid i Henryk Wernic. Rs. 1 k. 80, w oprawie 2 —
Nałkowski Wacław. Zarys geografii powsz. (rozumowej). 2 50.
Przędza (Złota) poetów i prozaików polskich, pod redakcją Piotra Chmielowskiego, z poglądem ogólnym tegoż na literaturę staropolską, ze współudziałem d-ra H. Biegeleisena, Stanisława Krzemińskiego i E. S. Swieżawskiego, ze słowem wstępem J. I. Kraszewskiego. Tom I, II, III i IV po rs. 4, w oprawie w płótno angielskie po rs. 5. Nabywający 4 tomy płaci rs. 15, w oprawie rs. 19 —
Seignobos Ch. d-r. Historia cywilizacji. Przetłumaczył z najnowszego wydania francuzkiego Adolf Dygasiński. Objąsniiona 177-ma drzeworytami w tekście. Rs. 5 kop. 20. W oprawie płócienną ze złoceniami lub w półskórek i papier 6 —

- Shaler N. S. S. D.**, prof. paleont. w uniwers. Harvard. Dzieje ziemi czyli początki geologii, przełożył z upoważnienia autora z najnow. wydania angielskiego Henryk Wernic, przejrzeni i dopełnili dopiskami Antoni Słóarski i Józef Siemi-radzki. Rs. 1 kop. 50, w oprawie 1 70.
Słownik łacińsko-polski do autorów klasycznych, a szczególnie do Korne-liusza Neposa, ułożony przez Leopolda S... — 25.
Słupski Zygmunt. Wpływ nauczania i metoda poglądowa. Odczyt, ilustro-wany praktyczną lekcją o motyłu, wypowiedziany w Warszawie d. 24 maja 1884 r. — 30.
Swieżawski Ernest Sulimczyk. Rozmowy o dawnych dziejach (Historja pol-ska). Rs. 2, karton, rs. 2 k. 25, opraw. w płótno 2 50.
Szretter Piotr. Nauka pięknego pisania (kaligrafii). Wskazówki dla nauczy-cieli i uczniów. — 40.
Thompson Silvanus P. prof. Elektryczność i magnetyzm, ze 170 drzeworytami w tekście, przełożył z upoważnienia autora z V-go wyd. angi. J. J. Boguski. 3 —
 „Zdrowa dusza w zdrowiu ciele.“ Podręcznik sportowy, zawierający naukę: gimnastyki, fechtunku, boksowania, pływania, łyżwiarstwa, wiosłowania, jazdy konnej, jazdy wycypedowej i tańca, zebrane z różnych autorów i objaśnione liczne-mi drzeworytami w tekście. 2 —

III. Medycyna.—Hygienu.—Fizjologia.

- Baglinsky Adolf d-r**. Życie kobiety. Listy o higienie kobiecego organizmu. Z 3-go wydania niemieckiego przeł. Ad. W. i Ed G. — 75.
Berger D. d-r. Nie zdrowo. Przepisy obowiązujące wszystkich ludzi bez wyjątku. — 30.
Bunge G. W sprawie alkoholu. Odczyt. Z drugiego wydania oryginału przełożył M. Flaum. — 25.
Cullerre A. d-r, członek Towarzystw medyko-psychologicznych. Magnetyzm i hypnotyzm z punktu widzenia klinicznego, psychologicznego, medycznego i prawne-go. Z drugiego wydania francuzkiego przełożył J. Wł. Dawid. Tekst objaśniony 28 drzeworytami. Rs. 2, w oprawie 2 20.
Deschamps Albert d-r. Newrozy i pesymizm. Odczyt, wygłoszony w To-warzystwie Naukowym w Clermont-Ferrand 4 marca 1886 r. Tłumaczył z francuz-kiego d-r medycyny L. W. — 25.
Olinga Aleksander D. Dziedziczność instynktów, namiętności i uczuć. Odczyt. Z francuzkiego przełożył d-r med. Lud. Wolberg. — 30.
d'Espine prof. Wskazówki pielęgnowania dzieci w pierwszym roku życia, podług książeczki wydanej w Genewie przez... z udziałem komisji lekarskiej opra-cował za upow. autora d-r J. Polak. — 10.
Gibier Paul d-r. Spirytyzm. Studium historyczno-krytyczne i doświadczalne z punktu widzenia psychologicznego, przełożył J. Wł. Dawid. Tekst objaśniony 25 drzeworytami. 1 50.
Krafft-Ebling prof. Nasz wiek nerwowy (Nasze zdrowo i chore nerwy), przekład z upoważnienia autora. — 60.
Mantegazza Paweł. Sztuka długiego życia, przeł. d-r L. W. — 50.
Nussbaum I. N. d-r prof. Apteczka domowa, przekład z niemieckiego podług najnowszego wydania, z upow. autora dokon. — 30.
Schroot A. Życie i zdrowie człowieka. Rys higieny popularnej. Przełożył za upoważnieniem autora i opracował d-r med. Aleksander Fabian. 3 20.
Skórkowski Antoni z Medowatěj. Szkice popularno najnowszych postępów przyrodoznawstwa. 1 50.
Sochacki A. d-r. Apteczka dla dworu wiejskiego i osób na wsi zamieszka-łych. — 75.

Adres Redakcyi: Warszawa, Nowy-Świat N-r 41, przy księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Redaktor i Wydawca Teodor Paprocki.